



D. H. LAWRENCE

**KOBIETA I PAW**

CZYTELNIK

D. H. L A W R E N C E

**KOBIETA I PAW**

*tłumaczyła*  
*Janina Sujkowska*

1971

WARSZAWA - CZYTELNIK

## KOBIETA I PAW

Cienka warstwa zmarzniętego śniegu zaścielała ziemię, niebo jaśniało błękitem, dmuchał lodowaty wiatr, powietrze było przejrzyste. Jak zwykle w południe farmerzy wypędzali krowy na godzinny spacer i z obór buchał nieznośny zaduch. Wchodziłem właśnie do Tible. Zwróciłem uwagę na gałązki jesionu rysujące się delikatnym wzorem na tle nieba. Wreszcie oko moje zatrzymało się na trzech pawiach, które szły przede mną drogą – brunatne, cętkowane, bez ogonów, z ciemnoniebieskimi szyjami i strzępiastymi czubkami. Stąpały zgrabnie po czystym białym śniegu, posuwały się wolno niby lekkie płaskodenne łódeczki. Podziwiałem je, zaciekawiony. Nagle uderzył w nie silny powiew wiatru, zachybotał jak kruchymi łódkami i rozwiął pióra na podobieństwo poszarpanych żagli. Podskakiwały niezadowolone, starając się ująć z drogi pędowi powietrza. Gdy znalazły się w osłoniętym miejscu, wznowiły swój zgrabny, lekki chód, nie krępowany w okresie zimy ogonami. Tak dalece nie zwracały na mnie uwagi, że mógłbym ich dotknąć. Skręciły pod dach otwartej szopy.

Mijając ostatni dom, zobaczyłem młodą kobietę. Wchodziła tylnymi drzwiami. Rozmawiałem z nią raz w lecie. Poznała mnie od razu. Skinęła mi ręką. Niosła wiadro. Miała na sobie biały fartuch, dłuższy niż przykrótka spódnica, i na głowie beret. Uchyliłem kapelusza i szedłem dalej. Lecz ona postawiła wiadro na ziemi i dogoniła mnie.

– Może pan będzie łaskaw poczekać minutkę – poprosiła. – Zaraz przyjdę.

Uśmiechnęła się dziwnie i pobiegła. Twarz miała długą, bladą i nos cokolwiek zaczerwieniony. Ale posępne czarne oczy rozjaśniły się na mój widok, malowała się w nich ta przelotna pokora, która czyni mężczyznę panem ziemi.

Stałem na drodze, patrząc na stado włochatego ciemnoczerwonego bydła, które porykiwało szczekliwie niby pod moim adresem. Były to trochę rozbrykane, krnąbrne byczki. Może chciały wracać do cieplej obory, a może też wołały zostać na dworze. Nie mogłem się w tym zorientować.

Niebawem kobieta ukazała się z powrotem. Szła z pochyloną lekko głową. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się z właściwą sobie obcesową, przesadną poufałością. Było w niej coś z czarownicy.

– Przepraszam, że pan czekał – powiedziała. – Może wejdziemy do wozowni, bo tu zańadto dmucha.

Zatrzymaliśmy się między dyszlami wozów w otwartej szopie, stojącej frontem do drogi. Kobieta spuściła oczy i patrzyła gdzieś w bok. Zauważyłem, że czoło jej ściągnęło się gniewnie. Chwilę stała zadumana. Nagle spojrzała mi prosto w oczy, tak że zamrugalem powiekami i o mało nie odwróciłem głowy. Chciała wyczytać coś w moim wzroku i twarz jej znajdowała się zbyt blisko. Blade czoło marszczyło się wciąż gniewnie.

– Czy pan zna język francuski? – zapytała znienacka.

– Mniej więcej.

– Kiedyś to się nawet uczyłam w szkole – wyjaśniła. – Ale nie pamiętam ani słowa.

Pochyliła głowę i roześmiała się robiąc brzydki grymas i przewracając czarnymi oczami.

– Nie warto nosić w głowie niepotrzebnego balastu – zauważyłem.

Lecz ona odwróciła swą długą, bladą twarz i nie usłyszałem, co powiedziała. Nagle znów na mnie popatrzyła przenikliwie. Jednocześnie uśmiechnęła się. Oczy jej patrzyły w moje mrocznie, z wyrazem nieskończonej ufnej pokory. Przymilała się.

– Czy nie zechciałby pan przeczytać mi francuskiego listu? – zapytała. Twarz jej stała się

natychmiast, pochmurna i zawzięta.

– Ależ naturalnie.

– To list do mego męża – wyjaśniła nie odrywając ode mnie badawczego spojrzenia.

Spojrzałem i ja na nią, ale właściwie nie rozumiałem. Patrzyła na mnie zbyt głęboko. Straciłem głowę. Rozejrzała się naokoło, przywarła do mnie wzrokiem i wyjąwszy z kieszeni list, wsunęła mi go do ręki. Spojrzałem na francuską pieczętkę i na adres: „Starszy szeregowy Goyte w Tible”, wyjąłem z koperty zapisany arkusik i zacząłem czytać obojętnie słowo po słowie. „*Mon cher Alfred*”... jakby to był wydarty kawałek z gazety. Banalne zwroty od francuskiej dziewczyny do angielskiego żołnierza. „Myślę o Tobie zawsze, zawsze. A czy Ty myślisz o mnie czasami?” Nagle uświadomiłem sobie mgliście, że czytam list. Chociaż z drugiej strony trudno było uważać za list te banalne francuskie zdanka! Nie ma na świecie nic bardziej szablonowego i pospolitego niż tego rodzaju list miłosny – tak banalna nie jest nawet gazeta.

Toteż czytałem z obojętnym sercem wynurzenia tej belgijskiej dziewczyny, gdy nagle zainteresowałem się, bo oto, co przeczytałem: „*Notre cher petit bébé* – nasze kochane dzieciątko – przyszło na świat tydzień temu. O mało nie umarłam, bo myślałam sobie, że jesteś tak daleko i że może nie pamiętasz o owocu naszej wielkiej miłości. Ale dzidzius mnie pocieszył. Ma takie same roześmiane oczka i męski wygląd, jak jego angielski tatuś. Modłę się do Matki Boskiej, żeby mi powiodła ojca mego dziecka, żebym go mogła zobaczyć z moim dzieciątkiem na rękach i żebyśmy się mogli połączyć w świętej rodzinnej miłości. Ach, mój Alfredzie, nie potrafię wypowiedzieć, jak mi Ciebie brakuje i jak za Tobą płaczę. Myśli moje są ciągle z Tobą, myślę tylko o Tobie, żyję tylko dla Ciebie i dla naszego kochanego synka. Jeżeli prędko do mnie nie wrócisz, umrę i nasze dzieciątko umrze. Ale nie, Ty przecież nie możesz wrócić. Ja za to mogę przyjechać razem z nim do Ciebie, do Anglii. Jeżeli nie chcesz mnie pokazać swoim drogim Rodzicom, możemy się spotkać w jakimś mieście, bo bardzo bym się bała znaleźć w Anglii sama z dzieckiem, bez żadnej opieki. Ale muszę przyjechać do Ciebie, muszę zawieźć moje dzieciątko, mojego malutkiego Alfreda, Ojcu, dużemu pięknemu Alfredowi, którego tak bardzo kocham. Och, napisz, kiedy będę mogła do Ciebie przyjechać. Mam trochę grosza, bez butów nie chodzę. Mam pieniądze na utrzymanie własne i mojego drogiego dzidziusia...”

Przeczytałem do końca, aż do podpisu: „Twoja bardzo szczęśliwa i jeszcze bardziej nieszczęśliwa Eliza”. Chyba musiałem się uśmiechnąć.

– Widzę, że pan się śmieje – zauważyła sardonicznie Maggie Goyte.

Podniosłem na nią oczy.

– To list miłosny, wiem o tym – rzekła. – Za dużo w nim „Alfredów”.

– O jednego za dużo – uzupełniłem.

– O, tak. I cóż ona pisze... ta Eliza? Wiemy przynajmniej, że na imię jej Eliza.

Lekki grymas wykrzywił jej twarz. Popatrzyła na mnie i zaśmiała się drwiąco.

– Skąd pani ma ten list? – zapytałem.

– Listonosz dał mi go tydzień temu.

– A czy mąż jest w domu?

– Spodziewam się go dziś wieczorem. Wie pan, był ranny i robiliśmy starania, żeby wrócił do domu. Był tu sześć tygodni temu, a potem pojechał do Szkocji. Ranili go w nogę. Owszem, dobrze się czuje, taki potężny chłop. Ale trochę kuleje. Spodziewa się, że go zwolnią, chociaż nie sądzę. Pobraliśmy się sześć lat temu. Jak tylko wojna wybuchła, wstąpił do wojska. Zdawało mu się, że nie ma to jak wojsko. Poprzednio też walczył w Afryce. Ale prędko miał tego wszystkiego dosyć. Mieszkam u jego rodziców – nie mam teraz swojego domu. Moi rodzice mieli wielką farmę, przeszło tysiąc akrów, w Oxfordshire. Nie tak jak tutaj! Ale jego rodzice są dla mnie bardzo dobrzy. Doprawdy! Trudno o lepszych. Więcej o mnie dbają niż o własne córki. Jednak to w żadnym razie nie to samo, co być na własnych

śmieciami. Nie można robić tego, co się chce, tylko to, czego oni sobie życzą. Nie, oprócz mnie i rodziców nie ma nikogo. Co on robił przed wojną? A wszystko. Otrzymał dobrą edukację, ale wolał farmerkę. Był również kierowcą. Stąd pochodzi znajomość języka francuskiego. Przez długi czas woził we Francji jednego pana...

W tej chwili zza szopy ukazały się gnane wiatrem pawie.

– Halo, Joey! – krzyknęła.

Jeden z ptaków podbiegł na delikatnych nóżkach. Jego szaro nakrapiany grzbiet był śliczny, ciemnoniebieska szyja kołysała się z gracją. Kobieta przysiadła na ziemi.

– Joey, kochanie – przemawiała jakimś dziwnym, ponurym, pieszczotliwym głosem – już ty mnie zawsze znajdziesz, co? – Nachyliła się ku niemu. Ptak podszedł, dotykał prawie jej twarzy dziobem, jakby całował.

– Kocha panią – zauważyłem.

Spojrzała na mnie i roześmiała się.

– Tak – potwierdziła – kocha mnie mój Joey. – Zwróciła się do ptaka. – I ja go Kocham, nieprawda? Kocham Joey. – Poglaskała go po piórach i wstała. – Przywiązane ptaszysko!

Roześmiałem się z intonacji, z jaką wymówiła „przywiązane”.

– O, tak – zapewniła. – Przyjechał ze mną od moich rodziców siedem lat temu. Tamte, to jego potomstwo, ale gdzie im do Joeya, nieprawdaż, najdroższy? – Gdy wymawiała ostatnie słowa, głos jej upodobnił się do krzyku czarownicy.

Nagle zapomniała o ptakach i powróciła do listu.

– Nie przetłumaczy mi pan? Proszę, niech pan przetłumaczy. Chciałabym wiedzieć, co ona pisze.

– Za plecami męża? – zauważyłem z wahaniem.

– O, mniejsza z nim! On był długo za moimi plecami, całe cztery lata. Jeżeli nie robił za moimi plecami nic gorszego niż ja za jego, to nie będzie miał powodu do utyskiwań. Niech pan czyta!

Pomimo że nie miałem najmniejszej ochoty przychylić się do jej życzenia, zacząłem:

– „Mój drogi Alfredzie!”

– To zrozumiałam sama. Drogi Alfred Elizy. – Roześmiała się. – Jak jest po francusku Eliza?

Powiedziałem jej. Powtórzyła z pogardą:

– *Elise*. No, dalej – nagliła. – Pan wcale nie czyta.

Więc zacząłem:

– „Myślę czasami o Tobie, czy i Ty o mnie myślisz?”

– Oprócz niej jeszcze o kilku innych, założyłabym się – przerwała Maggie.

– Prawdopodobnie nie – odpowiedziałem i czytałem dalej: – „Tydzień temu urodziło się u nas malutkie dzieciątko. Ach, nie potrafię Ci wyrazić moich uczuć, kiedy biorę na ręce mego drogiego malutkiego braciszka...”

– To j e g o dziecko! Założę się! – zawołała.

– Nie. To jej matki.

– Niech pan temu nie wierzy! – krzyknęła. – Gadanie dla zamydlenia oczu. To jej dziecko i jego. Ani chybi!

– Ależ nie – dowodziłem. – Jej matki. „Ma słodkie śmiejące oczka, ale nie takie piękne jak Twoje angielskie oczy...”

Porywczym ruchem trzepnęła rękami o spódnicę zanosząc się ze śmiechu. A potem wyprostowała się i zakryła twarz dłonią.

– Piękne angielskie oczy! Można pęknać ze śmiechu.

– Czy on nie ma pięknych oczu? – zapytałem.

– O, tak... b a r d z o ! Proszę, niech pan czyta! Joey, drogi, najdroższy Joey! – zawołała do pawia.

– Hm... „Ogromnie nam Ciebie brakuje. Wszystkim nam Ciebie brak. Chcielibyśmy, żebyś tu był, żebyś mógł zobaczyć nasze drogie dzieciątko. Ach, Alfredzie, jacyśmy byli szczęśliwi z Tobą. Kochaliśmy Cię wszyscy. Matka chce dać dziecku imię Alfred na Twoją pamiątkę”.

– Naturalnie, to jego! Ani chybi!

– Ach, nie – zaprzeczyłem. – To je j matki. Hm... „Matka czuje się dobrze. Ojciec przyjechał wczoraj na urlop. Cieszy się z syna, mojego kochanego braciszka, i chce, żeby go ochrzcić Twoim imieniem, dlatego że byłeś dla nas taki dobry w tamtych okropnych czasach, których nigdy nie zapomnę. Płaczę na samo wspomnienie. Jesteś teraz daleko w Anglii i może Cię już nigdy nie zobaczę. Jak się miewają Twoi drodzy Rodzice? Tak się cieszę, że rana dobrze się już goi i że zaczynasz chodzić...”

– A jak się miewa jego droga żona? – krzyknęła. – Nie powiedział jej, że jest żonaty. Żeby tak nabierać biedną dziewczynę!

– „Twoje listy sprawiają nam wielką radość. Ale pewno teraz, po powrocie do Anglii, zapomnisz o rodzinie, którą się opiekowałeś tak troskliwie...”

– Trochę za troskliwie... chodź, Joey!

– „Gdyby nie Ty, nie byłoby nas już na świecie, na którym tak ciężko żyć wśród smutków i radości. Ale odzyskaliśmy część naszego majątku i nie jesteśmy w biedzie. Mały Alfred jest dla mnie wielką pociechą. Tulę go do piersi i myślę o dobrym dużym Alfredzie. Płaczę na myśl, że te czasy wielkich cierpień były może czasami wielkiego szczęścia, które już nie wróci...”

– Wstyd, doprawdy, tak oszukiwać biedną dziewczynę! – unosiła się Maggie. – Nie wspomniał, że jest żonaty, i obudził w niej złudne nadzieje. Żeby też być taką świnią!

– Tego pani nie wie na pewno – oderwałem się. – Pani wie, jak kobiety gonią za miłością. Nie pytają, czy mężczyzna żonaty, czy nie. Cóż on mógł zrobić, jeżeli uparcie się w nim kochała?

– O, mógł do tego nie dopuścić, gdyby tylko chciał.

– No, nie wszyscy jesteśmy bohaterami.

– To inna sprawa! Dobry duży Alfred! Czy słyszał kto takie bzdury? Niech pan czyta! Co ona pisze na końcu?

– Hm... „Ucieszymy się, gdy nam doniesiesz, co porabiasz w Anglii. Wszyscy przesyłamy serdeczne pozdrowienia Twoim zacnym Rodzicom. Życzę Ci na przyszłość wszelkiego szczęścia. Twoja bardzo przywiązana i wdzięczna na wieki *Elise*”.

Zapadło milczenie. Maggie stała ze spuszczoną głową, złowroga i zamyślona. Nagle podniosła twarz. Z oczu jej strzeliły błyskawice.

– Ach, że też tak nabrał dziewczynę! To ohydne!

– Nie! – zaprotestowałem. – Prawdopodobnie wcale jej nie nabierał. Czy pani myśli, że te belgijskie dziewczyny to takie niewiniątka? Nie wiadomo, czy ona nie jest bardziej sprytna niż on.

– Trudno o większego głupca! – krzyknęła.

– Widzi pani!

– Ale to na pewno jego dziecko!

– Nie sądzę.

– Jestem tego pewna.

– No! Jeżeli pani upiera się przy swoim...

– Więc dlaczegóż by pisała w ten sposób?

Wyszedłem na drogę i spojrzałem na bydło.

– Kto pędzi te krowy? – zapytałem. Ona również poszła za mną.

– Chłopiec z sąsiedniej farmy.

– Te belgijskie dziewczyny! – zauważyłem. – Nigdy nie wiadomo, co taka napisze.

Ostatecznie to jego sprawa i nie ma się pani czym dręczyć.

– Och! – zaprotestowała ze zjadliwą pogardą – ja się nie dręcę. Ale to takie obrzydliwe, takie podłe! Ja tu pisywałam do niego takie czułe listy – zasłoniła twarz ręką i zaśmiała się nienawistnie – i posyłałam ciągle paczki, a on tymczasem... Na pewno ta dziewczyna żywiła się z moich paczek. Już ja go znam. I pewno zaśmiewali się razem z moich listów. Założyłabym się...

– Ależ nie! – zaprzeczyłem. – Raczej palił listy pani z obawy, żeby go nie zdradziły.

Błada twarz opłynęła ponurym cieniem. Nagle rozległo się wołanie.

Młoda kobieta wychyliła głowę z szopy i odpowiedziała chłodno:

– Zaraz! – po czym zwróciła się do mnie: – Jego matka mnie szuka.

Zaśmiała mi się w twarz niczym prawdziwa czarownica i wyszliśmy razem na drogę.

Na drugi dzień rano, obudziwszy się, stwierdziłem, że w domu jest jakoś ciemno. Duże okna od strony zachodniej pokrywała gruba miękka warstwa nawianego śniegu. Wyszedłem na dwór i spojrzałem w dolinę. Leżała pode mną biała i upiorna, upstrzona czarnymi kreskami drzew podobnych do drucianych zabawek i ścianami skał odcinających się ciemno od lśniącej białości. W górze wisiało niebo, ponure, ciężkie, burożółte, zbyt ciężkie dla tego leżącego w kotlinie świata, którego niebieską biel podkreślała jeszcze widoczna tu i ówdzie czerń. Wydało mi się, że jestem w dolinie umarłych. Zostałem uwięziony, gdyż śnieg leżał wszędzie grubą warstwą, a w niektórych miejscach potworzyły się zaspasy. Pozostałem więc w domu i tylko wyglądałem od czasu do czasu na krzewy koło podjazdu grubo ośnieżone, na słupy bramy wjazdowej podwyższone o stopę mroźną białością czy też na białoczną dolinę, zastygłą w bezdusznej martwocie, podobną do zapadniętego sarkofagu.

Przez cały dzień nic się nie zmieniło, z krzewów nie spadła ani odrobina śniegu, kotlina milczała jak przybytek śmierci. Patrzyłem na malutkie, na pół zakopane w śniegu farmy na gołych wyżynach ponad doliną i pomyślałem o ubielonym Tible i o małej czarnej czarownicy. Wydawało się, że śnieg czyni mnie jeszcze bardziej podatnym na wpływy, których chciałem unikać.

W szarówce, która zapadła po czwartej, zauważyłem, że w dali koło tarniny coś się porusza. Wytężyłem wzrok. Tak, przez złowieszczą białosc śniegu przekopywał się z wysiłkiem, trzepocząc skrzydłami, wielki ptak. Zastanowiłem się, co by to mógł być za ptak. Największe w dolinie były ogromne jastrzębie, które często zawisały w powietrzu na wprost moich okien, wysoko nad jakimś łupem, na stromym zboczu kotliny. Ten był za duży na jastrzębia i większy niż inne znane mi ptaki. Zrobiłem w myśli przegląd największych angielskich dzikich ptaków, gęsi, myszołowów...

Nie znane ptaszysko szamotało się wciąż w śniegu, to nieruchomiejąc w postaci ciemnej plamy, to wznawiając mozolny trud. Wyszedłem z domu i spuściłem się po stromej skalistej pochyłości. Mało brakowało, żebym złamał nogę pomiędzy głazami. Znałem doskonale teren, a jednak dobrze się namęczyłem, nim dotarłem do tarniny.

To był paw Joey, szarobrunatny elegant z niebieską szyją. Zupełnie wyczerpany i przemoknięty.

– Joey, Joey, najdroższy! – zawołałem brnąc w jego kierunku. Wyglądał żałośnie. Czubek miał obwisły, mrugał szybko i wyciągał przed siebie niebieską szyję, kładąc ją co chwila na śniegu. Gonił ostatkiem sił.

– Joey najdroższy! Najdroższy! – powtarzałem pieszczotliwie. Zupełnie wyczerpany, legł w końcu na skopanym śniegu i znieruchomiał. Podszedłem, pogłaskałem go i wziąłem pod pachę. Wyciągnął w bok długą moką szyję, ale nie próbował się wyrwać. Może był zanadto zmęczony. Pomimo to biedak odsuwał się jak najdalej od mojej osoby ze swoim czubatym łebkiem i chwilami tak słabł, iż zdawało się, że zdycha.

Chociaż nie był tak ciężki, jak przypuszczałem, dobrze się napociłem, nim go doniosłem

do domu. Tu postawiliśmy go dość daleko od ognia i wytarliśmy ostrożnie szmatami. Nie opierał się, tylko wyciągał ciągle w bok swą giętką szyję, bezskutecznie próbując uniknąć naszych rąk. Następnie daliśmy mu coś ciepłego do jedzenia. Włożyłem mu trochę do dzioba, chcąc, aby jadł, ale mnie zignorował. I w ogóle nie zważał na nasze starania. Zamykał się w sobie tajemniczo. Włożyliśmy go tedy do wysłanego miękko koszyka i pozostawili samego. Jedzenie umieściliśmy tuż obok. Story były zaciągnięte, w domu ciepło. Zapadł wieczór. Od czasu do czasu paw poruszał się, ale przeważnie siedział cicho skulony z tym dziwnym czubatym łebkiem przechylonym na bok. Nie zwracał uwagi ani na jedzenie, arii na ruch w mieszkaniu. Zastanawialiśmy się, czyby mu nie dać wódki albo jakiegoś pobudzającego środka, lecz ja uznałem, że najlepiej pozostawić go w spokoju.

W nocy wszakże słyszeliśmy, jak tłukł się po pokoju. Wstałem zaniepokojony i zapaliłem świecę. Zjadł część pokarmu, a resztę rozrzucił. Usadowił się na oparciu ciężkiego fotela. Najwidoczniej zrobiło mu się lepiej.

Na drugi dzień wypogodziło się i śnieg zamarzł. Postanowiłem więc odnieść pawia do Tible. Trzepotał się trochę, ale w końcu skapitulował i pozwolił się włożyć ogromnie przestraszony do wielkiej torby rybackiej, z której wysuwał postrzępiony czubek. Wyruszyliśmy w drogę. Spuściłem się w dolinę po oślizłym stoku, brzegiem szumiącego potoku. Dobrze mi się szło w bladym cieniu drzew; wdrapałem się z trudem na drugą stronę po zboczu porośniętym kępami młodych sosen i wynurzyłem się na śnieżną, świetliście białą płaszczyznę wyżyny. Dał tu przejmujący wiatr. Joey rozglądał się ciągle niespokojnie dokoła otwierając szeroko swoje błyszczące nieodgadnione oczka. Gdy zbliżałem się do Tible, zaczął się gwałtownie szamotać w torbie, chociaż nie wiem, czy wyczuł, gdzie się znajduje. Koło szop rozejrzał się bystro i na całą długość wyciągnął szyję. Trochę się go przestraszyłem. Zakrzyczał donośnie, przejmująco. Rozwarł złowieszczo dziób. Stałem w miejscu i patrzyłem na jego szamotanie. Trudno mi było go trzymać, ale nie myślałem go puścić.

Zza domu wypadła Maggie Goyte, jak zawsze baczna i czujna. Zobaczyła mnie i podbiegła.

– Złapał pan Joeya? – krzyknęła piskliwie, jakbym był złodziejem.

Otworzyłem torbę i paw wyfrunął bijąc skrzydłami, jakby za nic nie chciał dotknąć śniegu. Młoda kobieta porwała go na ręce i przyłożyła usta do dzioba. Była zarumieniona i ładna, oczy jej błyszczały, gęste włosy opadały miękko. Pomimo to bardziej niż kiedykolwiek przypominała czarownicę. Milczała.

Za nią ukazała się siwowłosa kobieta o żółtawej cerze. Na jej okrągłej twarzy malował się jak gdyby wyraz niechęci.

– To pan go przyniósł? – zapytała impetycznie. Odpowiedziałem, że uratowałem go wczorajszego wieczora.

Z głębi podwórza wyłonił się z wolna wysmukły mężczyzna z siwymi wąsami i wielkimi łatami na spodniach.

– No, więc masz go z powrotem – odezwał się do synowej.

Żona powiedziała mu, że to ja znalazłem pawia.

– Aha! – domyślił się siwy człowiek. – To nasz Alfred go wystraszył. Musiał przefrunąć przez dolinę. Podziękuj swoim gwiazdom, Maggie, żeś go odzyskała. Na pewno zmarzł porządnie. Trochę im tu u nas chłodno, proszę pana – zwrócił się do mnie.

– Tak – potwierdziłem. – To nie ich ojczyzna.

– Oj, nie! – zgodził się Goyte.

Mówił spokojnie, rozważnie, i głos jego brzmiał jakby czymś specjalnie przytłumiony. Patrzył na synową, która przykucnęła na ziemi pochmurna, zarumieniona. Paw kładł jej na kolanach raz po raz swą długą niebieską szyję. Pomimo siwych wąsów i rzadkich siwych włosów stary Goyte twarz miał młodą i prawie tak świeżą jak młodzieniec. W jego



niebieskich oczach błyszczała jakaś nieodgadniona radość, cera była zadziwiająco gładka, orli nos delikatnie zarysowany. Z lekko zwichrzonymi włosami wyglądał sympatycznie jak zakochany młodzieniec.

– Musimy mu powiedzieć, że ptak się znalazł – ciągnął powoli i obróciwszy się zawołał: – Alfred, Alfred! Gdzieś ty się podział? – A potem do synowej: – Wstań, Maggie, moje dziecko, wstań. Za wiele się przejmujesz tym ptaszyskiem.

Nadszedł młody człowiek w bluzie khaki i bryczesach. Był szeroki w biodrach i wyglądał na Duńczyka.

– Znalazł się – powiedział ojciec do syna. – Przyniósł go ten pan. Przeleciał na tamtą stronę.

Przybysz obrzucił mnie spojrzeniem. W czapce na bakier, z rękami w kieszeniach spodni, robił wrażenie zawadiaki. Nie odezwał się.

– Może by pan był łaskaw wejść do nas ha minutkę – zwróciła się do mnie starsza kobieta.

– Prosimy bardzo chociaż na filiżankę herbaty. Musiał się pan zmęczyć dźwigając tego gałgana – dodał mąż. – Chodź, Maggie, do domu.

Znalazłem się w nieco dusznej, przeładowanej meblami bawialni, zbyt przytulnej i zbyt cieplej. Syn wszedł ostatni. Zatrzymał się w progu. Ojciec rozmawiał ze mną. Maggie wydobyła filiżanki, matka odeszła do mleczarni.

– Będiesz teraz weselsza, Maggie – powiedział teść do synowej i zwrócił się do mnie: – Markotno jej było bez ptaka, choć i Alfred przyjechał. W środę wieczorem. Widzi mi się, że od razu się z nim poczuł, co, Maggie?

Mrugnął złośliwie na synową, zarumienioną, przystojną, uroczą.

– O, niech ojciec będzie cicho! Chyba sobie podchmielił – rzuciła niby gniewnie, chociaż nigdy nie mogła gniewać się na niego naprawdę.

– Dziś rano wróciły jej kolory – opowiadał powoli teść. – Przez te dwa dni chodziła jak ta chmura, jakby wiatrzyśko dęło od północo-wschodu. Od tej środy, co pan z nią rozmawiał.

– Niechże ojciec przestanie. Tchu ojcu zabraknie. Nie wiem, skąd się ojcu zebrało na takie gadulstwo – odezwała się Maggie z pieścizotliwą szorstkością.

– Język jest po to, żeby nim mleć. Alfred, czemu nie wejdiesz i nie usiądziesz?

Ale syn odwrócił się i zniknął.

– Wścieka się o ten list – objaśnił poufnie stary. – Matka o tym nie wie. Głupie zawracanie głowy. Go to się trapić o to, co jest na drugim końcu świata i tam zostanie? Szkoda fatygi! Mówiłem głupiej. Nie powinna na to zważać. Nie warto.

Powróciła matka i rozmowa stała się ogólna. Maggie kręciła się między nami, pogodna i zadowolona. Od czasu do czasu strzelała do mnie oczami. Powiedziałem jej kilka komplementów, których jakby nie słyszała. Usługiwała mi z jakimś złowieszczym wdziękiem czarownicy, jednocześnie pokorna i władcza, z czarną główką wtuloną w ramiona. Przechodziła ode mnie do teścia i od teścia do mnie, szczęśliwa jak dziecko. Ale między jej brwiami czaiło się coś groźnego, zupełnie jakby tam siedła czarna ćma, i również coś groźnego biło od jej schylonej postaci.

Przycupnęła na niskim stołeczku koło ognia, niedaleko teścia, opuściła głowę. Wydawała się głęboko zadumana. Od czasu do czasu ożywiła się nagle, spoglądała na nas, śmiała się i terkotała. I potem znów popadała w zamyślenie. Ale w tym swoim chmurnym tajemnym zapamiętaniu wydawała się nam bardzo, bardzo bliska.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wbiegł w podskokach paw. Zbliżył się do niej i przysiadł na ziemi skręcając niebieską szyję. Spojrzała na niego, ale takim wzrokiem, jakby go nie zauważyła. Ptak siedział cicho, pozornie uspiiony. Kobieta milczała, pogrążona w głębokiej zadumie. Znów rozległy się ciężkie kroki i wszedł Alfred. Spojrzał na żonę i na siedzącego przy niej pawia. Stał w progu rozkraczony, z rękami w kieszeniach spodni. Nikt się nie odezwał. Wykręcił się na pięcie i znów wyszedł.

Wstałem i ja, chcąc się pożegnać. Maggie drgnęła, jakby obudzona ze snu.

– Czy pan musi iść? – zapytała podchodząc do mnie. Stała przede mną i przechylając głowę na bok, zajrzała mi w oczy. – Nie mógłby pan zostać trochę dłużej? Dziś wszyscy możemy posiedzieć wygodnie w domu. Na dworze nie ma nic do roboty. – I roześmiała się dziwnie pokazując zęby. Miała długi podbródek.

Powiedziałem, że muszę iść. Paw, siedzący przed kominkiem, falował wężowatą niebieską szyją. Maggie stała tak blisko mnie, że czułem wyraźnie, jak dotyka guzików mojej kamizelki.

– W takim razie niech pan przyjdzie kiedy indziej, dobrze?

Przyrzekłem, że przyjdę.

– Niech pan przyjdzie kiedyś na herbatę. Bardzo proszę.

Przyrzekłem, że któregoś dnia przyjdę.

Z chwilą gdy zszedłem jej z oczu, przestałem dla niej istnieć. Podobnie jak przestałem istnieć dla pawia. Z właściwym sobie dziwnym roztargnieniem wykreśliła mnie momentalnie z pamięci. Zdawałem sobie z tego sprawę. A przecież gdy byliśmy razem, wydawało mi się, że nawiązaliśmy z sobą fizyczny kontakt.

Niebo było blade we z żółtym odcieniem, jak przedtem, a słońce niewidoczne. Pod stopami skrzypiał zmarznięty śnieg. Schodziłem śpiesznie po zboczu, rozmyślając o Maggie. Na stromej pochyłości droga zakręcała pętlicowato. Brnąc ciężko po chrzęszczącym śniegu, zobaczyłem, że po stromym urwisku schodzi jakiś człowiek w zamiarze przecięcia mi drogi. Był to barczysty mężczyzna z rękami w kieszeniach spodni, prawdziwy farmer z gór, oczywiście Alfred. Zaczekał na mnie koło kamiennego muru.

– Przepraszam pana – przemówił, gdy się z nim zrównałem.

Zatrzymałem się i zajrzałem w ponure niebieskie oczy. Patrzyły one na mnie zuchwale spod dziwnie wyniosłego czoła.

– Czy pan wie coś o liście, francuskim liście, który moja żona otworzyła? Ten list był do mnie.

– Owszem – odparłem. – Prosiła mnie, żebym go jej przeczytał.

Nie spuszczał ze mnie oczu. Nie wiedział, jak się zachować.

– Co w nim było?

– To pan nie wie? – zdziwiłem się.

– Mówi, że go spaliła – wyjaśnił.

– Nie pokazał panu?

Skinął głową. Najwidoczniej zastanawiał się, jak wybrnąć z sytuacji. Chciał koniecznie dowiedzieć się treści listu. I był zmuszony zwrócić się do mnie, bo najwidoczniej żona z niego zadrwiła. Z drugiej strony niewątpliwie chciał wyrzucić zemstę na mnie. Odwzajemniłem mu się tym samym. Żaden z nas się nie odzywał. On nie chciał powtarzać swojej prośby, a ja przypatrywałem mu się tylko i zastanawiałem, jak postąpić.

Nagle odrzucił w tył głowę i spojrzał w dolinę. Stanął nieco inaczej i popatrzył na mnie jakoś z większą ufnością.

– Spaliła, psiakrew, list, nim zdążyłem przeczytać.

– Hm! – mruknąłem – ona sama nie wie, co w nim było.

Nie spuszczał ze mnie oczu. Uśmiechnąłem się pod nosem.

– Wolałem jej tego nie czytać – powiedziałem.

Zaczerwienił się gwałtownie, aż żyły na karku nabiegły mu krwią, i poruszył się niespokojnie.

– Dziewczyna z Belgii napisała, że tydzień temu urodziła dziecko i że chcą mu dać imię Alfred.

Zmierzyliśmy się oczami. Uśmiechnąłem się. A on wyszczerzył zęby.

– Szczęść jej Boże! – zawołał.

– Jak najbardziej – uzupełniłem.  
 – A co pan jej powiedział?  
 – Że dziecko urodziło się matce dziewczyny... to znaczy, że ma braciszka i że napisała do pana jako do przyjaciela rodziny.  
 Stał uśmiechając się złośliwie, chytrze, po farmersku.  
 – Czy połknęła to? – zapytał.  
 – Owszem, o tyle, o ile.  
 Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Nagle wybuchnął rechotem.  
 – Dobrze j e j tak! – wykrzyknął zagadkowo.  
 I roześmiał się głośno po raz drugi. Uważał oczywiście, że w sporze z żoną zyskał nowy atut.  
 – A cóż będzie z tamtą? – zapytałem.  
 – Z jaką tamtą?  
 – Z Elizą?  
 – Ach! – przestąpił niespokojnie z nogi na nogę – nic jej się nie stanie.  
 – Powróci pan do niej?  
 Spojrzał na mnie i wykrzywił się.  
 – Diabła tam! Dam głowę, że to nabieranie.  
 – Ale może *cher petit bébé* jest rzeczywiście małym Alfredem?  
 – Możliwe.  
 – Możliwe?  
 – Tak. Przecież nie ja jeden ją odwiedzałem.  
 Roześmiał się wesoło, lecz z przymusem.  
 – Co ona właściwie napisała? – zapytał.  
 Zacząłem powtarzać z pamięci zwroty listu:  
 – *Mon cher Alfred, figure-toi, comme je suis désolée...*<sup>1</sup>  
 Słuchał z pewnym zmieszaniem. Kiedy skończyłem (naturalnie nie pamiętałem wszystkiego dokładnie), odezwał się:  
 – Te belgijskie dziewczyny wiedzą, jak do człowieka pisać.  
 – Praktyka – zaopiniowałem.  
 – O, mają praktykę – potwierdził.  
 Nastąpiło milczenie.  
 – No, ostatecznie nie otrzymałem tego listu – stwierdził.  
 Dał przejmujący, ostry wicher, zza chmur wyjrzało zimne słońce. Wytarłem nos zabierając się do odejścia.  
 – Więc o n a nic nie wie? – Wskazał głową w kierunku Tible.  
 – Tylko tyle, co jej powiedziałem, to znaczy jeżeli naprawdę spaliła list.  
 – Pewno spaliła – odrzekł – na złość. Spaliła, piekielnica, ale ja się z nią porachuję.  
 Zaciął gniewnie szczękę. Nagle zwrócił się do mnie z nową nutą w głosie:  
 – Dlaczego pan nie ukręcił łba temu cholernemu pawiowi?  
 – A to dlaczego?  
 – Nienawidzę bydlaka! Strzeliłem do niego...  
 Roześmiałem się. On stał zadumany.  
 – Biedna mała – mruknął.  
 – Czy ona mała... *petite*? – zapytałem.  
 Potrząsnął głową.  
 – Nie. Raczej wysoka.  
 – Pewno wyższa od pańskiej żony...?

<sup>1</sup> *Mon cher Alfred...* (franc.) – Mój drogi Alfredzie, wyobraź sobie, jak jestem zrozpaczona.

Znów zajął mi w oczy i znów wybuchnął głośnym śmiechem, od którego poszły echa po cichej dolinie.

– A to ci heca! – zawołał ubawiony. Stał swobodnie, z nogą wysuniętą w przód, z rękami w kieszeniach bryczesów, z głową odrzuconą w tył. Był przystojny i bardzo męski. – Ale to ptaszysko zakatrupię, psiakrew – dodał półgłosem.

Zbiegłem ze wzgórza, dusząc się ze śmiechu.

## PROSZĘ O BILETY!

Ze stolicy jednego z hrabstw w środkowej Anglii wybiega jednotorowa linia tramwajowa i rzuca się z impetem w czarną przemysłową okolicę, to pędząc pod górę, to sunąc w dolinę. W oknach wozów migają brzydkie osiedla robotnicze zagłębia, kanały, wstęgi kolei żelaznej, wyniosłe kościoły, górujące nad dymem i mrokiem, małe, bardzo brudne miasteczka, kina, sklepy, kopalnie, wioski... I znów w pędzie pod górę, wiejski kościółek pod jesionami, i znów ten sam krajobraz aż do krańcowej stacji paskudnego przemysłowego miasteczka, otoczonego dziką, posępną okolicą. Tu zielono-kremowy tramwaj zatrzymuje się jakby z pomrukiem szczególnego zadowolenia. Ale tylko na kilka minut. Zegar na wieżycze hurtowni spółdzielczej wydzwania godzinę i oszklone pudło rusza ponownie w świat na nowe przygody. I znów tętnią koła z góry na dół, na łeb, na szyję. Zakręty tylko migają. Znów ten sam postój na wzgórzu w targowym miasteczku, w chłodnym wietrze, znów zawrotny objazd poniżej kościoła, skrajem przepaści, znów cierpliwe postoje na mijankach dla przepuszczenia kolegi, jadącego w przeciwnym kierunku, i znowu to samo przez długie dwie godziny, dopóki za przysadzistą gazownią i wydłużonymi budynkami fabryk nie ukaże się wielkie miasto. Wjeżdżamy w obskurne ulice i nieruchomiejemy na naszym końcu linii. Wielkie czerwono-kremowe tramwaje miejskie odbierają nam poniekąd pewność siebie, ale pomimo to nie tracimy fantazji i afiszujemy się wyzywająco swoją pietruszkową zielenią, wyhodowaną w czarnym węglowym ogrodzie.

Jazda w tych wozach jest zawsze przygodą. Ponieważ jest wojna, funkcje motorowych pełnią mężczyźni niezdolni do służby wojskowej: kaleki i garbaci. Ludzie ci są pełni brawury, a podróż tramwajem nabiera dzięki temu charakteru biegu z przeszkodami. Hura! Przesadziliśmy jednym skokiem mosty na kanale. A teraz skrzyżowanie dróg! Trzask, iskry – i ta przeszkoda wzięta. Zdarza się, że od czasu do czasu wykolejamy się, ale cóż to ostatecznie znaczy! Tkwimy w rowie, dopóki nie nadjadą inne wozy i nas nie wyciągną. Nierzadko się zdarza, że wóz, napchany po brzegi żywą masą ludzką, utknie w miejscu, nie wiadomo gdzie, wśród głębokich ciemności późnego wieczora, a motorowy i konduktorka wołają:

– Wysiadać! Tramwaj się pali!

Ale pasażerowie, zamiast uciekać w popłochu, odpowiadają flegmatycznie:

– Jazda! Jazda! Nie wysiadamy! Zostajemy w wozie! Ruszajcie!

Chyba, że zobaczą płomienie.

Powodem tej niechęci do wysiadania są przeraźliwie zimne wietrzne noce, a tramwaj wydaje się oazą bezpieczeństwa. Górnicy podróżują od wioski do wioski, ciekawi nowych kin, nie znanych dziewcząt i nowych knajp. W tramwajach panuje piekielny ścisk. Komu by się chciało wysiadać w bezdenny mrok nocy i czekać może nawet i godzinę na następny tramwaj po to tylko, by zobaczyć beznadziejny napis: „Zjazd do remizy”. A cóż dopiero, gdy przeleci tramwaj, składający się z trzech jasno oświetlonych wagonów, tak zatłoczonych ludźmi, że przejadą bez zatrzymania się przy akompaniamencie drwiących wrzasków! Tramwaje sunące nocą.

Tę najniebezpieczniejszą linię tramwajową w Anglii, jak twierdzą z dumą władze, obsługują wyłącznie konduktorki, młode dziewczęta i motorowi, lekkomyślni ryzykanci, niezdadni do służby wojskowej z powodu kalectwa lub też słabowici młodzieńcy, którzy boją się własnego cienia. Dziewczęta są nieustraszone. Ubrane w brzydkie granatowe mundury, spódniczki do kolan i nieforemne stare czapki z daszkiem, zachowują zimną krew niczym

starzy podoficerowie. Nic sobie nie robią z tramwaju, zatłoczonego wrzeszczącymi górnikami, którzy na dole ryczą hymny, a na górze, jakby w formie antyfony, bluzgają plugastwami. Rzucają się na łobuzów, którzy próbują jechać na gapę, wypychają pasażerów, którzy dojechali do swego przystanku. Nie pozwalają się oszukiwać. Jeszcze by też! Nikogo się nie lękają, a wszyscy się ich boją.

– Halo, Annie!

– Halo, Ted!

– Uważaj na mój odcisk, panienko! Musisz mieć serce z kamienia, boś mnie znów nadepnęła.

– To go schowaj do kieszeni – odpowiada dziewczyna i wchodzi śmiało po schodkach, stukając długimi butami.

– Proszę za bilety!

Jest stanowcza, podejrzliwa, gotowa walić pierwsza. Stawiłaby czoło tysiącom. Stopień tramwaju to jej Termopile.

W tramwajach panuje nastrój dziko romantyczny, atmosfera jakiejś niezwyklej przygody i ten nastrój udziela się także dzielnej Annie. Poranne godziny sprzyjają rozmarzeniu – a czas wlecze się ospale, z wyjątkiem dni targowych i sobót. Wtedy Annie może rozejrzeć się naokoło. Nieraz się zdarza, że wyskakuje z wozu i wpada do sklepu, gdzie coś sobie upatrzyła. A tymczasem motorowy gawędzi na jezdni.. Między dziewczętami i motorowymi istnieje przyjacielskie porozumienie. Czyż nie są towarzyszami niebezpiecznej jazdy na pokładach tych okrętów lądowych, kołyszących się wiecznie na falach górzystego terenu?

Również w tych godzinach widuje się najczęściej kontrolerów. Tak się złożyło, że na tej linii cały personel jest młody. Siwych głów ani na lekarstwo. To nie dla nich. Toteż i kontrolerzy są w odpowiednim wieku, a jeden z nich, starszy kontroler, jest przy tym przystojny. Warto mu się przyjrzeć, gdy czeka na tramwaj w pochmurny, deszczowy poranek, w czapce z daszkiem, nasuniętej na oczy, w długim ceratowym płaszczu. Twarz ma rumianą, ciemne, nastroszone na wietrze wąsiki i zuchwały uśmiezek na ustach. Dość wysoki i zwinny, nawet w ciężkim deszczowcu, wskakuje do tramwaju i wita Annie.

– Halo, Annie! Nie mokniesz?

– Jak się zdarzy.

W wozie jest tylko dwóch pasażerów. Kontrola szybko się kończy. Następuje długa bezceremonialna pogawędka na dwunastomilowej trasie.

Kontroler nazywa się John Thomas Raynor, ale wołają na niego zazwyczaj John Thomas. Natomiast złośliwi przezywają go czasami „Kogutem”. Gdy usłyszy to przezwisko, wpada w pasję. Johna Thomasa obgadują co najmniej w sześciu wioskach. Przystojny kontroler flirtuje z konduktorkami przed południem, a ciemnym wieczorem, po zejściu ze służby w remizie, wyprowadza je na spacer. Oczywiście dziewczęta często się zmieniają. Wtedy John Thomas uwodzi inne, a nieodzownym warunkiem tych zalotów jest, żeby były dostatecznie powabne i chętne do spacerów. Tu trzeba podkreślić, że przeważnie są przystojne. Poza tym wszystkie są młode i ciągła jazda tramwajami rozwija w nich tupet i beztroskę właściwą marynarzom. Co to kogo obchodzi, jak się zachowują, gdy okręt przybija do portu? Jutro znów będą na pokładzie.

Jednakowoż Annie miała w sobie jakiegoś diablika i jej ostry języczek przez wiele miesięcy trzymał Johna Thomasa na dystans. Może dlatego właśnie tym więcej ją pociągał. Podchodził do niej zawsze z tym samym zaczepnym uśmiezkim. Była świadkiem, jak podbił jedną dziewczynę po drugiej. Kiedy flirtował z nią z rana, poznawała po wyrazie oczu i ust, czy uprzedniego wieczora był z którąś na spacerze. Żaden mu nie dorównywał. Potrafiła przejrzeć go na wylot.

Ten wzajemny antagonizm sprawiał, że znali się jak stare kumple i byli w stosunku do siebie niemal tak przenikliwi, jak mąż z żoną. Ale Annie trzymała go zawsze na dystans.

Zresztą miała swego chłopca.

W listopadzie wypadła w Bestwood jarmark. I tak się zdarzyło, że Annie miała poniedziałkowy wieczór wolny. Mżył kapuśniaczek, pomimo to wystroiła się i poszła do wesołego miasteczka. Była sama, lecz spodziewała się, że znajdzie sobie towarzystwo.

Karuzele wirowały przy dźwiękach zgrzytliwej muzyki. Widowiska odbywały się wśród okropnego harmideru. W orzechowych automatach nie było wcale orzechów kokosowych, tylko jakieś wojenne namiastki. Niewiele zostało z dawnej świetności. Ale błoto było to samo, co zawsze, morze twarzy oświetlonych ogniami bengalskimi i elektrycznością też się nie zmieniło i taki sam zapach nafty i smażonych kartofli owiewał bawiących się.

Los zgotował Annie niespodziankę. Spotkała Johna Thomasa. Przystojny uwodziciel ubrany był w czarny płaszcz, zapięty pod samą szyję i w nasuniętą głęboko na oczy tweedową czapkę, spod której wyglądała rumiana twarz, jak zawsze uśmiechnięta. Jakże dobrze znała grę jego ust!

Ucieszyła się bardzo, że znalazła sobie chłopca. Nie należało do przyjemności być na jarmarku bez kawalera. Jak przystało na galanta, zafundował jej zaraz kolejkę górską na smokach ze srogimi kłami. Nie było to takie podniecające jak tramwaj. Ale ostatecznie siedzieć w zielonym rozklekotanym smoku, wysoko nad morzem malutkich twarzy i zataczać zawrotne kręgi pod samym niebem, podczas gdy kawaler pochylał się nad nią z papierosem w ustach, to było w dobrym tonie. Drobną, pulchną Annie miała temperamencik. Toteż bawiła się świetnie. Była szczęśliwa, rozochociona.

John Thomas zafundował drugą turę i dlatego, kiedy objął ją w pól i przyciągnął do siebie gestem niesłychanie czułym i pieścizotliwym, nie mogła go odepchnąć. Po prostu nie wypadło. A zresztą zachowywał się bardzo dyskretnie, tak aby nikt tego nie zauważył. Pochyliwszy głowę, stwierdziła, że jego czerwona ręka była dla innych niewidoczna. Ostatecznie znali się tak dobrze. Zabawa, to zabawa!

Ze smoków przesiedli się na konie. John Thomas płacił za każdym razem, musiała więc być uprzejma. On naturalnie siedział okrakiem na zewnętrznym koniu „Czarnej Betce”. Ona – bokiem – na wewnętrznym „Błędnym Ogniku”, zwrócona ku niemu. Trzymał się mosiężnej barierki. Wirowali dokoła, kołysząc się jak na morzu. Młody człowiek przerzucał nogę przez jej rumaka i zawieszony niebezpiecznie nad próżnią, to wznosząc się, to opadając w pozycji na pół leżącej, zaśmiewał się wraz z Annie. Był naprawdę uszczęśliwiony. Annie niepokoiła się o kapelusz, który przekrzywił jej się na bakier, ale i ona była radośnie podniecona.

Potem rzucał krążki na stół i wygrał dla niej dwie duże niebieskie szpilki do kapelusza. Następnie, słysząc, że zaczyna się nowy seans w kinie, wprowadził ją po deskach do szopy.

Oczywiście w trakcie wyświetlania aparatura psuje się od czasu do czasu i zapada nieprzenikniona ciemność. Wtedy dają się słyszeć dzikie wrzaski i głośnie cmokania symulowanych pocałunków. W takich chwilach John Thomas przyciągał Annie do siebie. Musiała przyznać w głębi duszy, że miał niezwykle pieścizotliwy, miły sposób obejmowania. I ostatecznie tak jej było przy nim przyjemnie, tak wygodnie i zacisznie, tak rozkosznie.

Pochylił się nad nią i poczuła we włosach jego oddech. Domyślała się, że chce ją pocałować w usta. Ostatecznie, było jej z nim tak dobrze... chciała, żeby ją pocałował.

Ale rozbłysło światło. Drgnęła i poprawiła kapelusz. Nie cofnął ramienia, obejmował ją od niechcienia. Ach, cóż to była za zabawa, co za przyjemność być z nim na jarmarku!

Po skończonym seansie poszli na spacer na mroczne wilgotne pola. Kontroler był mistrzem zalotów. A jak umiał obejmować! Siedzieli na szlabanie, wśród nieprzeniknionych dżdżystych ciemności, ona jakby zawieszona w przestrzeni w jego gorących objęciach, on upojony urokiem chwili. Całował powoli, delikatnie..!

Tak więc Annie flirtowała z Johnem Thomasem, chociaż nie zrywała ze swoim chłopcem. Niektóre koleżanki-konduktorki zaczęły się na nią bocyć. No cóż? W życiu różnie bywa.

John Thomas pociągał ją nieodparcie. Zdawała sobie z tego sprawę. Gdy był przy niej,

doświadcziała gorącej pełni życia. John Thomas również za nią przepadał. Zdawało się, że pod wpływem jego pieszczot zupełnie się rozplywa. Umiał to ocenić. Rzadko trafiał na taką wrażliwość.

Ale w miarę rozwijającego się flirtu, wzrastała zażyłość. Annie chciała widzieć w swoim pogromcy indywidualność. Chciała się nim głębiej interesować i spodziewała się po nim takiej samej reakcji. Nie chciała tylko samych nocnych spotkań. Była przeświadczona, że „wzięła” go mocno, że jej nie opuści.

Ale popełniła omyłkę. John Thomas nie zamierzał pogłębiać tego stosunku. Ani mu się śniło urastać w jej oczach na jakąś indywidualność. Kiedy zaczęła się bardziej interesować jego osobą, życiem, charakterem, dał drapaką. Nie znosił poważniejszego zainteresowania i wiedział, że jedynym lekarstwem na takie trudności jest odwrót. A w Annie obudził się kobiety instynkt posiadania, wobec czego została na koszu.

Bardzo się temu dziwiła. Początkowo była zaskoczona, przerażona, zbita z tropu. Była tak bardzo pewna, że go trzyma. Kiedy minęło pierwsze oszołomienie, rozpląkała się wściekła, oburzona, przeżywając to głęboko. Potem przyszedł nowy wybuch rozpacz. Ale kiedy lowelas zjawiał się bezwstydnie na stopniu jej wozu, jak zwykle poufały, lecz dający do zrozumienia gestami i mimiką, że obecnie znalazł sobie inną i że przerzucił się na inne pastwisko, postanowiła się odegrać.

Domyślała się, z którymi dziewczętami już chodził. Udała się najpierw do Nory Purdy. Była to wysoka, bladawa, ale ładnie zbudowana dziewczyna o pięknych złocistych włosach, skryta, zamknięta w sobie.

– Hej! – powitała ją wesoło Annie i zapytała szeptem: – Z kim John teraz chodzi?

– Nie wiem – odparła Nora.

– Akurat! – zaprzeczyła ironicznie Annie. – Ty byś nie wiedziała! Wiesz! Na pewno wiesz!

– No, więc wiem – przyznała się Nora. – Nie ze mną. Nie masz się co czepiać.

– Z Cissy Meakin, prawda?

– Zdaje się.

– Bezczelny! – zaopiniowała Annie. – Zaczynam źle o nim myśleć. Jeszcze go kiedy strącę z wozu. Niech się tylko pokaże!

– On się jeszcze doczeka! – powiedziała Nora.

– Doczeka się, jeśli się o to postaramy. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby mu przytrzeć nosa, a ty?

– Ani ja – zgodziła się koleżanka.

– Mamy z nim obydwie jednakowe porachunki – rzekła Annie. – Nie ma co zwlekać, moja kochana! No, co? Chcesz?

– Owszem – zgodziła się Nora.

W rzeczywistości była o wiele bardziej mściwa od Annie.

Annie obeszła po kolei wszystkie dawne sympatie obłudnika. Tak się zdarzyło, że Cissy Meakin rzuciła właśnie służbę tramwajową, bo matka kazała jej wracać do domu. John Thomas był *sur le qui vive*<sup>2</sup>. Zrobił przegląd swego harem i oko jego zatrzymało się na Annie. Pomyślał, że teraz sobie z nią poradzi. I zresztą miał do niej feblika.

Umówiła się z nim, że w niedzielę odprowadzi ją do domu. Jej wóz wracał do remizy o wpół do dziesiątej, a ostatni w trzy kwadrans później. John Thomas miał na nią czekać w remizie.

Konduktorki miały w remizie własną małą poczekalnię. Był to skromny, lecz przytulny pokój z kominkiem i piecem, stało w nim lustro, stół i krzesła. Szóstka dziewcząt, tych, które aż za dobrze znały Johna Thomasa, umówiła się, że w to niedzielne popołudnie

---

<sup>2</sup> Sur le qui vive (franc.) – w pogotowiu.



wszystkie będą na służbie. W miarę więc jak wracały wozy, zjawiały się w poczekalni jedna po drugiej. Lecz zamiast śpieszyć do domów, siadały koło ognia i piły herbatę. Na dworze panowała ciemność i groza wojennego bezprawia.

Kwadrans przed dziesiątą John Thomas przyjechał po Annie. Wsunął swobodnie głowę w drzwi poczekalni.

– Cóż to? Odmawiacie pacierze? – zapytał żartobliwie.

– Tak – odparła Laura Sharp. – Wstęp tylko dla kobiet.

– To tylko mnie tu brakuje! – zaśmiał się kontroler. Było to jedno z jego ulubionych powiedzonek.

– Zamknij drzwi, chłopcze! – zawołała Muriel Baggaley.

– Z której strony? – spytał dowcipnie John Thomas.

– Z której chcesz – powiedziała Polly Birkin.

Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Dziewczęta ścieśniły się trochę, robiąc mu miejsce koło ognia. Zdjął płaszcz i zsunął czapkę z czoła.

– Kto obsługuje czajnik? – zażartował.

Nora Purdy naląła mu w milczeniu filiżankę herbaty.

– Zjadłbyś moją kanapkę z sosem od pieczeni? – zapytała Muriel Baggaley.

– Daj troszeczkę!

Zaczął zajadać chleb.

– Nie ma to, dziewczynki, jak ognisko domowe – zauważył.

Na to bezczelne powiedzonko wszystkie podniosły na niego oczy. Młody lowelas wygrzewał się wśród tylu dziewcząt jak w słońcu.

– Zwłaszcza że nie boisz się wracać do domu po nocy – zauważyła Laura Sharp.

– Ja? Jak sam jestem, to się boję!

Siedzieli, dopóki nie usłyszeli ostatniego tramwaju. W parę minut później weszła Emma Houselay.

– Chodź, chodź, dziecińko! – zaprosiła ją Polly Birkin.

– Diabelnie zimno – oświadczyła przybyła, grzejąc ręce przy ogniu.

– Ale ja się boję wracać do domu po ciemku! – zawołała śpiewnie Laura Sharp, naśladując kontrolera.

– Z którą dziś idziesz, Johnie Thomasie? – zapytała chłodno Muriel Baggaley.

– Dziś? – powtórzył zagadnięty. – O, dziś pójdę sobie sam, samiuteńki.

– Tylko mnie tu brakuje! – wykrzyknęła, naśladując go, Nora Purdy.

Dziewczęta wybuchnęły gromkim śmiechem.

– I mnie także, Noro – zaznaczył John Thomas.

– Nie kapuję, co przez to rozumiesz – zdziwiła się Laura.

– No, wynoszę się. – Wstał, sięgając po płaszcz.

– O, nie! – zaprotestowała Polly. – Wszystkie czekamy tu na ciebie!

– Musimy jutro wstać na czas – odparł urzędowo łaskawym tonem.

Zaśmiały się jednogłośnie.

– Ach, nie! – zawołała Muriel. – Nie zostawiaj nas samych, Johnie Thomasie! Weź jedną!

– Wezmę wszystkie, jeżeli chcecie – odpowiedział z galanterią.

– Co to, to nie! – zaoponowała Muriel. – We dwoje, to owszem, ale w siedmioro, to stanowczo za dużo dobrego.

– Więc weź jedną – wtrąciła Laura. – Powiedz uczciwie i otwarcie, którą wybierasz.

– Właśnie! – poparła ją Annie, która milczała dotychczas. – Wybieraj, Johnie Thomasie! Czekamy!

– Nie – zaprotestował. – Tym razem pójdę sam. Chcę być sam.

– Nic z tego – powiedziała stanowczo Annie. – Musisz wybrać jedną z nas.

– Jakże ja mogę iść z jedną! – zaśmiał się z przymusem. – Nie chcę sobie robić wrogów.

– Zrobiłbyś sobie tylko jednego wroga – orzekła Annie.

– Z tej wybranej – dodała Laura.

– Do licha! Zachciało wam się żartów! – wykrzyknął John Thomas, robiąc taki ruch, jakby chciał zemknąć. – No, dobranoc!

– Nie, musisz wybrać – nalegała Muriel. – Obróć się twarzą do ściany. Będiesz zgadywał, która cię dotknie. No, dalej, każda po kolei dotknie twoich pleców. No, stań twarzą do ściany i nie oglądaj się. Zobaczymy, czy zgadniesz.

Było mu nieswojo. Nie ufał im, pomimo to nie odważył się uciekać.

Popchnęły go twarzą do ściany. Wyglądał tak komicznie, że zaczęły chichotać za jego plecami i wyczyniać grymasy. Obejrzał się niespokojnie.

– Dotykajcie! – krzyknął.

– Oglądasz się... oglądasz się! – wrzasnęły.

Odwrócił głowę. Nagle Annie doskoczyła do niego szybko jak kot i wyrznęła go w bok głowy z taką siłą, że czapka mu spadła i zachwiał się. Odwrócił się gwałtownie.

Ale na znak Annie rzuciły się wszystkie na niego, bijąc, szczypiąc, szarpiąc za włosy. Co prawda robiły to więcej na żarty niż w gniewie czy furii. Ale jemu krew uderzyła do głowy, w niebieskich oczach zamigotał dziwny strach i zarazem wściekłość. Przepchnął się do drzwi. Były zamknięte na klucz. Zaczął szarpać za klamkę. Dziewczęta stały naokoło, czujne, podniecone. Poczul się osaczony, jak jeleni napadnięty przez psy. Spojrzał na nie i te dziewczęta w krótkich spódniczkach wydały mu się groźne! Był w strachu, w prawdziwym strachu.

– No, Johnnie, dalej, wybieraj – zachęcała go Annie.

– Czego wy, u licha, chcecie? Otwierajcie!

– Nie otworzymy, dopóki nie wybierzesz! – wykrzyknęła Muriel.

– Co mam wybierać?

– Tę, z którą się ożenisz.

Zawahał się chwilę.

– Otwórzcie drzwi, do ciężkiej cholery, przestańcie stroić żarty! – Powiedział to tonem oficjalnym.

– Musisz wybrać! – wołały.

– No! – popędzała go Annie, zaglądając mu w oczy. – Dalej! Chodźże!

Postąpił niepewnie ku niej. Annie zdjęła pas i zamachnąwszy się, trzasnęła go w głowę metalową klamką. Skoczył i przytrzymał ją za ręce. Ale pozostałe dziewczęta rzuciły się na niego jak rozjuszony psy, szarpiąc, popychając, bijąc. Krew zagrała w nich nie na żarty. Miały go w rękach. Musiały się zemścić. Atakowały go ze wszystkich stron, usiłując powalić na ziemię. Dzikie, niesamowite istoty. Szarpnięty silnie mundur, rozdarł się na plecach od dołu do góry. Nora ciągnęła za kołnierz z tyłu. Zaczął się dusić, kiedy na szczęście pękł guzik. Szamotał się w przystępie ślepej furii i prawie obłąkańczego strachu. Zdarły z niego mundur, powyrywały rękawy koszuli, tak że pozostał z gołymi rękami. Rzucały się na niego, wczepiały się w niego, szarpały. To znów popychały, tłukły z całej siły, okładały kułakami. Bronił się, jak mógł, uciekał, dawał nurka pod ich rękami, opędzał się, bił na odlew... Atak stawał się coraz gorętszy.

W końcu runął na podłogę jak długi. Rzuciły się na niego, przygniotły kolanami. Nie mógł się poruszyć, zbrakło mu sił i oddechu. Twarz krwawiła od zadrapań, czoło miał posiniaczone.

Annie uklękła na nim, a za nią pozostałe dziewczęta. Czepiały się go jak koty. Twarze miały zaczerwienione, włosy w nieładzie, oczy dziwnie błyszczące. Leżał teraz nieruchomo z odwróconą twarzą, niby pokonane zwierzę, zdane na łaskę i niełaskę swego pogromcy. Chwilami spoglądał spod oka na rozjuszony twarze dziewcząt. Pierś jego podnosiła się ciężkim oddechem, ręce krwawiły.

Przez chwilę panowało milczenie.

– A teraz, mój kochany – odezwała się Annie, z trudem łapiąc oddech – teraz... teraz...

Słyszając w jej głosie chłodny przerażający triumf usiłował się poderwać. Ale mu się nie udało. Przygwoździły go z powrotem do podłogi z nadludzką siłą.

– No, teraz! Mów! – wykrztusiła znów Annie.

Zapanowało głucho milczenie. Można było usłyszeć bicie serc. Coś się przesilało...

– Teraz wiesz, jak rzeczy stoją... – wyjaśniła Annie.

Widok nagiego ramienia młodego człowieka doprowadzał dziewczęta do szaleństwa. On leżał na pół przytomny ze strachu i odrazy. A one czuły w sobie nadnaturalną siłę.

Nagle Polly wybuchnęła dzikim, nieopanowanym chichotem. Emma i Muriel zawtórowały jej. Jednak Annie, Nora i Laura zachowały tę samą napiętą czujność. Oczy im migotały. Uchyłał się przed ich wzrokiem.

– Tak – przemówiła znów przejmującym, tajemniczym szeptem Annie. – Tak! Teraz rozumiesz! Rozumiesz, czego narobiłeś, prawda? Rozumiesz...

Milczał i nie poruszał się. Leżał z odwróconą krwawiącą twarzą. Oczy mu błyszczały, ale nie patrzył na nie.

– Powinnyśmy cię zabić, rozumiesz? – ciągnęła złowieszczo Annie. – Powinnyśmy cię zabić. – W głosie jej brzmiała namiętność.

Polly przestała się śmiać. Wydawszy przeciągłe ooch, westchnęła i oprzytomniała.

– Musi wybrać... – odezwała się niepewnie.

– O, tak, musi – potwierdziła z mściwą stanowczością Laura.

– Czy słyszysz? Słyszysz? – pytała Annie i wykręciła jego twarz ku sobie tak gwałtownie, że skrzywił się z bólu. – Czy słyszysz? – powtórzyła, potrząsając nim.

Milczał jak zakłęty. Wymierzyła mu mocny policzek. Wzdrygnął się i otworzył szeroko oczy, ale znów się zaciął.

– Słyszysz?

Popatrzył na nią wrogo.

– Mów! – Przysunęła twarz do jego twarzy.

– Co? – zapytał prawie pokonany.

– Musisz wybrać! – krzyknęła takim głosem, jakby to była jakaś okropna groźba i jakby bolała nad tym, że nie może wymusić czegoś więcej.

– Co? – powtórzył przerażony.

– Musisz wybrać sobie dziewczynę, „Kogucie”. Musisz. Teraz. Zaraz.

– I pamiętaj, że jeżeli będziesz płatał w dalszym ciągu figle, mój chłopcze, skęcimy ci kark. Przepadłeś.

Znów nastąpiła pauza. Znów odwrócił głowę. Pomimo porażki przebiegłość go nie opuściła. Nie ustąpiłby im naprawdę i nie poddałby się, choćby go miały rozszarpać na sztuki.

– Dobrze więc – skapitulował. – Wybieram Annie. – Głos jego brzmiał dziwnie złośliwie. Annie puściła go raptownie, jakby trzymała rozżarzony węgiel.

– Wybrał Annie! – zawołały chórem.

– Mnie! – krzyknęła Annie. Klęczała jeszcze, ale z dała od niego. Leżał jak długi z odwróconą twarzą. Zdenerwowane dziewczęta stały naokoło.

– Mnie! – powtórzyła z goryczą Annie. Wstała i cofnęła się pełna odrazy. – Nie dotknęłabym go.

Na twarzy jej malowała się udręka. Zdawało się, że upadnie. Pozostałe dziewczęta również się odsunęły. John Thomas leżał w poszarpanym ubraniu z pokrwawioną twarzą zwróconą do podłogi.

– Jeżeli wybrał... – zaczęła Polly.

– Nie chcę go... może wybierać drugi raz – oznajmiła z tą samą beznadziejną goryczą Annie.

– Wstawaj! – rozkazała Polly, ciągnąc go za ramię. – Wstawaj!

Podniósł się powoli, oszołomiony, obszarpany... Zaciekawione przyglądały mu się z daleka ukradkowo i groźnie.

– Która go chce? – krzyknęła chrapliwie Laura.

– Żadna – odpowiedziały z pogardą, chociaż każda czekała, że spojrzy właśnie na nią, łudziła się, że spojrzy. Wszystkie z wyjątkiem Annie, w której coś się załamało.

Ale on stał z odwróconą, nieprzeniknioną twarzą, nie patrząc na żadną z nich. Zapadło milczenie. To już był koniec. Pozbierał strzępy podartego munduru, nie wiedząc, co z nim zrobić. Dziewczętom było nieswojo. Stały naokoło zaczerwienione, zdyszane, poprawiając machinalnie włosy i sukienki. Nie spuszczały go z oczu. Ale on nie spojrzał na żadną. Dostrzegłszy w kącie swoją czapkę, podniósł ją i włożył na głowę. Wyglądał tak cudacznie, że któraś wybuchnęła przeraźliwym histerycznym śmiechem. Nie zwrócił na to uwagi. Poszedł prosto do wieszaka, na którym wisiał jego płaszcz. Cofnęły się przestraszone. Włożył płaszcz, zapiął na wszystkie guziki i zwinąwszy ciasno strzępy munduru stanął niemo przed zamkniętymi drzwiami.

– Niech ktoś tam otworzy drzwi – powiedziała Laura.

– Annie ma klucz – objaśniła któraś.

Annie podała w milczeniu klucz. Nora otworzyła drzwi.

– Wet za wet, mój kochany – rzekła. – Okaż się mężczyzną i nie miej do nas urazy.

Ale on nacisnął klamkę i wyszedł ze spuszczoną głową, z nieodgadnioną twarzą; bez słowa, bez żadnego gestu.

– Będzie miał nauczkę! – powiedziała Laura.

– Kogut! – zawołała Nora.

– Milczcie, na Boga! – krzyknęła gwałtownie Annie, jakby ją brano na tortury.

– Jestem już gotowa do wyjścia. Szybko! – ponaglała Polly.

Wszystkim pilno było wyjść. Oniemiałe, z ogłupiałymi twarzami, pośpiesznie doprowadzały do porządku garderobę...

## NIEWIDOMY

Izabela Pervin nasłuchiwała turkotu kół na podjeździe i kroków męża w hallu. Zapadał ciemny listopadowy wieczór i mżył deszcz. Miał przyjechać jej najbliższy, najstarszy przyjaciel, człowiek, bez którego nie wyobrażała sobie życia. Posłano po niego gig na stację. Mąż Izabeli stracił wzrok we Flandrii i miał na czole szpeczącą blizną; teraz zajęty przy gospodarstwie, opóźniał się z przyjściem.

Wrócił do domu przed rokiem. Pomimo jego kalectwa czuli się szczęśliwi, i to bardzo szczęśliwi. Maurycy był właścicielem farmy. Zajmowali oboje piękne pokoje frontowe, od tyłu mieszkał Wernham z rodziną, który prowadził farmę. Od chwili powrotu inwalidy przebywali tylko ze sobą we dwoje. Rozmawiali, śpiewali i czytali, połączeni jakąś cudowną, niewymowną, głęboką zażyłością. Ponadto Izabela, wierna dawnym swoim upodobaniom, pisywała, recenzje o nowych książkach do szkockiego czasopisma, Maurycy zaś pomagał trochę w gospodarstwie. Brak wzroku nie przeszkadzał mu omawiać spraw z Wernhamem, a i sam mógł niejedno zrobić.

Co prawda były to prace drobne, drugorzędne, lecz sprawiały mu zadowolenie. Doił krowy, przynosił skopki z mlekiem, obracał wirówkę, oprzątał świnię i konie. Niewidomy żył pełnym życiem, pogodnym i spokojnym, nacechowanym owym niepojętym spokojem, jaki miewają tylko ludzie pogrążeni w wiecznych ciemnościach. Mając żonę, posiadał cały świat, realny, choć niewidzialny.

Byli znów szczęśliwi w jakiś nieprawdopodobny sposób. W tych pięknych dniach przepojonych wzajemnym uczuciem nawet nie żałował utraty wzroku. W duszy jego wzbierała przejmująca radość.

Lecz w miarę jak czas upływał, zdarzało się, że uniesienie zaczynało przygasać. I wówczas ogarniało Izabelę przygnębienie i nad cichym domem z kolumnadą wysokich sosen u podjazdu zawiązała chmura straszliwej nudy. Wtedy zdawało jej się, że zwariuje. Nie mogła tego znieść. Ale i on miewał ataki depresji, które go niszczyły. To było nawet coś gorszego niż depresja, ogarniała go beznadziejna rozpacz, gdyż własne życie stawało się dlań męką i wydawało mu się, że jego obecność staje się torturą dla żony. W takich dniach Izabela czuła, że trwoga sięga do samego dna jej duszy. Ogarnięta przerażeniem, starała się zespolić z mężem jeszcze bardziej. Udawała, że jest wesoła i beztroska. Ale kosztowało ją to zbyt dużo. Wiedziała, że długo tak nie wytrzyma. Gdyby mogła, krzyczałaby z udreki i oddałaby wszystko, absolutnie wszystko, żeby się ratować. Pragnęła posiadać męża całkowicie. Myśl, że ma go tylko dla siebie, napełniała ją bezgraniczną radością. Ale kiedy ginął jej w mrokach czarnej, bezdennej rozpacz, zaczynała go nie znosić, jak i siebie, i żałowała, że nie może zniknąć z powierzchni ziemi. Cokolwiek, byle nie życie za taką cenę.

Oszołomiona, szukała jakiegoś wyjścia. Zapraszała znajomych, starając się utrzymywać kontakty ze światem zewnętrznym. Ale wysiłki jej były daremne. Złączeni wspólną radością i cierpieniem w tym pierwszym roku ślepoty, żyli samotnie, inni ludzie wydawali się im płytki, zbyt gadatliwi i gruboskórni. Z trudem znosili czczą paplaninę. On niecierpliwił się i irytował, ją ogarniało znużenie. Wobec tego powrócili do samotności, bo tak było lepiej.

Teraz wszakże, za parę tygodni, miało przyjść na świat jej drugie dziecko. Pierwsze zmarło jako niemowlę po wyjeździe męża do Francji. Przyjścia drugiego oczekiwała z radością i ulgą. Czuła, że będzie ono dla niej wybawieniem, chociaż z drugiej strony nękała ją obawa. Miała trzydzieści lat, mąż był o rok młodszy. Oboje bardzo pragnęli dziecka. A jednak ogarniała ją trwoga. Miała na barkach kalekę, który był dla niej zarówno wielką radością, jak

i wielkim ciężarem. Dziecko siłą rzeczy ją zaabsorbuje. A co się wtedy stanie z Maurycym? Co on pocznie? O, gdyby mogła wierzyć, że i on również będzie wtedy spokojny i szczęśliwy! Tak bardzo pragnęła poświęcić się szczęściu macierzyństwa. Ale co zrobi mąż? Jakże go ona zabezpieczy, jak go ustrzeże od tych wstrząsających, rozpaczliwych nastrojów, tak niszczących ich oboje?

Wzdychała ogromnie niespokojna. Wtedy właśnie napisał do niej Bertie Reid. Był to jej stary przyjaciel, dość daleki kuzyn, tak samo szkockiego pochodzenia jak ona. Wychowali się niemal razem. Przez całe życie był jej przyjacielem, po prostu bratem, a nawet lepszym od rodzonych braci. Kochała go, nie myśląc jednak o małżeństwie. Łączyło ich powinowactwo duchowe. Rozumieli się instynktownie, bez słów. Lecz Izabela nigdy nie wyszłaby za Reida. Zdawałoby jej się, że poślubiła brata.

Bertie był adwokatem i zajmował się literaturą. Bystry i ironiczny, był zarazem sentymentalny. Izabelę wprost uwielbiał, ale również nie pragnął jej za żonę. Maurycy Pervin był innego pokroju. Pochodził ze starej, dobrej rodziny ziemiańskiej (jego folwark leżał niedaleko Oksfordu), był namiętny, wrażliwy, może nawet zbyt wrażliwy, ogromny i zwalisty. Gdy się rumienił, to aż po czuprynę. Umysł miał powolny. Własna ociężałość przygnębiała go, gdyż z natury był głęboko subtelny i uczuciowy. Tak więc stanowił zupełne przeciwieństwo Reida, któremu brakowało owej wrodzonej subtelności.

Od pierwszego wejrzenia obaj mężczyźni powzięli do siebie wyraźną niechęć. Izabela uważała, że powinni się lubić. Jednak nie przypadli sobie do serca. Czuła, że gdyby każdy z nich znalazł klucz do duszy drugiego, to wówczas zapanowałoby między nimi porozumienie. Cóż, kiedy nie potrafili go znaleźć. Bertie przybierał wobec Maurycyego z lekka ironiczną, bardzo obraźliwą postawę, za którą ten ostatni płacił urazą, graniczącą z nierozsądną nienawiścią.

Izabela dziwiła się, lecz nie umiała temu zaradzić. Mężczyźni są kapryśni i nierozsądni. Toteż kiedy Maurycy wyjechał drugi raz do Francji, zrozumiała, że ze względu na niego powinna zerwać z Bertiem. Napisała więc o tym do przyjaciela, który odpowiedział, że tak w tej sprawie, jak w innych, obowiązany jest stosować się do jej życzeń, jeżeli to jest rzeczywiście jej życzeniem.

Prawie przez dwa lata dwoje przyjaciół nic nie wiedziało o sobie. Izabela nie czuła żalu, przeciwnie, była nawet rada. W jej pojęciu mąż i żona powinni być dla siebie wszystkim. Ona i Maurycy byli małżeństwem. Kochali się, mogli mieć dzieci. Wszystko, co nie dotyczyło ich małżeńskiego szczęścia, nie miało znaczenia. Uważała się za szczęśliwą i gotowa była podejmować przyjaciół Maurycyego. Była więc szczęśliwa i pełna dobrej woli.

Szczęśliwa jako żona, pełna dobrej woli jako kobieta. Ale przyjaciele, nie wiadomo dlaczego, wycofali się speszeni z kręgu ich szczęścia i więcej się nie pokazali. Maurycyego, oczywiście, radowało to małżeńskie odosobnienie, tak samo jak Izabelę.

On brał udział w literackiej działalności żony, ona interesowała się rolnictwem i hodowlą bydła. Pomimo że z natury była uczuciową entuzjastką, to jednak przywiązywała wagę do materialnej strony życia i chętnie się zajmowała sprawami praktycznymi.

W ten sposób upłynęło im pięć lat. Ostatni rok był okresem niewymownej zażyłości. Teraz Izabela poczuła, że zaczyna ją ogarniać ogromne zubożenie, podobne do letargu. Pragnęła donosić dziecko w spokoju, drzemać przy kominku i wegetować leniwie, bezmyślnie, z dnia na dzień. Ale Maurycy był jak złowieszczą chmura gradowa. Musiała żyć czujnie, żeby o nim nie zapominać.

Kiedy nadszedł list od Bertrama Reida z zapytaniem, czy ma uważać ich przyjaźń za zerwaną i wyrażający głębokie współczucie z powodu wielkiego nieszczęścia, jakie dotknęło Maurycyego, zrobiło się jej przykro i ocknęła się z odrętwienia. Przeczytała list mężowi.

- Zaproś go do nas – zaproponował Maurycy.
- Mam zaprosić Bertie’ego? – powtórzyła.

– Tak... jeżeli on zechce przyjechać.

Zawahała się.

– Wiem, że sobie tego życzy... bardzo by się ucieszył – odparła. – Ale co ty powiesz, Maurycy? Czy będziesz zadowolony?

– Owszem.

– Dobrze, w takim razie... Chociaż miałam wrażenie, że go nie lubisz.

– Ach, nie wiem. Może teraz wyda mi się inny – odpowiedział niewidomy. Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Dobrze, kochany – zgodziła się – jeżeli naprawdę chcesz...

– Naprawdę chcę. Niech przyjedzie – zdecydował Maurycy.

I właśnie czekała na gościa. Listopadowy wieczór był ciemny, deszczowy. Była podniecona i udręczona niepewnością. Często ogarniało ją zwątpienie. Minęło jej to pod wpływem letargu, spowodowanego zbliżającym się macierzyństwem, ale teraz powróciło. Gniewało ją to. Walczyła, jak zwykle, aby zachować maskę spokoju i nadal odnosić się przyjaźnie do otoczenia.

Służąca zapaliła wysoką lampę, stojącą obok stołu, i rozpostarła obrus. W długiej jadalni, umeblowanej wytwornie, lecz nieco surowo, antykami, panował szarawy mrok. Tylko okrągły stół jaśniał łagodnie w blasku lampy. Efekt był piękny, wspaniały... Lśniący biały obrus opadał ciężkimi, koronkowymi rogami prawie ku dywanowi, piękna, stara, kremowa porcelana pociągała wzrok jaskrawoczerwonymi i niebieskimi deseniami. Filiżanki były duże, w kształcie kielichów kwiatowych, a czajnik prześliczny. Izabela popatrzyła na stół zadowolona.

Była bardzo zdenerwowana. Rzuciła znów okiem na wysokie, odsłonięte okna. Na tle ciemniejącego nieba rysowały się kontury olbrzymiej, chwiejącej się na wietrze jodły. Bardziej odgadywała, że ona tam jest, niż ją widziała. Deszcz bębnił monotonie o szyby. Ach, spokoju, spokoju! Dlaczego obaj znęcają się nad nią? I dlaczego nie przychodzą? Dlaczego każą jej czekać?

Pomimo znużenia ogarnęła ją irytacja. Ach, to czekanie, ta niepewność! Przynajmniej Maurycy mógł przyjść, jego nic nie zatrzymywało. Wstała. Na widok własnego odbicia w lustrze uśmiechnęła się, jakby poznając dawną znajomą. Twarz miała owalną, spokojną, nos trochę orli. Szyja i ramiona tworzyły piękną linię. Splecione w luźny węzeł włosy nadawały jej ciepły, macierzyński wygląd. Podniosła brwi i nieco ciężkie powieki, przez usta jej przebiegł lekki uśmiech, przyglądała się swojej twarzy, która utraciła rysy Madonny. W jej szarych oczach pojawił się trochę złośliwy, sardoniczny błysk.

I znów przybrała maskę cierpliwości (w gruncie rzeczy była z natury opanowana) i poszła energicznym krokiem ku drzwiom. Oczywiście miała lekko zaczerwienione.

Przeszedłszy przez szeroki hall i drzwi od tyłu, znalazła się na podwórzu folwarcznym. Poczowała zapach mleczarni, kuchni, podwórza i skóry, i zrobiło jej się mdło. Szorowano rondle. Wyłożony tafelkami korytarz był ciemny, wilgotny, zabłocony. Z otwartych drzwi kuchni padało światło. Izabela podeszła i stanęła w progu. Służba folwarczna siedziała koło długiego, wąskiego stołu z białą lampą pośrodku. Jedzono podwieczorek. Popatrzyła na rumiane twarze, spierzchnięte, czerwone, poruszające się usta, głowy pochylone nad kubkami z herbatą: na mężczyzn, dziewczęta folwarczne, chłopców. Posilali się. Paru zauważyło ją. Wernhamowa, utykając nieznacznie, obchodziła stół z wielkim czarnym czajnikiem i dostrzegła ją dopiero po pewnej chwili.

– Ach, to pani! – wykrzyknęła. – Proszę, niech pani będzie łaskawa wejść. Właśnie pijemy herbatę.

Podsunęła krzesło.

– Nie, dziękuję, nie wejdę – odparła Izabela. – Przykro mi, że przeszkodziłam wam w

posiłku.

– Ale gdzie tam, proszę pani! Ale gdzie tam!

– Nie wiecie, czy pan już wrócił?

– Nie wiem, proszę pani. Widać się pani bez pana przykrzy.

– Nie. Tylko chciałam, żeby już przyszedł – roześmiała się z pewnym zażenowaniem Izabela.

– Chciałaby pani, żeby już przyszedł? Ej, chłopcze...

Wernhamowa uderzyła po karku jednego z chłopców. Zaczął wstawać z szuraniem, poruszając pracowicie szczękami.

– Pan pewno w głównej stajni – odezwał się ktoś zza stołu.

– Ach, nie! Nie wstawaj. Ja sama pójdę – powiedziała Izabela.

– Niech pani lepiej nie wychodzi na taką paskudną pogodę. Chłopak idzie. Co się tak wolno ruszasz, jak mucha w smole? – ponagliła go Wernhamowa.

– Nie, nie – zaprotestowała Izabela ze stanowczością, która zawsze budziła posłuch. – Pij herbatę, Tom. Chciałabym sama iść do stajni, pani Wernham.

– Słyszane to rzeczy! – wykrzyknęła kobieta.

– Czy gig się nie spóźnia? – zapytała Izabela.

– Nie – odparła gospodyni, spoglądając na wysoki, ledwo widoczny zegar. – Nie, proszę pani. Jeszcze czas. Trzeba poczekać jeszcze ze dwadzieścia minut, dobry kwadrans.

– Ach! Tak się teraz wczesnie ściemnia! Wydaje się, że jest już później – zauważyła Izabela.

– A jakże, a jakże! Dni coraz krótsze – przytaknęła Wernhamowa. – Aż się człowiekowi żyć nie chce.

– Właśnie – zgodziła się Izabela, wychodząc.

Wciągnęła kalosze, owinęła się wielkim, kraciastym, szkockim szalem, włożyła męski, filcowy kapelusz i ruszyła chodnikiem przez pierwsze podwórze. Było bardzo ciemno. Wiatr huczał w koronach wielkich wiązków za zabudowaniami folwarcznymi. Gdy dotarła do drugiego podwórza, jeszcze bardziej się ściemniło. Szła z trudnością, niepewnie. Żałowała, że nie wzięła latarni. Deszcz bił ją w twarz. Było to przyjemne, ale zarazem dokuczliwe.

Dobrzeńka do ledwo widocznych drzwi stajni. Nigdzie nie było widać światła. Otworzyła górną połowę i zajrzała. Istna studnia ciemności! Wśród tej nocy zapach koni i amoniaku oraz ciepłe powietrze zrobiły na niej zaskakujące wrażenie. Natężyła słuch, ale nie słyszała nic prócz stapania koni.

– Maurycy! – zawołała miękkiem, śpiewnym głosem, chociaż była w strachu. – Maurycy... jesteś tam?

Odpowiedziało milczenie. Zorientowała się, że na rozgrzane konie dmucha wiatr z deszczem. Weszła więc i zamknęła starannie obie połowy drzwi. Stała bez ruchu. Wiedziała, że ma przed sobą zady końskie. Bała się koni. Serce jej biło gwałtownie.

Nasłuchiwała w napięciu. Po chwili dobiegł ją jakby z oddali brzęk wiadra i męski głos. Powiedział coś, jedno słowo. Maurycy krząta się w głębi stajni. Stała nieruchomo, czekając, aż przyjdzie od strony drzwi w przegrodzie. Niewidoczne konie były tak przerażająco blisko.

Drgnęła na szczęk klamki. Drzwi się otworzyły. Słyszała i czuła męża, jak wszedł i przesuwał się niewidzialnie między końmi. Niewidomy człowiek zlewał się z mrokiem nocy i niewidocznymi zwierzętami. Niski tenor jego głosu, gdy przemówił do koni, ukoił jej nerwy jak aksamitna pieszczota. Jest tak blisko, a mimo to niewidzialny. Ciemność zdawała się kipieć naokoło niej. Zakręciło jej się w głowie.

Ale z całą przytomnością umysłu zawołała spokojnym, dźwięcznym głosem:

– Maurycy! Maurycy! Kocha...ny!

– Jestem – odpowiedział. – To ty, Izabelo?

Sam jego głos podziałał na nią jak dotknięcie.



– Halo! – powiedziała wesoło, wyteżając wzrok. Krzątał się wciąż tuż koło niej, lecz widziała tylko ciemność. To ją rozstrajało.

– Nie przyjdiesz do domu, kochany? – spytała.

– Owszem. Zaraz. Za pół minuty. No, spokojnie, nastap się! Czy gig wrócił?

– Jeszcze nie.

Głos jego brzmiał zwyczajnie, przyjemnie, ale według niej troszeczkę prostacko. Chciała, żeby wyszedł stąd jak najprędzej. Był tak zagubiony w ciemnościach, że się go bała.

– Która godzina? – zapytał.

– Nie ma jeszcze szóstej – odparła. Nieprzyjemnie było wołać w ciemność. Za chwilę miała go już koło siebie i cofnęła się do wyjścia.

– Deszcz zacina do środka – powiedział, idąc pewnym krokiem i szukając drzwi wyciągniętymi rękami. Usunęła się z drogi i wreszcie zobaczyła niewyraźne zarysy jego sylwetki.

– Bertie nie będzie miał miłej jazdy – zauważył, zamykając drzwi.

– O, nie! – potwierdziła spokojnie, nie spuszczać oczu z ciemnej postaci. – Podaj mi ramię, kochany!

Przycisnęła mocno jego ramię, ale czuła się źle, bo nie mogła go widzieć. Była zdenerwowana. On szedł wyprostowany, z podniesioną głową. Stąpał dziwnie ostrożnie swoimi muskularnymi nogami. Wyczuwała mocny kontakt jego stóp z ziemią...

W korytarzu zawahał się, po czym ruszył niepewnie, bez słowa, w poszukiwaniu ławki. Znalazł i osunął się na nią ciężko. Miał spadziste ramiona, małą głowę i nosił ją zazwyczaj wysoko, swobodnie. Kiedy tak siedział pochylony, zdejmując getry i trzewiki, nie wyglądał na niewidomego. Patrzyła na jego ciemne kędzierzawe włosy, na duże, sprawne ręce z rozszerzonymi żyłkami na przegubie, na masywne uda i kolana. Kiedy wstał, twarz i kark miał nabrzmiałe od wysiłku. Żyłki na skroniach nabiegły krwią. Na oczy nie patrzyła.

Radowała się zawsze, gdy przechodzili przez furtkę, dzielącą rejon folwarczny od ich uroczego gniazdka. W przesiąkniętej odorem bydła atmosferze podwórza niewidomy mąż budził w niej lekki strach. I jego zachowanie zmieniało się, skoro tylko poczuł znaną subtelną woń apartamentu żony. Może to był zapach potpourri w czarkach.

Przystanął u schodów, nasłuchując. Patrzyła na niego ze ściśniętym sercem. Wyglądał tak, jakby nasłuchiwał kroków przeznaczenia.

– Jeszcze nie przyjechał. Pójdę na górę przebrać się.

– Maurycy – zapytała. – Ty byś może wolał, żeby on nie przyjeżdżał?

– Nie jestem pewny – odpowiedział. – Czuję się, jakby na *qui vive*.

– Zauważyłam to – odparła i wspiąwszy się na palcach, pocałowała go w policzek. Zobaczyła, że lekko się uśmiechnął.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała filuternie.

– Bo mnie pocieszasz – odpowiedział.

– Ależ nie. Dlaczego miałabym cię pocieszać? Wiesz, że się kochamy, wiesz, jak bardzo jesteśmy zżyci! Czy wobec tego mogą wchodzić w grę inne osoby?

– Absolutnie nie, moja najdroższa.

Poszukał jej twarzy i dotknął jej.

– A ty, czy się dobrze czujesz? – zapytał z niepokojem.

– Świetnie, kochany – zapewniła. – Jeżeli się czasami trochę martwię, to tylko o ciebie.

– Dlaczego o mnie? – zdziwił się, przesuwając delikatnie koniuszki palców po jej twarzy. Dotknięcie to działało na nią nieomal hipnotycznie.

Poszedł na górę. Zobaczyła, jak zniknął w ciemnościach korytarza, niewidzący, niezmienny. Nie wiedział, że lampy na górze nie były zapalone. Wszedł w czarny mrok, nie zmieniając kroku. Usłyszała go w łazience.

Pervin poruszał się wśród znanego otoczenia prawie automatycznie. Wyczuwał niejako

obecność przedmiotów, zanim ich dotknął. Sprawiało mu przyjemność żeglować w ten sposób wśród świata rzeczy, na fali wycucia. Nie myślał wiele i nie trapił się nadmiernie. Pozostając w bezpośrednim kontakcie ze światem nie odczuwał braku wzroku. Był szczęśliwy. Ten bogaty instynkt życia graniczył niekiedy z ekstazą. Życie przelewało się w nim, jak fale przyływu, pluskając i prac naprzód, naprzód, w ciemnym zalewie całego świata. Przyjemnie było wyciągać rękę napotyając niewidzialne przedmioty, obejmować je i brać w posiadanie samym tylko dotykiem. Nie próbował przypominać sobie dawnych wrażeń wzrokowych. I nawet nie chciał. Wytworzyła się w nim nowa forma świadomości.

Niezmierne bogactwo jego doznań czyniło go szczęśliwym, osiągając punkt kulminacyjny w namiętej miłości do żony.

Ale zdarzało się, że fala zalewającego go szczęścia zamierała i zaczynała się cofać. Wtedy wybuchał w nim szum wzburzonego morza. Chaos przyprawiał go o męczarnie. Zaczął się lękać tego wewnętrznego niepokoju, bał się sprzeczności własnej natury. Jak tu opanować samego siebie, jak się zabezpieczyć? Pytanie to urastało w nim jak krzyk szaleństwa. Zaciskał pięści, gotów do zwycięskiej walki z całym światem. Lecz próżne to były zapędy. Nie mógł zwyciężyć nawet siebie.

Tego wieczora wszakże był jeszcze pogodny, chociaż czuł, że ogarnia go. bezsensowna irytacja. Golił się ostrożniej niż zwykle. I słuch nabrał jakiejś nadmiernej ostrości. Słyszał, jak służąca zapalała lampy w korytarzu i krzątała się koło ognia w gościnnym pokoju. Kiedy przechodził do swego pokoju, usłyszał zajeżdżający gig. I zaraz dał się słyszeć donośny głos Izabeli, podobny do dzwonka:

– To ty, Bertie? Przyjechałeś?

– Halo, Izabelo! Jak się masz? – dobiegł go męski głos.

– Musiałeś mieć szkaradną jazdę... Żałuję, że nie mogliśmy posłać zamkniętego powozu. Nie widzę cię, Bertie.

– Już idę. Przeciwnie. Miło mi się jechało. Przypomniało mi się Pertshire. A ty, jak się miewasz? Jesteś widzę jak zawsze w dobrej kondycji.

– O, tak – odparła Izabela. – Czuję się wspaniale. A ty? Jesteś zbyt chudy.

– Zapracowuję się na śmierć, jak wszyscy, ale jestem zdrowy. Jak się miewa mąż? Czy go nie ma?

– Jest. Przebiera się na górze. Doskonale się miewa. Zdejm to mokre ubranie. Każę je wysuszyć.

– A jakie wasze samopoczucie? Czy bardzo rozpacza?

– Nie. Wprost przeciwnie. Jesteśmy niewiarogodnie, cudownie szczęśliwi. To coś więcej, niż mogę pojąć. To cudowne zjednoczenie, ten spokój...

– Bardzo się cieszę. Bardzo.

Odeszli w głąb pokoju i Pervin więcej nic nie usłyszała. Ożywione głosy rozmawiającej pary zalały mu duszę falą dziecinnej rozpaczy. Wydał się sobie wyrzucony za nawias, jak dziecko, które pozostawiono za drzwiami. Czuł się niepotrzebny, nie wiedział, co z sobą robić. Dał się ponieść bezradnej rozpaczy. Ubierał się niedołąźnie, nerwowo, jakby nagle zdzieciniał. Nie znosił szkockiego akcentu Bertrama i lekkiej nutki tego akcentu w głosie Izabeli. Nie cierpiał przymilnego sposobu mówienia Szkotów. Raziło go, że tak swobodnie opowiadała kuzynowi o ich szczęściu i serdecznej miłości. Zżymał się i irytował. Porwała go bolesna tęsknota za powrotem do zamkniętego dlań kręgu życia. Zarazem czuł się w dalszym ciągu potężnym, silnym, posępnym mężczyzną, rozwścieczonym własną słabością. Fatalne kalectwo sprawiło, że nie mógł być samodzielny. Musiał zależeć od innych. I ta zależność doprowadzała go do furii. Nienawidził Bertie'ego Reida, jednocześnie zdając sobie sprawę, że ta nienawiść jest nonsensowna i wynika z jego własnej słabości.

Zszedł na dół. Izabela była sama w jadalni. Patrzyła, jak ostrożnie wchodził z podniesioną głową. Taki silny, taki zdrowy, a jednocześnie wykreślony z życia. Przyszło jej to na myśl,

może przez asocjacją z jego twarzą poznaczoną bliznami.

– Słyszałeś, Maurycy? Bertie przyjechał...

– Słyszałem. Czy go tu nie ma?

– Jest w swoim pokoju. Bardzo schudł i zmizerniał.

– Pewno zapracowuje się na śmierć?

Weszła służąca z tacą, a w parę minut później Bertie. Był to drobny ciemny mężczyzna o wysokim czole, rzadkich włosach i wielkich, melancholijnych oczach. Nadmiernie smutny wyraz twarzy sprawiał niemal komiczne wrażenie. Całości dopełniały dziwne, krótkie nogi.

Izabela spostrzegła, że zawahał się w drzwiach i obrzucił nerwowym spojrzeniem jej męża. Usłyszawszy go, Pervin odwrócił się.

– No, jesteś – powiedziała Izabela. – Chodź, siadamy do stołu.

Gość podszedł do Maurycego.

– Jak się masz?

Niewidomy wyciągnął rękę w przestrzeń i Bertie ją uściśnął.

– Doskonale. Cieszę się, że przyjechałeś.

Izabela popatrzyła na nich i odwróciła głowę, jakby nie mogąc znieść ich widoku.

– Chodźcie – powtórzyła. – Proszę do stołu. Musicie być obaj strasznie głodni? Bo ja okropnie.

– Ach, więc czekaliście na mnie z herbatą – zauważył Bertie i wszyscy usiedli.

Maurycy siedział na krześle wyprostowany, dziwnie daleki, niczym skała. Widząc go takim Izabela zawsze doznawała bicia serca.

– Nie – odpowiedziała gościowi. – Jadamy wieczorem mniej więcej o tej godzinie. Kilka minut wcześniej. Nie jemy kolacji, tylko taki lepszy podwieczorek. Może ci to nie będzie odpowiadało? Ale w ten sposób wieczór wydaje się przyjemnie długi.

– I ja to lubię – odrzekł Bertie.

Maurycy szukał swego nakrycia, noża, widelca i serwetki szczególnymi ruchami, przypominającymi kota ugniatającego łapkami legowisko. Wbijał sobie w pamięć geografie swego nakrycia. Siedział wyprostowany, nieprzenikniony, dziwnie daleki. Bertram obserwował nieruchomą postać niewidomego, delikatną sprawność jego dużych czerwonych rąk i jakiś szczególny bijący od niego spokój. Odwrócił z wysiłkiem oczy i nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, wziął ze stołu kryształowe naczynko z fiołkami i przytknął do nosa.

– Cudnie pachną – zauważył. – Skąd je macie?

– Z ogrodu. Rosną pod oknami – objaśniła Izabela.

– Takie późne i takie pachnące! Czy pamiętasz fiołki pod południowym murem u ciotki Bell?

Przyjacielska para wymieniła uśmiech i spojrzenie. Oczy Izabeli rozbłysły.

– Czy pamiętam? – powtórzyła. – Cóż to było za dziwadło!

– Dziwaczna stara panna – zaśmiał się Bertie. – W naszej rodzinie istnieje skłonność do dziwactw, Izabelo.

– My, to znaczy ty i ja, jesteśmy wolni od tej przywary – odpowiedziała młoda kobieta. – Podaj Maurycemu – dodała, widząc, że Bertie odstawia kwiaty. – Czy wachałeś fiołki, kochany?! Powąchaj! Tak cudnie pachną.

Maurycy wyciągnął rękę i Bertie umieścił naczynko w jego dużej ciepłej dłoni. Ręka niewidomego zamknęła się na chudych palcach prawnika. Bertie uwolnił je ostrożnie. Dwoje widzących przyglądało się, jak wachał fiołki. Maurycy schylił głowę i jakby się zamyślił. Izabela czekała.

– Prawda, że ślicznie pachną? – zapytała z niepokojem.

– Cudnie – przytaknął, oddając czarękę. Gość odebrał ją od niego. Bertie i Izabela trochę się zlekli. Oboje byli zaniepokojeni.

W trakcie posiłku tych dwoje gawędziło od niechcienia. Niewidomy milczał. Po kilka razy

dotykał jedzenia końcem noża szybkimi, delikatnymi ruchami, po czym odkrawał nierówne kawałki. Nie znosił, żeby mu pomagano. Izabela i Bertie cierpieli. Izabela zastanawiała się, dlaczego. Nie cierpiała przecież, będąc sam na sam z mężem. Obecność kuzyna wywołała dziwną zmianę.

Po herbacie zasiedli przy ogniu na pogawędkę. Karafki stały pod ręką. Izabela poprawiła ogień i w górę kominka strzeliła chmura złotych iskier. Bertie zauważył lekką ociężałość jej ruchów.

– Cieszysz się, że będziesz miała dziecko, Izabelo? – zapytał.

Spojrzała na niego z bladym uśmiechem.

– Bardzo – odpowiedziała. – Nie mogę się już doczekać. Ogromnie się cieszę. I ty także, Maurycy, nieprawdaż? – dodała.

– I ja też – potwierdził mąż.

– Oboje oczekujemy tej chwili z wielkim utęsknieniem.

– Tak, oczywiście – rzekł Bertie.

Był o parę lat starszy od przyjaciółki i dotychczas się nie ożenił. Mieszkał w pięknych apartamentach z oknami wychodzącymi na rzekę. Mieszkaniem opiekował się wierny służący Szkot. Bertie przyjaźnił się z kobietami, ale żadnej z nich nie kochał. Dopóty z niezachwianym oddaniem uwielbiał niektóre swoje znajome i okazywał im rycerskość, dopóki któraś nie usiłowała wyciągnąć po niego pazurków.

Izabela знаła go do gruntu, znała jego stałość i dobroć, jak również nieuleczalny defekt, czyniący go niezdolnym do bliskich kontaktów z ludźmi. Reid wstydził się siebie, bo nie mógł się ożenić, fizyczne zbliżenie do kobiety napawało go odrazą. W głębi duszy bał się. Strach czynił go bezsilnym, a nawet brutalnym. Wyrzekł się nadziei, przestał się spodziewać, że przezwyceży kiedyś własną słabość. Był wziętym adwokatem, głośnym literatem, bogatym człowiekiem i ozdobą towarzystwa, a w głębi duszy czuł się niczym. Był nijaki.

Izabela znała go dobrze. Podziwiając go, zarazem gardziła nim. Popatrzyła na jego posępną twarz, krótkie nogi i wezbrało w niej wzgardliwe lekceważenie. Spojrzała na jego ciemnoszare oczy; pełne niesamowitej, niemal dziecięcej intuicji i wezbrała w niej miłość. On rozumiał ludzi w zdumiewający sposób, ale to jej nie peszyło. Jako mężczyznę traktowała go protekcjonalnie.

Zwróciła się do niewzruszonego, milczącego męża. Siedział rozparty w fotelu, z podniesioną twarzą, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Potężne kolana trzymał złączone. Westchnęła, wzięła znów pogrzebacz i zaczęła przegarniać w kominku. Znów wzbiła się w górę chmura lśniących iskier.

– Izabela mi powiedziała – zaczął nagle Bertie – że nie cierpiałeś tak straszliwie z powodu utraty wzroku?

Maurycy wyprostował się uprzejmie, nie rozplatając wszakże rąk.

– Nie, nie cierpiałem tak bardzo. Od czasu do czasu, rozumiesz, zrywa się w człowieku bunt. Ale i to nieszczęście ma swoje dobre strony.

– Mówią, że gorsza jest zupełna głuchota – zauważyła Izabela.

– I ja tak sądzę – rzekł prawnik. – Jakież to dobre strony? – zwrócił się do Maurycego.

– Przestaje się człowiek przejmować wielu rzeczami.

Niewidomy znowu wyprostował się, zasiadł jak przedtem wygodnie w fotelu, z twarzą wzniesioną ku górze.

– Tak, to jest ulga – przyznał Bertie. – Ale co masz zamiast tego? Co ci zastępuje zwykłą aktywność widzącego?

Zapanowało milczenie. W końcu Maurycy odpowiedział jakby od niechcienia:

– Och, sam nie wiem. Nawet kiedy człowiek nie działa, coś się w nim dzieje.

– Doprawdy? – zapytał gość. – Co właściwie? Zawsze mi się zdawało, że jeśli nie ma myśli i działania, to nie ma nic.

Znów Maurycy nie od razu odpowiedział:

– Jest coś, tylko nie potrafię ci powiedzieć, co.

I na tym się znów temat urwał. Izabela i Bertie gawędzili i wspominali dawne czasy. Niewidomy milczał.

W końcu Maurycy wstał. Był rozstrojony, skrępowany, nieswój. Czuł się tu niepotrzebny. Chciał odejść.

– Czy nie macie nic przeciwko temu, że pójde pomówić z Wernhamem?

– Oczywiście, idź, kochanie – odpowiedziała żona.

Wyszedł. Między dwojgiem przyjaciół zapadło milczenie. Wreszcie Bertie rzekł:

– Bądź co bądź to jest wielkie nieszczęście.

– O, tak, Bertie. Wiem, że to wielkie nieszczęście.

– A czyż my wszyscy jesteśmy szczęśliwi, czyż nam niczego nie brakuje – wtrącił Bertie.

– A jednak... Maurycy w miejsce wzroku ma coś innego, coś, o czym się przedtem nie wiedziało, czego niepodobna wyrazić słowami.

– Co takiego? – pytał adwokat.

– Nie wiem. Trudno to określić, straszliwie trudno, ale to coś potężnego, bezpośredniego. Obecność Maurycego działa na mnie przedziwnie. Nie umiem tego określić, ale nie mogłabym się bez tego obejść. Skłonna jestem powiedzieć, że to coś sprawia, że przestaje się myśleć. Lecz kiedy jesteśmy sami, nic mi nie brakuje. To coś wydaje się wtedy straszliwie głębokie, po prostu wspaniałe.

– Nic z tego, niestety, nie rozumiem – westchnął Bertie.

Rozmawiali chaotycznie o tym i o owym. Na dworze głośno zawodził wicher, deszcz tłukł o szyby, a ponieważ wewnętrzne żółte okiennice były zamknięte, sprawiało to wrażenie bicia w bęben. Drwa dopalały się powoli gorącymi, prawie niewidocznymi płomyczkami. Bertie wydawał się nieswój, miał ciemne podkowy pod oczami. Izabela, uszczęśliwiona zbliżającym się macierzyństwem, patrzyła w zadumie na ogień. Włosy jej wiły się w niesfornych puklach. Z przyjemnością na nie spoglądał. Ale czuła w sercu dziwną żalność, bezpamiętną żalność mroku i nocy.

– Przypuszczam, że wszystkim nam czegoś brakuje... – odezwał się Bertie.

– Zapewne – potwierdziła znużonym głosem.

– Do licha! Prędzej czy później, zawsze się człowiek czegoś dowie.

– Nie wiem – podjęła z nagłym ożywieniem. – Ja czuję się doskonale. Oczekiwanie dziecka zubożnia mnie na wszystko. Jestem dogłębnie spokojna. Nie rozumiem po prostu, jak można się o coś trapić.

– Stan godny pozazdroszczenia – odpowiedział.

– Ano, tak. To pewno nakaz natury. Gdybym się tylko nie potrzebowała martwić o Maurycego, byłabym zupełnie szczęśliwa...

– Czujesz, że musisz się o niego martwić?

– Hm! Nie wiem... – odpowiedziała niechętnie, z przymusem.

Wieczór mijał powoli... Izabela spojrzała na zegar.

– Oj! – zawołała. – To już prawie dziesiąta. Gdzie ten Maurycy może być? Jestem pewna, że na folwarku już śpią. Przepraszam cię na chwilę.

Wyszła i zaraz powróciła.

– Wszystko pozamykane, wszędzie ciemno. Ciekawa jestem, gdzie on jest? Musiał wyjść na folwark...

Podniósł na nią oczy.

– Chyba za chwilę przyjdzie.

– Pewnie – przytaknęła. – Chociaż to dziwne, że go dotychczas nie ma. Zawsze o tej porze jest już w domu.

– Chcesz, to pójde go poszukać.

– Jeżeli jesteś tak dobry... Poszłabym sama, ale...

Trudno jej było zdobyć się na wysiłek fizyczny.

Bertie włożył stary płaszcz i wziął latarnię. Wyszedł bocznymi drzwiami. Wzdrygnął się. Taka pogoda rozstrajała go. Nadmiar wilgoci działał na niego niemal ogłupiająco. Szedł niechętnie, wbrew woli. Pies rozszczękał się na niego. Zajrzał do wszystkich budynków. W końcu, otworzywszy górną połowę drzwi szopy, usłyszał zgrzytliwy odgłos. Podniósł do góry latarnię. Maurycy stał zasłuchany, z ręką na korbie sieczkarni. Siekał słodką rzepę, której sterta leżała w ciemnym kącie poza nim.

– To pan, Wernham? – zapytał, nasłuchując.

– Nie, to ja – odpowiedział adwokat.

Ogromny, na pół dziki, szary kot ocierał się o nogę niewidomego. Maurycy pochylił się, by go pogłaskać. Bertie przyjrzał się tej scenie, po czym wszedł, bez zastanowienia zamykając za sobą drzwi. Znajdował się w oborze. Na prawo i na lewo biegły chodniki między przegrodami, w których stały krowy. Bertie obserwował powolne ruchy pochylonego człowieka, pieszczącego kota.

Maurycy wyprostował się.

– Szukasz mnie?

– Izabela jest trochę o ciebie niespokojna – wyjaśnił Bertie.

– Zaraz przyjdę. Lubię krzątać się koło gospodarstwa.

Kot wspiął się na łapkach w całość swojej długości, wbijając mu pieszczotliwie pazurki w udo.

– Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za natręta – powiedział z pewnym zażenowaniem prawnik.

– Ja? Ani trochę. Rad jestem, że Izabela ma z kim gawędzić. Obawiam się, że to raczej ja jestem tutaj piątym kołem u wozu. Co za pociechę może mieć z mojego towarzystwa? Jak sądzisz? Izabela chyba dobrze się czuje? Nie jest nieszczęśliwa?

– Nie sądzę.

– Co mówi?

– Mówi, że jest zupełnie zadowolona ze wszystkiego, tylko martwi się o ciebie.

– O mnie? Dlaczego?

– Może przypuszcza, że melancholizujesz – powiedział ostrożnie Bertie.

– Nie ma żadnych powodów. – Maurycy pieścił wciąż płaski łeb kota. – Obawiam się tylko – dodał – że przestając wciąż ze mną, zaczniesz mnie uważać za kulę u nogi.

– Nie rozumiem, skąd te podejrzenia – zdziwił się Bertie, chociaż i on się tego obawiał.

– Nie wiem – zastanowił się Maurycy. – Czasami myślę, jaka to niesprawiedliwość losu, że jestem dla niej ciężarem. – Zniżył dziwnie głos. – Słuchaj, powiedz mi... – mówił zmagając się ze sobą – czy moja twarz jest bardzo zeszpecona?

– Jest blizna – odpowiedział adwokat. – Tak, to cię szpeci, ale właściwie nie razi, tylko budzi współczucie.

– W każdym razie to paskudna blizna? – dopytywał się Maurycy.

– Tak.

Zapadło milczenie.

– Czasami czuję, że jestem okropny – szepnął jakby do siebie niewidomy.

Bertie poczuł odrazę.

– Cóż znowu... – odpowiedział.

Niewidomy wyprostował się, puszczając kota.

– Trudno orzec. – I dodał dziwnym tonem: – Ja ciebie właściwie nie znam.

– Oczywiście – potwierdził adwokat.

– Czy pozwolisz, że cię dotknę?

Bertie wzdrygnął się instynktownie, ale litość przemogła.

– Ależ proszę – rzekł szybko.

Pomimo to, kiedy Maurycy wyciągnął ku niemu rękę, zrobiło mu się niedobrze. Niewidomy stracił mu przypadkiem kapelusze.

– Myślałem, że jesteś wyższy – zdziwił się. Położył rękę na głowie Bertrama, obejmując tył czaszki miękkim, ale energicznym uchwytem. Następnie zbadał delikatnymi dotknięciami całą głowę i twarz gościa, jego brwi, duże gałki oczne pod zamkniętymi powiekami, mały nos, krótkie szorstkie wąsy, usta i dość energiczny podbródek. W końcu ręka niewidomego spadła mu na ramię, zsunęła się po nim w dół. Bertie poczuł się jak w miękkim, ruchomym uchwycie.

– Wydajesz się młody – orzekł spokojnie Maurycy.

Adwokat stał nieomal nieruchomo, niezdolny powiedzieć słowa.

– Głowa wydaje się delikatna, jakbyś był młody – powtórzył Maurycy. – I rękę też.

Dotknij, proszę, moich oczu. Dotknij mojej blizny.

Bertie dygotał ze wstrętu. Ale niewidomy jakby go zahipnotyzował. Podniósł rękę i położył palce na szramie, na zabliznionych oczach. Nagle Maurycy nakrył te palce własną ręką i wcisnął mocno w okaleczone oczodoły. Drżał przy tym na całym ciele i kołysał się wolno, lekko, z boku na bok. Trwało to minutę lub dłużej. Bertie stał na pół przytomny, oszołomiony, unieruchomiony.

Nagle Maurycy zdjął rękę gościa ze swego czoła i przytrzymał w dłoni.

– Och, Boże! – westchnął. – Teraz będziemy się znali, nieprawdaż? Teraz będziemy się znali.

Prawnik nie odpowiedział. Nie mógł. Stał niemy, porażony trwogą, złamany własną słabością. Wiedział, że nie może odpowiedzieć. Ogarnął go nedorzeczny strach, że tamten go zabije, podczas gdy w rzeczywistości w sercu niewidomego wzbierała gorąca, serdeczna miłość i namiętne pragnienie przyjaźni. Może właśnie to ostatnie podziało na Bertie'ego najbardziej odpychająco.

– Teraz się znamy, nieprawdaż? – ciągnął Maurycy. – Będziemy przyjaciółmi do końca życia.

– Tak – odparł gość, myśląc tylko o tym, jak tu uciec.

Pervin stał z podniesioną głową, jakby nasłuchiwał. Świeżo zawarta przyjaźń na śmierć i życie spadła na niego niby objawienie cudowne i niespodziewane. Mogło się zdawać, że się wsłuchuje, czy się nie omylił.

Sięgnął po swój płaszcz.

– Chodź – powiedział. – Pójdziemy do Izabeli.

Bertie wziął latarnię i otworzył drzwi. Kot zniknął. Przeszli w milczeniu przez podwórze. Izabela usłyszała kroki i odgłos ich wydal jej się jakiś niezwykły. Spojrzała ku wchodzącym żałośnie, niespokojnie. Od Maurycyego biło dziwne rozradowanie. Bertie był szaroblady. Oczy miał zapadnięte.

– Co się stało? – zapytała.

– Zostaliśmy przyjaciółmi – odpowiedział Maurycy, rozstawiając szeroko nogi na podobieństwo dziwaczego kolosa.

– Przyjaciółmi? – powtórzyła młoda kobieta i spojrzała znów na gościa. Odpowiedział jej ukradkowym, ponurym spojrzeniem. W oczach miał beznadziejną rozpacz.

– Jakże się cieszę – odpowiedziała zmieszana i zakłopotana.

– Tak – potwierdził Maurycy.

Cieszył się naprawdę. Izabela ujęła go za rękę i ścisnęła ją mocno w obu dłoniach.

– Będziesz teraz szczęśliwy, mój drogi.

Mówiąc to, patrzyła na kuzyna. Wiedziała, że jedynym jego pragnieniem było uciec od tej zażyłości, od tej przyjaźni, która została mu narzucona. Nie mógł znieść tego, że niewidomy go dotknął, że przełamano jego obłąkańczą rezerwę. Czuł się jak ślimak w strzaskanej muszli.

## ŻOŁNIERZ I DZIEWCZYNA

Początkowo Joe rad był z roboty. Ładował siano na platformy razem z kapralem Albertem. Mieli miłą kwaterę w domku niedaleko stacji. Każdy pracował, ile chciał, bo Joe nie traktował Alberta jak zwierzchnika. Bocznica wiejskiej stacyjki leżała w wymarzonej okolicy. Za torem rozciągały się lasy, z drugiej strony zieleniało gładkie pole i wdzięczyły się czerwone domki, ukryte wśród kwitnących jabłoni. Pogoda była słoneczna, praca lekka, Albert był dobrym kolegą, czegoż można pragnąć więcej? W porównaniu z Flandrią żyło się tu jak w raju.

Kapral Albert był to gładko wygolony sprytny facet lat około czterdziestu, który zdawało się, że za jedyny cel życia uważał płatanie figli i żarty. Gdy zachowywał się spokojnie, twarz jego robiła wrażenie przywiędłej, niemal starej. W stosunku do Joe'ego był koleżeński, lojalny, sprawiedliwy i, pomimo wygłupów, poważny. Błazenada pomagała mu rozpraszać nudą własnego życia.

Joe był przystojniejszy od Alberta i dużo od niego młodszy. Miał dopiero dwadzieścia trzy lata, był dość wysoki, cichy, sympatyczny. Pochodził też z trochę lepszej sfery niż kapral. Dbał o swoją powierzchowność i golił się co dzień.

– Mam twarz jak pięść – mawiał Albert. – I gdybym miał się golić tak często jak ty, Joe, zgoliłbym ją do cna.

Na stacyjce towarowej wrzał ruch: uwijało się tu trzech młodych robotników, przyjeżdżały i odjeżdżały po wyładunku fury siana, wozy z drewnem, furmanki z węglem. Wszystko to ładowano na platformy kolejowe. Było sennie i duszno. Koło ogromnej białej bramy bawiły się dzieci naczelnika stacji, a po podwórzu przechadzały się białe kurczaki. Zaś na łące sam naczelnik, człowiek młody o nadmiernej tuszy, pomagał żonie rozwieszać bieliznę na sznurze.

Ogromne furgony z sianem, przypominające z kształtu łodzie, przyjeżdżały z Playcross. Początkowo powozili parobcy z farmy. Na trzeci dzień z pierwszym ładunkiem zjawiała się młoda dziewczyna, powożąca z wprawą parą wielkich, pociągowych koni. Hoża, rumiana, niebieskooka, była ubrana w kombinezon i getry.

– W sam raz woźnica dla nas, chłopcy – zauważył głośno kapral.

– Prrr! – zawołała i zwróciła się do kaprala: – Jacy chłopcy, panie starszy?

– Jesteśmy najlepsi z całej paczki. To jest Joe, mój kolega. Nie zdradzaj, że mi na imię Albert – ostrzegł szeregowca. – Ja jestem kapralem.

– A ja nazywam się Stokes – odparła chłodno wiejska dziewczyna. – To was tylko dwóch?

– Chyba panience więcej nie potrzeba? – odpowiedział grzecznie kapral.

Joe, który stał obok z gołą głową, z podwiniętymi do łokci rękawami rozpiętej na piersiach szarej flanelowej koszuli, spojrzał skromnie w bok, jakby nie brał udziału w wymianie uprzejmości towarzyskich kolegi.

– Panienska na stałe przy tej robocie? – ciągnął kapral.

– Nie wiem jeszcze na pewno – odpowiedziała, chowając pod kapelusz pasmo włosów i spoglądając na swoje wspaniałe konie.

– Ach, mogłaby panienska zostać na stałe! – poprosił Albert.

Nie odezwała się. Obejrzała się i zlustrowała obu mężczyzn obojętnym spojrzeniem.

Była urodziwa, miała ciemnoblonde wijące się włosy, ładną cerę i wielkie niebieskie oczy. Była do tego silna i praca szła jej jak z płatka.

– No! – rzekł kapral, przerywając robotę, aby rozejrzeć się wkoło – w miłej kompanii pracuje się przyjemnie. Nie ma się co śpieszyć, chłopcy. Powoli, powoli!



Stał na platformie i rozglądał się. Było to jedno z jego wielkich absorbujących zajęć: stać i rozglądać się naokoło. Joe, który stał obok niego, także zaczął się rozglądać. Nie potrafił jednak gapić się tak bezmyślnie, jak Albert.

Dziewczyna przyglądała im się spod szerokiego ronda filcowego kapelusza. Widywała setki takich wojskowych jak Albert, stojących w niedbałej postawie i błędzących wzrokiem po otoczeniu. Widywała również wielu cichych przystojnych młodych żołnierzy, odwracających głowy jak Joe. Ale kontury głowy Joe'ego oraz spokój, wrażliwość i młodzieńczość, które emanowały z jego postaci, przykuły jej uwagę. Gdy go tak lustrowała, obejrzał się, jakby poczuł na sobie jej wzrok i oczy ich się spotkały. Jego ciemnoniebieskie, niemal granatowe; jej – śmiałe, błękitne. Zmieszał się, odwrócił głowę i przez chwilę zdawało się, że spadnie z platformy. Pełna, rumiana twarz dziewczyny spłynęła lekkim rumieńcem. Młody żołnierz podobał się jej ogromnie.

I zawsze potem, przyjeżdżając swym wozem na bocznice, szukała oczami Joe'ego. Przyznawała sama przed sobą, że się w nim zadurzyła. Ale rozmowa sprowadzała się tylko do paplaniny Alberta. Podczas gdy kapral sypał żarcikami i dowcipkował, Joe ograniczał się do krótkich nieokreślonych odpowiedzi. Hoża dziewczyna była zmuszona, chcąc nie chcąc, przekomarzać się z Albertem, lecz cała jej uwaga skierowana była na Joe'ego. Młody żołnierz potrafił gawędzić z kolegą i śmiać się z jego kawałów, ale panna musiała ciągnąć go za język, i to raczej z niewielkim skutkiem. Nie było innego wyjścia, jak uciec się do innych sposobów. Sposoby te były skuteczniejsze, niż się mogło zdawać.

Ni stąd, ni zowąd w sobotę około drugiej po południu Joe otrzymał telegram, który spadł na niego jak piorun z jasnego nieba:

„Czekam na stacji Belbury dziś wieczorem szósta. M. S.”

Domyślił się od razu, kto to był M. S. Serce w nim zamarło. Zrobiło mu się słabo...

– Co się stało, chłopcze? – zaniepokoił się Albert.

– Nic, nic mi się nie stało, tylko mam się z kimś spotkać.

Joe spojrział na kaprala Swymi granatowymi oczami. Był jakiś zmieszany.

– Masz się z kimś spotkać? – powtórzył kapral, patrząc przenikliwie na młodszego kolegę.

– No, to w porządku. Nic złego!

– Nie, nic złego. Nie pójdę – odparł żołnierz.

Albert był doświadczony i bystry. Zrozumiał, że obecność gospodyni nie pozwalała na dalsze indagacje. Zorientował się również, że Joe nie zamierza się przed nim zwierzać.

Dał więc spokój, chociaż czuł się dotknięty.

Wysztafirowali się obaj i poszli do miasteczka. Albert miał tam sporo znajomych. Cieszył się, że poplotkują trochę, poobijają po Bath Road i będą mogli poobserwować sobotni ruch w sklepach. Program obejmował nadto parę kieliszków i kino. Spędzili dość przyjemny wieczór, chociaż nie wydarzyło się nic szczególnego. Joe był najzupełniej zadowolony. Myślał o stacji Belbury i o M. S. Ani mu się śniło z nią spotkać. I ani mu się śniło zwierzać się Albertowi.

A jednak kiedy przyjaciele znaleźli się na swojej kwaterze i zaczęli się rozbierać, Joe podał nagle kapralowi depeszę ze słowami:

– Co na to powiesz?

Albert odpinał właśnie szelki. Przerwał na chwilę, wziął depeszę i obrócił się ku świecy.

– „Czekam na stacji Belbury dziś wieczorem, szósta. M. S.” – Przeczytał *sotto voce* i twarz jego przybrała właściwy mu błazeński wyraz.

– Któż to jest M. S.? – zapytał, patrząc przenikliwie na kolegę.

– Wiesz tak samo dobrze jak ja – odpowiedział wymijająco chłopak.

– M. S. – powtórzył Albert. – Niech mnie gęś kopnie, jeżeli wiem. Czy to kobieta?

Rozmawiali szeptem ze względu na gospodarzy.

– Nie wiem – rzekł Joe i odwrócił się. Spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się do siebie.

– Do licha! – mruknął w końcu Albert, ciskając depeszę na łóżko.

– Co? – zapytał Joe. Uśmiechał się z zakłopotaniem i był markotny.  
Siedząc na łóżku, Albert kończył się rozbierać. Kiwał przy tym głową na pół drwiąco, na pół poważnie. Joe przyglądał mu się z głupią miną.  
– Co? – powtórzył słabym głosem.  
Albert popatrzył na niego znacząco.  
– Jedzie na całego – orzekł. – Do stu piorunów! Coś ty takiego zrobił, chłopcze?  
– Nic – odpowiedział Joe.  
Kapral potrząsnął lekko głową.  
– Mnie się nic takiego nie zdarza, jeżeli sam nie zadziałam – zauważył i pochylił się, żeby ściągnąć skarpetki.  
Joe, który rozpiął bluzę, odwrócił się i spojrzał w lustro.  
– Nie chciałeś się z nią spotkać? – zapytał już innym głosem Albert.  
Joe chwilę milczał.  
– Nie umawiałem się.  
– Przecież tego nie mówię. Nie bądź kąśliwy. Chciałem tylko powiedzieć, że nie chciałeś się stawić na wezwanie nieznajomej osoby. Czy tak?  
– Tak – potwierdził chłopak.  
– Co cię powstrzymało? – zapytał kapral wyciągnięty na wznak na łóżku.  
– O! – powiedział Joe rozglądając się ni z tego, ni z owego wyniośle po pokoju. – Nie chciałem i już.  
Miał ładnie osadzoną głowę i z łatwością mógł przybierać dumne pozy.  
– Nie chciałeś. Hm, nie zgodziłeś się. Baby są przewrotne – rzekł Albert, naśladując swego gospodarza. – Idź do łóżka, chłopcze. Nie łaź po izbie, jakbyś coś zgubił.  
I kapral odwrócił się do ściany.

W poniedziałek panna Stokes zjawiła się jak zwykle. Jej „prrr” zabrzmiało dźwięcznie i wyzywająco. Podjechała pod platformę i podniosła oczy. Joe stanął tak, żeby nie widziała jego twarzy. Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Gdyby nie był tak wzruszająco młodzieńczy, byłaby nim wzgardziła. Chwilę obserwowała go bystro, po czym zwróciła się do Alberta. Kapral spoglądał na nią z wysokości platformy ze złośliwym uśmiechem. Znała go już teraz na wylot. Popatrzyła na niego ostro, jakby biorąc na nim odwet, chociaż ją piekły oczy. Zasalutował.

– Piękny poranek, panienko.  
– A jakże.  
– Co piękne, to piękne – zabawiał ją kapral.  
Milczała.  
– Hej, Joe, chodź tutaj! – zawołał kapral. – Nie każ damom czekać. To dowód tchórzliwego serca.

Joe odwrócił się i przystąpili do pracy. Na razie zaniechali rozmowy.

W miarę jak upływał tydzień, wszystkie zainteresowane osoby oswajały się z sytuacją. Joe milczał, odwracał głowę, zachowywał obojętność, trochę się boczył. Dziewczyna była bezceremonialna i arbitralna. Albert sypał dowcipami.

Ogólną ciekawość wzbudzał cyrk, który miał zjechać do miasteczka w sobotę.

– Pójdzie panienka do cyrku? – zagadnął Albert.  
– Mogę iść, a panowie idą?  
– A pewnie. Możemy towarzyszyć. Miło by nam było.  
– Obejdzie się. Dziękuję.  
– A to nas odwalila, co, Joe? Jak to mamy rozumieć? To nasza kompania nie odpowiada?  
– Nie wiem – odparła. – Ilu was jest?  
– Dwóch. Ja i Joe.

– Tylko! – zdziwiła się ironicznie.

Albert poczuł się zbity z tropu.

– Dla panienki nie dosyć? – zapytał.

– Za dużo o połowę – wyrwał się nagle Joe. Ten drwiący odruch był tak niespodziewany, że dziewczyna i kapral po prostu zdębieli.

– O, w takim razie nie będę wam przeszkadzał – rzekł do kolegi Albert i zwrócił się żartobliwie do panny: – On chciałby wiedzieć, co znaczy „M”? – zapytał poufnie.

– Małpison – wyjaśniła krótko, odjeżdżając.

Albert popatrzył za nią zmieszany. Joe zaczerwienił się jak burak i zbeształ w duszy starszego kolegę.

W sobotę po południu obaj żołnierze pojechali pociągiem do miasteczka. Mieli wracać pieszo. Poszli o szóstej na herbatę, a potem do wpół do ósmej objali się po ulicach. Cyrk obozował na łączce nad rzeką. Był to olbrzymi namiot w biało-czerwone pasy. Obok stały budy cyrkowe. Naokoło wozu, w którym sprzedawano bilety, cisnął się wielki tłum.

W namiocie płonęły lampy, oświetlając krąg twarzy, otaczający zieloną arenę pośrodku. Żołnierze usadowili się z kilku kolegami dość wysoko, na cienkiej desce. Nadzwyczajne efekty świetlne zachwyciły ich, lecz samo przedstawienie sprawiło zawód. Podziwiali damę w czarnych aksamitach i fioletowych pończochach, jak wskakiwała zgrabnie na galopującego konia, zdumiewali się nad siłaczami i zaśmiewali z figlów błazna. Ale traktowali to wszystko trochę pobłaźliwie. Brakło im pewnie tej sensacji dramatu, jaki oglądali w kinie.

W połowie przedstawienia Joe’ego zelektryzował widok twarzy panny Stokes. Siedziała niedaleko. Była ubrana jak zwykle w khaki i filcowy kapelusz. Udał, że jej nie widzi. Śmiała się z błazna. I ona również udała, że go nie widzi. Odczuł to dotkliwie i gniew go ogarnął. O, nawet Albertowi nie wspomni o tym. Im mniej gadania, tym lepiej. Chciał w siebie wmówić, że go nie zobaczyła. Ale był głęboko przekonany, że widziała.

Przedstawienie skończyło się prawie o jedenastej. Wyszli. Noc była śliczna, wspaniała, księżycowa, jak to w maju. Na tle nieba rysowały się wysokie ciemne sylwetki drzew. Joe i Albert śmieli się i żartowali z kolegami. Joe oglądał się, czy nie grozi mu niebezpieczne towarzystwo panny. Ale nic nie zauważył.

Mieli do domu sześć mil. Wyruszyli, machając laskami. Droga wiła się między wysokimi żywopłotami na podobieństwo białej wstęgi i roiła się od ludzi wracających z miasteczka. Panowało miłe podniecenie.

Zbliżając się do wsi, zobaczyli przed sobą ciemną postać. W Joe’em zamarło serce ze strachu. Jakaś wiejska dziewczyna prowadziła rower. Ona! Albert powitał ją po swojemu, błazeńsko. Okazało się, że pękła opona.

– Może ja poprowadzę gruchota – ofiarował się.

– Dziękuję – odparła. – Jaki pan kapral grzeczny.

– O, byłbym daleko grzeczniejszy, gdyby mnie panienka nauczyła.

– Naprawdę?

– Nie wierzy mi! – wykrzyknął Albert. – Lubi się kobieta znęcać.

Szła między nimi.

– Był pan w cyrku? – zapytała Joe’ego.

– Byłem – odpowiedział łagodnie.

– A p a n i e n k a była? – zapytał Albert.

– Byłam, ale was nie widziałam.

– Co? Naprawdę? Nie widziała nas! Uważa, że nie warto na nas patrzeć – zaczął kapral. – To jestem mniej przystojny od błazna? Nie raczyła spojrzeć w naszą stronę. Psiakość, to się nazywa pomiatać ludźmi.

– Nie widziałam was – powtórzyła. – Nie wiedziałam, żeście mnie widzieli.

– Jeszcze gorzej – orzekł Albert.

Droga prowadziła przez ciemny sosnowy las. Do wioski i bocznej dróżki było niedaleko. Dziewczyna wyciągnęła rękę i poszukała ręki kroczącego obok niej Joe’ego. Chłopak zmartwił. Mimo to nie zaprotestował czując delikatny uścisk. Ale jakież był okropnie udęczony!

Zatrzymali się na skrzyżowaniu dróg, miejscu rozstania. Panna Stokes miała do domu jeszcze milę.

– Panienska pozwoli, że odprowadzimy – zaproponował Albert.

– Mam do pana kaprała prośbę – odrzekła. – Niech pan zabierze rower do waszej szopy i da w poniedziałek Bakerowi do naprawy.

– Sam go naprawię, jeżeli panienska sobie życzy. Będę siedział do rana.

– O, nie, dziękuję. A pan Joe mnie odprowadzi.

– O, co to, to nie! – zaśpiewał Albert. – Joe, Joe! i cóż ty na to, mój chłopcze? Szczęście lezie ci w łapy. A mnie do towarzystwa dają ten oto gruchot. Niech się panienska zastanowi.

Joe odwrócił głowę i milczał.

– No, zresztą dobrze. Zabiorę to żelastwo, a ciebie, chłopcze, zostawiam.

– Ja nie chcę z nią iść! – burknął prostacko Joe. – Nie ja ją wybrałem.

Milczała, obserwując przyjaciół.

– Zastanów się tylko – rzekł Albert. – Gdyby mnie to spotkało... – Ale było mu nieswojo. – Może by mnie panienska wybrała...

Dziewczyna stała nieruchoma jak słup. Na wprost niej dwaj żołnierze. Trwało to dobrą chwilę. W końcu Joe zaczął kopać nogą ziemię i nagle podniósł głowę. W tejże chwili uwodzicielka znalazła się u jego boku i objęła go delikatnie w pól.

– Widzi mi się, że jestem tu niepotrzebny, jak myślisz? – zapytał Albert, zwracając się ironicznie do księżycy.

Joe spuścił głowę i nie odezwał się. Dziewczyna stała obok niego i obejmowała go lekko. Kaprał skłonił się, zaszalutował, powiedział dobranoc i poszedł. Młoda para została sama.

Panna Stokes objęła mocniej młodego żołnierza i pociągnęła za sobą. Szli w milczeniu. Noc pachniała kwiatem dzikiej wiśni i pierwszymi dzwonekami. A oni szli w milczeniu. Śpiewał słowik. Zbliżali się do niego, do ciemnego krzewu, na którym siedział. Tu przystanęli. Mrok przesywały potężne tony, nieomal na podobieństwo błysków światła, potem następowała cisza, którą przerywało jęklive zawodzenie przypominające wycie psa z oddali, wreszcie wybuchał długi, bogaty trel i race dźwięków, I znów zapadała cisza.

Wreszcie dziewczyna zwróciła się do towarzysza. Podniosła na niego oczy. Zobaczył w świetle księżycy lekki uśmiech malujący się na jej twarzy i poczuł, że ogarnia go bezsilna wściekłość. Ramię jej otaczało go w pasie. Przycisnęła go delikatnie do siebie, a jemu aż się mdło zrobiło.

Tymczasem Albert czekał na kwaterze. Włożył płaszcz, gdyż przechodził kiedyś malarię, a na kominku wygasło. Przerzucił od niechcienia „Daily Mirror” i „Daily Sketeh”, nic prawie nie rozumiejąc. Czekanie przedłużało się. Zaczął ziewać i o mało nie usnął. Wreszcie Joe wrócił.

Kaprał popatrzył na niego przenikliwie. Czoło młodzieńca było gniewnie zmarszczone. Był ponury jak noc.

– Jak tam poszło? – zapytał Albert.

Żołnierz mruknął coś niezrozumiałego. Nie można było z niego nic wydusić, wobec czego poszli spać.

Na drugi dzień Joe był milczący, posępny. Albert nie mógł go rozgryźć. Po herbacie zaproponował spacer.

– Muszę gdzieś iść – odpowiedział Joe.

– Co? Do małpizona? – zapytał kapral, ale chłopak jeszcze bardziej się nachmurzył.

Mijały dni. Joe wychodził prawie co wieczór i powracał późno. Był ponury, milczący i nabrał szczególnej manieri zwieszania głowy i spoglądania groźnie spode łba, jakby się urwał spod szubienicy. Stosunki między nim i Albertem wyraźnie ochłodziły. Pomimo całego swego błazeńskiego humoru Albert był w rzeczywistości drażliwy i porywczy. Rezerwa Joe'ego i zupełny brak zaufania z jego strony irytowały kaprala i działały mu na nerwy. Toteż jego żarciki i docinki stawały się zjadliwe, sarkastyczne. Czasami w oczach młodego żołnierza pojawiały się złe błyski, ale na ogół udawał, że nie słyszy. Niekiedy jednak wpadał w dziwaczny, kapryśny humor, prześcigając samego Alberta.

Panna Stokes w dalszym ciągu przyjeżdżała na stację. Albert nazywał ją poza oczami małpizonom. Była zawsze bardzo pogodna, po prostu promieniała. I taka przystojna. Albert bał się jej troszkę. W czasie przeładowywania siana bardzo rzadko zwracała się do Joe'ego, który zawsze stawał do niej tyłem. Chłopak schudł i zrobił się ociężały. Lecz w dalszym ciągu wyglądał rozczulająco uroczo. Opalona, chuda, nieco zgaszona twarz wyprzystojniała, ale nabrała jakby złowrogiego wyrazu.

– Chodźże, Joe! – krzyknął przynaglając któregoś dnia kapral. – Co ty robisz, chłopcze? Szukasz żuków w sianie, czy co?

Joe zabrał się szybko, niemal z pasją, do roboty.

– Nie ten sam chłopak, moja panienko – zwrócił się Albert do dziewczyny. – Nie wiem, co go ukąsiło. Może małpie konkury nie idą mu na zdrowie.

– Prędzej się plewą zadławił – odparła. – Słuchać niektórych ludzi, to prawie to samo, co harować przy młockarni.

– Naprawdę? A to ci komplement! – wykrzyknął Albert. – Chyba nie do m n i e panienka pije?

– Nie! – zawołała. – Nie do pana kaprala.

W trakcie tej kąśliwej rozmówki twarz Joe'ego opłynęła ciemną purpurą, ale nie rzekł ani słowa. Rzucił dziwne spojrzenia krzątającej się zwinnie dziewczynie. W oczach miał taki wyraz, jak pies, który chce ugryźć.

Rozstrojony do ostateczności Albert nie mógł opanować zdenerwowania. Kiedy w sobotę wieczorem Joe wrócił na kwaterę posępniejszy niż zwykle, postanowił wziąć go na spytki.

Chłopak poszedł na górę położyć się. Kapral podążył za nim. Zamknął ostrożnie drzwi i usiadł na łóżku. Joe rozbierał się. Tym razem głos Alberta brzmiał naturalnie, bez zwykłej drwiny.

– Co się z tobą dzieje, chłopcze?

Joe znieruchomiał na chwilę, jakby trafiony pociskiem, po czym w dalszym ciągu zdejmował owijacze. Ale nie podniósł głowy i nie odezwał się.

– Chyba nie ogłuchłeś? – ciągnął z lekką irytacją kapral.

– Nie, nie ogłuchłem – odparł żołnierz, pochylając się tak, że krew uderzyła mu do twarzy.

– Więc dlaczego nie odpowiadasz?

Joe usiadł prosto, popatrzył z ukosa na kaprala, podniósł oczy i utkwił je w suficie.

Kapral bacznie mu się przyglądał.

– No i cóż? – zapytał ironicznie.

Joe spojrział mu prosto w oczy. Albert uśmiechnął się lekko, dobrotliwie.

– To się skończy morderstwem – powiedział chłopak cichym, beznamiętnym głosem.

– Byle tylko w biały dzień... – odparł Albert. Wstał, przesiadł się na łóżko kolegi i oparł mu przyjaźnie rękę na ramieniu. – Co się z tobą dzieje, mój chłopcze? Masz jakieś zmartwienie? Możesz mi chyba zaufać.

Joe obrócił się i spojrział jakoś dziwnie w twarz kolegi.

– Nie ma o czym mówić – mruknął.

Kapral zmarszczył czoło.

– W takim razie kto ma być zamordowany? I kto ma zamordować? Ja czy ty? Który z nas, mój kochany?

Uśmiechnął się łagodnie do głupiego młokosa, patrząc mu prosto w oczy. Stopniowo ze znękanych źrenic Joe'ego ustąpił tępy, groźny wyraz. Odwrócił spokojnym ruchem głowę i jakby oprzytomniał.

– Nie chcę jej! – fuknął z niepohamowaną złością.

– Nikt cię nie zmusza – odparł Albert. – Po co w takim razie do niej chodzisz?

Ale sprawa nie była taka prosta. Joe milczał.

– Taka morowa dziewczyna! Dlaczego jej nie lubisz? Ja bym uważał, że ci się poszczęściło.

– Nie chcę jej! – warknął z furią żołnierz.

– Więc powiedz jej to i skończ z nią – poradził kapral. Odczekał chwilę. Chłopak milczał.

– Dlaczego tego nie zrobisz? – zapytał.

– Bo nie... – wyznał ponuro Joe.

Albert zastanowił się. Podrapał się w głowę.

– Jesteś za miękki, mój kochany. I w tym leży cała bieda. Warto by cię skąpać w zimnej wodzie dla zahartowania. Jesteś za miękki...

Objął serdecznie młodzieńca za ramiona. Joe trochę się udobruchał.

– Kiedy znowu macie się spotkać? – pytał kapral. Chłopak milczał długo.

– Kiedy, mój chłopcze? – nalegał łagodnie kapral.

– Jutro – wyznał Joe.

– To pozwól, że ja pójdę – zaproponował Albert. – Zgadzasz się? Dobrze?

Nazajutrz była niedziela. Słoneczny dzień zakończył się chłodnym wieczorem. Niebo poszarzało i pomimo rozkwitającej świeżej zieleni zrobiło się zimno i ponuro. Albert maszerował żwawym krokiem drogą wiodącą do Beely. Przeszedł przez szkółkę modrzewiową i podążył boczną dróżką, gdzie niebieskie przetaczniki opadały w kurz. Idąc wymachiwał laską. Było mu nieswojo. Uszedłszy kawałek, zawrócił i zaczął iść w przeciwnym kierunku.

Naprzeciwko niego szła dziewczyna w wielkim szarym słomkowym kapeluszu i luźnej sukni z ciemnoszarego welwetu. W jej powolnych ruchach wyczuwało się nieustępliwość. Zbliżając się do niej Albert zmieszał się. Zasalutował i jego filuterna, z lekka zwiędła twarz poczerwieniała. Dziewczyna patrzyła mu prosto w oczy.

Zaczął iść obok niej.

– Popsuła się pogoda, co? – zagaił. – A zapowiadał się piękny spacer.

Milczała, nie odrywając od niego oczu. Więc on patrzył na nią.

– Przecież już mnie panienka widziała – powiedział szczerząc zęby. – Chyba że nie zostałem zauważony. Ale jestem przystojny, nieprawdaż?

Dziewczyna nie odpowiadała, tylko świdrowała go lodowato wielkimi niebieskimi oczami. Zrobiło mu się nijako. Zaczął pogwizdywać. I tak szli razem cichą, opustoszałą dróżką. Kapral gwizdał melodię wojskowej piosenki.

W końcu odezwała się:

– Gdzie jest Joe?

– Myślał, że może panienka będzie wolała zmianę: mówią, że różnorodność jest solą życia, dlatego ja jestem taki umarynowany.

– Gdzie on jest?

– Czyż jestem stróżem brata mego? Poszedł swoją drogą.

– Dokąd?

– Skąd ja mogę wiedzieć? Nie tak daleko, bo na kolację będzie z powrotem.

Zatrzymała się na środku dróżki. Stanęli twarzą w twarz.

– Gdzie jest Joe? – powtórzyła.

Przybrał niedbałą postawę, spojrzął w prawo, spojrzął w lewo, podniósł brwi, przesunął wojskową czapkę na ucho i odpowiedział:

– Nie chciało mu się dziś urzędować, więc prosił mnie, żebym go zastąpił.

– Dlaczego nie przyszedł?

– Pewnie dlatego, że nie chciał. Ja za to chciałem.

Zmierzyła go od stóp do głów. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, ale w dalszym ciągu udawał zucha.

Dziewczyna wykręciła się powoli na pięcie i zawróciła. Kapral maszerował obok.

– Chyba jeszcze nie wracamy? – powiedział błagalnie.

Szła nie zważając na niego. Postępował u jej boku, zmieszany, zbity z tropu. Od czasu do czasu strzelał dowcipami. Bez skutku. Udawała głuchą. Spojrzął na nią i ku swemu przerażeniu zobaczył, że po jej policzkach płyną łzy. Zatrzymał się nagle i zsunął czapkę z czoła.

– Proszę, panienko... – zaczął.

Ale ona szła naprzód jak automat i musiał ją doganiać.

Więcej się do niego nie odezwała. U bramy swojej farmy skręciła w podwórze, tak jakby była sama. Patrzył za nią, dopóki mu nie zniknęła z oczu, po czym zawrócił. Klął po cichu i podnosząc czapkę, drapał się w głowę. Był oszołomiony.

Wieczorem, gdy się już położyli, powiedział do kolegi:

– Ej, Joe, widzi mi się, że bez małpiszona jesteś daleko weselszy. Spij z Bogiem, chłopcze.

Zasnęli w przyjacielskim nastroju, ale perspektywa poranka niepokoiła obu.

Nazajutrz było zimno, wietrzno. Po szarym niebie goniły chmury. Zanosiło się na deszcz. Przyjaciele zobaczyli z daleka zaprzęg panny Stokes. Wjechała w bramę jak zwykle. Jej głośnie: „wio” zabrzmiało niczym okrzyk wojenny.

Podjechała pod platformę, na której stali dwaj żołnierze.

– Joe! – zawołała do stojącego tyłem chłopaka.

– Co? – zapytał obracając się niechętnie.

Zadarła lekko głowę i wykonała szczególny gest na pół błagalny, na pół rozkazujący. Joe już przykucnął na skraju platformy, aby zeskoczyć na ziemię, kiedy poczuł na ramieniu rękę Alberta.

– Chwileczkę, chłopcze! Dokąd to się wybierasz? Robota robotą, a żarty żartami... Ani mi się waź schodzić.

Chłopak wyprostował się powoli.

– Joe? – zabrzmiał z dołu dźwięczny kobiecy głos.

Joe znów spojrzął i znów chciał usłyszeć. Ale Albert go nie puszczał. Znieruchomiał więc z na pół odwróconą twarzą, w pokornej postawie.

– Proszę go puścić, panie kapralu! – powiedziała dziewczyna.

– Rozkaz, panie majorze! – odpalił ironicznie Albert.

Stała i patrzyła.

– Joe! – zawołała po raz trzeci.

Żołnierz odwrócił się, spojrzął na dziewczynę i na twarzy jego ukazał się szyderczy uśmiech.

– Małpiszon! – zawołał, przedrzeźniając ją.

Zbladła śmiertelnie. Myśleli, że zemdleje. Albert wrzasnął na robotników, żeby przyszedli pomóc z sianem. W razie potrzeby potrafił ryczeć, jak każdy podoficer.

Wyładowano jakoś wóz i dziewczyna odjechała. Joe i kapral spojrzeli na siebie ze znaczącym uśmiechem. Ale było im bardzo przykro i obawiali się następstw.

Jednakże kiedy dziewczyna nie pokazała się więcej, uspokoili się. Znikła, jakby w ogóle przestała istnieć.

Joe doznał głębokiej ulgi, większej niż wtedy, kiedy ucichła kanonada na froncie i przyszła wiadomość o zawieszeniu broni.



## ANGLIO, MOJA ANGLIO!

Pracował na skraju łąki za strumykiem, przepływającym w dole ogrodu. Przedłużał ścieżką od kładki na łąkę. Po wycięciu paproci i usunięciu twardej darni ukazał się szary pas suchej gleby. Był zdenerwowany i marszczył z troską czoło, bo ścieżka wypadła krzywo. Wbił przecież paliki celując na linię wysokich sosen, ale coś jednak musiało być nie w porządku. Raz jeszcze spojrzął uważnie w głąb cienistego sosnowego korytarza ku zielonemu szlakowi ogrodowej ścieżki, wypełzającej z cienia olch koło kładki i biegnącej ku skąpanym w słońcu kwiatom. Oczy miał niebieskie, bystre, oczy prawdziwego Wikinga. Popatrzył na wysokie białe i fioletowe orliki i na narożnik starego hampshirskiego dworku, który przypadł do ziemi wśród kwiatów i zarośli pustkowiec.

Dochodziły go głosy nawołujących się dzieci: wysokie dziewczęce głosiki, z lekka zarozumiałe, trochę despotyczne.

– Jeżeli niania natychmiast nie przyjdzie, pobiegnę tam, gdzie są węże.

Nikt nie zdobył się na tyle stanowczości, żeby odpowiedzieć: „A leć, głuptasku, leć!”

Natomiast rozlegało się:

– Nie, kochanie. Dobrze, kochanie. Za chwilę, kochanie. Cierpliwości, kochanie.

Bolało go serce. Był rozczarowany. Gryzł się i buntował. Ale nie przerywał pracy. Cóż miał robić, musiał godzić się z losem.

Z nieba lał się żar, pastwisko tchnęło spokojem, na tym odludziu kwitło królestwo roślin. Dziwne, jak barbarzyńska stara Anglia ostaje się jeszcze miejscami, jak tutaj, na tych porośniętych paprocią łąkach, na bagnistych ustroniach, gdzie roi się od węży na skraju południowych wydm. Nic się tu nie zmieniło od czasu najazdu Saksonów.

Jakże on to kochał! Zieloną ścieżkę ogrodową, wiechy kwiatów, fioletowe i białe orliki, wielkie orientalne czerwone maki z czarnymi środkami, wysokie żółte dziewanny, słowem cały ten płomienny ogród, ukryty w zagłębieniu wśród pastwisk; ogród, który w tej słonecznej kotlinie przetrwał już tysiąc lat. On to rozpłomienił go kwiatami wśród drzew i żywopłotów. Takie odwieczne ustronie, a przecież stworzył je po raz drugi.

Drewniany dworek ze spadzistym dachem był stary i zaniedbany. Pamiętał przecież dawną Anglię – Anglię wiosek i drobnych dzierżawców. Zgubiony na skraju płaskowyżu, u końca szerokiej alejki zarosłej trawą, obrośniętej dziką różą i ocienionej dębina, zdawał się należeć do innego świata, dopóki nie zjawiał się Egbert ze swoją młodą żoną. Przybyli, żeby napełnić go kwiatami.

Dom był starodawny, ogromnie niewygodny, ale Egbert nie chciał wprowadzać w nim zmian. Jak cudownie dumało się wieczorami przed szerokim, czarnym, starodawnym kominkiem, kiedy na dworze huczał wiatr, a w palenisku trzaskały drwa narąbane przez niego! Winifred siadywała po jednej stronie, a on po drugiej.

Ach, jakże on jej pożałował, tej Winifred! Była młoda, piękna, niczym płomienny żywioł. Poruszała się z pełnym energii wdziękiem, niby kwitnący czerwono krzew, obdarzony zdolnością ruchu. I ona miała w sobie coś ze starej Anglii; krzepka rumianolica, emanująca siłą, surowym, namiętym spokojem. On wysoki, smukły i zwinny jak angielski łuczniczka o długich, sprężystych nogach i pełnych harmonii ruchach. Ona miała ciemne, wijące się włosy, a oczy również ciemne świeciły jak u drozda. On miał białą skórę i piękne jedwabiste włosy, które kiedyś były jasne, ale z czasem ściemniały. Lekko orli nos świadczył o przynależności do starego ziemiańskiego rodu. Stanowili piękną parę.

Dom należał do Winifred. Ojciec jej, człowiek energiczny i zaradny, przybył z północy

zupełnie biedny. Obecnie był już dość zamożny. Kupił w Hampshire tanio spory szmat ziemi. Niedaleko kościółka, wznoszącego się wśród prawie nie istniejącej już wioski, stał jego własny dom, wygodna stara farma, oddzielona od drogi pustym, zarosłym murawą podwórzem. Po jednej stronie tego zielonego prostokąta stała ogromnie długa stodoła czy szopa, którą przerobił na domek dla najmłodszej córki, Priscilli. W wysokich oknach wisały firanki w biało-niebieską kratką, a wewnątrz majaczyły ogromne stare belki spadzistego dachu szopy. Było to gniazdko Prissy. Nieco dalej wdzięczył się nowo wybudowany dworek, własność drugiej córki – Magdaleny. Otaczał go ogród warzywny, ciągnący się aż po dębowy lasek. Jeszcze dalej za trawnikami i krzewami róż rozpościerały się zielone nieużytki, które przecinała ścieżka wiodąca do siedziby Winifred. Idąc tam, przechodziło się najprzód przez wzgórze i zbocze porośnięte wysokimi czarnymi sosnami, przez las sosnowy nad bagienkiem i pod rozłożystymi smętnymi dębami. Dom wyłaniał się niespodziewanie jak spod ziemi i sprawiał wrażenie osamotnionego.

Ten domek, ogród, kawałek łąki oraz podmokłe zbocze stanowiły własność Winifred. Były to jej maleńkie dobra. Wyszła za mąż akurat wówczas, kiedy ojciec kupił tę ziemię dziesięć lat przed wojną, i niezwłocznie sprowadziła się z Egbertem na swoje gospodarstwo. Trudno byłoby powiedzieć, które z nich było szczęśliwsze. Ona miała dopiero dwadzieścia lat, on dwadzieścia jeden. On posiadał sto pięćdziesiąt funtów rocznego dochodu i osobisty urok. Nie miał zawodu i nic nie zarabiał. Ale umiał rozprawiać o literaturze i muzyce, entuzjasmował się starą muzyką ludową, zbierał pieśni i tańce ludowe oraz studiował Morris dance – taniec ludowy, którego uczestnicy przedstawiają postacie z legendy o Robin Hoodzie, interesował się szczególnie starymi zwyczajami. Należało się spodziewać, że któreś z tych upodobań przyniesie mu kiedyś pieniądze.

Tymczasem kochali się ogromnie, byli młodzi, zdrowi, pełni nadziei... Ojciec Winifred był zawsze hojny. Ponieważ los nie szczędził mu ciosów, stał się człowiekiem praktycznym i twardym. W domu krył się z tą stroną swej natury i zabawiał się poezją i literaturą ze swą żoną-poetką i pełnymi energii i zapału córkami. Był dzielnym człowiekiem, nigdy się nie skarżył i dźwigał swoje troski w cichości ducha. Nie pozwalał nikomu z zewnątrz przenikać zanadto do swego ogniska domowego. Miał delikatną, wrażliwą żonę, której poezje zyskały sobie pewną wziętość w świecie literackim. On sam pomimo swej krzepkiej, wojowniczej natury lubował się niemal jak dziecko w wierszach, uroках poezji i rozrywkach kulturalnych. Był z natury prymitywny, ale właśnie dlatego życie rodzinne tym bujniej rozkwitało pod jego dachem. Teraz, kiedy osiągnął dobrobyt, nabrał innych przyzwyczajzeń. Gdy czytano po obiedzie poezje – pojawiały się na stole niczym w czasie Bożego Narodzenia orzechy, czekolada i inne nadzwyczajne smakołyki.

W tę rodzinę wzenił się Egbert. On był z zupełnie innej gliny. Zarówno ojciec, jak i córki odznaczali się silną, zdrową, prawdziwie angielską naturą, pokrewną głogom i ostrokrzewom. Kultura została im zaszczepiona, tak jakby może można zaszczepić różową różę na pniu tarniny. I, o, dziwo! zakwitła, ale krew pozostała taka sama.

Egbert natomiast był od początku różą. Stara tradycja rodowa sprawiła, iż był ogromnie bezpośredni i swobodny. Nie był jednak uzdolniony ani nie miał też zacięcia do literatury. Ale poezję mogły u niego z łatwością zastąpić: piękna intonacja głosu, ruchy pełne wdzięku, wspaniała karnacja, bujna czupryna, z lekka orli nos, żywość i blask niebieskich oczu. Winifred kochała go. Kochała tego południowca jako istotę wyższą. Wyższą, proszę zauważyć, nie głębszą. On kochał ją namiętnie całą swoją naturą. Stanowiła dla niego istotę życia.

Czarowne były te pierwsze dni w Crockham. Z rana przychodziła sprzątaczką, poza tym byli zupełnie sami. Cudowne dni, kiedy go miała tylko dla siebie, tego pięknego, wysokiego, smukłego młodzieńca, a on miał ją przy sobie, niby ożywczy ogień, w którym mógł się zanurzać. Och, gdyby to małżeństwo, ta namiętność mogły trwać wiecznie! Płomień ich ciał

przepalał znów ściany starego dworku, które oglądały już tyle, tyle namiętności. Wystarczyło posiedzieć trochę w ciemnym pokoju, żeby poczuć tchnienia przeszłości. W kątach tliła się żądza śpiących pod ziemią chłopów, którzy tutaj żyli i rodzili się przez wiele pokoleń. Ciche domostwo z grubych belek, z ogromnym czarnym kominkiem, wydawało się niezmiernie tajemnicze. Dworek o niskich okienkach, zapadnięty częściowo w ziemię... Mroczny dom, podobny do matecznika, w którym czatują i parzą się mocarne zwierzęta, zawsze samotne, dniem czy nocą od tylu pokoleń pozostawione samym sobie i własnej żywotności... Odwieczne ściany zdawały się rzucać czary na młodą parę. Coś się w nich zmieniło. Owionął ich jakiś dziwny, tajemny żar, jakaś niepojęta aura drzemiących płomieni... Czuli, że przestają należeć do londyńskiego świata, że Crockham przeobraża ich – Crockham i te węże, które żyły i sypiały w ich ogrodzie; jakże często, wychodząc z łopata do roboty, napotykał na czarnej ziemi dziwne brunatne zwoje, które rozkręcały się nagle i znikwały z sykiem w zaroślach. Pewnego dnia Winifred usłyszała niesamowity głos dobiegający z grządki kwiatów pod niskim oknem bawialni: przedziwny głos, niby wołanie mrocznej przeszłości. Wybiegła z domu i zobaczyła na klombie długiego brunatnego węża, z którego płaskiej paszczy wystawała tylna łapka szamocącej się żaby. To ta żaba wydawała takie dziwne, cieniutkie piski. Winifred spojrzała na węża, a on wpił w nią natrętnie spojrzenie posepnych oczu. Gad puścił żabę i umknął gniewnie w krzaki.

Tak żyło się w Crockham. Nie przeniknęła tu jeszcze nowoczesna technika i małe osiedle kryło się wśród ugorów, tajemnicze, pierwotne, dzikie, takie samo jak podczas najazdu Saksonów. Wchłonęło Egberta i Winifred, którzy po prostu zniknęli ze świata.

Żadne nie próżnowało. Dużo było do zrobienia. Po odejściu robotników trzeba było dokończyć remontu domu, poszyć poduszki i firanki, wytyczyć ścieżki, nosić wodę, uporządkować na stoku zaniebany ogród, wyrównać go w tarasy, zrobić alejki, zasadzić kwiaty. Egbert pracował w samej koszuli całymi dniami, dorywczo, przerzucając się od roboty do roboty. A Winifred, spokojna, upojona szczęściem, widząc go pochylonego nad łopata, przychodziła pomagać mu, aby być tuż blisko niego. On, oczywiście, był tylko amatorem. Pracował ciężko, a niewiele z tego wychodziło. To, co robił, nie trwało nigdy długo. Tarasy w ogrodzie umacniał długimi, wąskimi deskami, które prędko wyginały się pod ciężarem ziemi i próchniejąc, sprawiały, że wkrótce nad strumykiem znowu poobsuwała się ziemia. Nie uczono go robić niczego na serio i uważał, że to wystarczy. Nie, nie przypuszczał nawet, żeby można było zdobyć się na coś więcej niż drobne doraźne ulepszenia, on, który miał taki kult dla starego dworku i dla trwałych pamiątek dawnej Anglii. Dziwne to było, że poczucie trwałości tego, co minęło, miało nad nim taką władzę, podczas gdy w terażniejszości wszystkie jego poczynania cechowała amatorska dorywczość.

Winifred nie mogła go krytykować. Wychowana w mieście, zachwycała się wsią. Nawet łopata i szufla miały dla niej romantyczny urok. Ale ani ona, ani Egbert nie zdawali sobie dotychczas sprawy z różnicy między pracą a sielanką.

Ojciec młodej kobiety, Godfrey Marshall, był początkowo zupełnie zadowolony z gospodarstwa w Crockham. Egbert zaimponował mu swoją pracowitością, bo ileż to on potrafił zdziałać do tej pory, a namiętna miłość młodej pary sprawiała mu przyjemność. Człowiekowi, który mieszkał w Londynie i ciężko pracował na jaki taki dobrobyt, wydawało się, że życie młodej pary – zakładającej ogród i kochającej się w starym dworku, zagubionym wśród rozlewisk i ugorów na skraju niezmiernych wydm – układa się niczym w powieści. On właśnie, stary człowiek, umożliwił im tę egzystencję. On podsycił płomień ich miłości. Dlatego triumfował w głębi duszy. Winifred w dalszym ciągu zwracała się do ojca jako do jedyne go oparcia, jedynej ostoi w trudnościach życiowych. Kochała Egberta namiętnie, ale to nie przeszkadzało jej czuć nad sobą opiekuńczej ręki ojca. W razie jakiegoś kłopotu apelowała tylko do niego. Nigdy nie przyszło jej do głowy zwracać się do Egberta. Nie, z wszystkimi ważnymi sprawami zwracała się do ojca.

Egbert bowiem nie zamierzał bynajmniej brać się z życiem za bary. Nie miał w ogóle żadnych ambicji. Pochodził z dobrej rodziny, z miłego dworu, z uroczego środowiska. Oczywiście powinien mieć jakiś zawód. Powinien studiować prawo lub założyć przedsiębiorstwo. Ale nie! Uważał, że te trzy funty tygodniowo zabezpieczą go od głodu do końca życia, a nie chciał uzależniać się od nikogo. Nie znaczyło to, by był leniwy. Zawsze był czymś zajęty, po swojemu, po amatorsku. Tyle tylko, że nie pociągał go świat i wcale nie pragnął wybić się. Nie cenił świata. Wolał o nim nie wiedzieć i iść własną drogą, niby pierwszy lepszy pielgrzym, trzymający się bocznych szlaków. Kochał żonę, dworek i ogród. Pragnął żyć tutaj niby pustelnik-epikurejczyk. Kochał przeszłość, starą muzykę, tańce i zwyczaje dawnej Anglii i starał się żyć jej duchem a nie duchem interesu.

Lecz ojciec wzywał często Winifred do Londynu, gdyż lubił mieć swoje dzieci koło siebie. To stworzyło konieczność urzędzenia dla młodej pary niewielkiego mieszkania w mieście i młodzi musieli od czasu do czasu przenosić się ze wsi do stolicy. Egbert miał mnóstwo przyjaciół, tak samo niezaradnych, jak on, tak samo parających się sztuką, literaturą, malarstwem, rzeźbą i muzyką. Nie nudził się nigdy.

Jednak trzy funty tygodniowo nie mogły wystarczyć na wszystkie wydatki. Płacił ojciec żony. Lubiał płacić. Wyznaczył córce bardzo niewielką pensyjke, ale dawał często po dziesięć funtów jej i lub Egbertowi. Tak że oboje patrzyli na starego człowieka jako na ostoję swej egzystencji. Egbert nic nie miał przeciwko temu, żeby się nim opiekowano i opłacano jego potrzeby. Dopiero kiedy zdał sobie sprawę, że rodzina zaczyna go traktować z tego powodu z lekka protekcyjnie, poczuł się dotknięty.

Potem naturalnie przyszły dzieci. Najprzód śliczna blondyneczka z włoskami jak puch, która zjednała sobie powszechne uwielbienie. Była to pierwsza jasna istotka w rodzinie, prześliczne stworzonko, białe i wysmukłe jak ojciec, ruchliwe, chochlikowate, które, gdy się trochę rozwinęło, wyglądało niczym filigranowa stokrotka. Nic dziwnego, że Marshallowie pokochali maleństwo. Dano jej imię Joyce. Oni też posiadali właściwy sobie wdzięk, ale był to wdzięk powolny i ociężały. Wszystkich ich cechowała silna, ciężka budowa, niski wzrost i śniada cera. I teraz oto dostali na własność, jak swoje, dziecko wiośniane niby pierwiosnek. To dziecko było uosobieniem poezji.

Ale wraz z urodzeniem się dziecka pojawił się nowy kłopot. Winifred musiała starać się o piastunkę. Tak zawyrokowała rodzina. Tylko kto miał za to płacić? Oczywiście dziadek, bo ojciec nie zarabiał ani grosza. I dziadek płacił tak, jak pokrył wszystkie koszty związane z porodem. Zaczęły się kłopoty finansowe. Egbert żył z tego, co dawał teść.

Po przyjściu na świat dziecka stosunki między młodym małżeństwem zmieniły się nieodwracalnie. Początkowo zmiana była prawie niedostrzegalna. Ale już powstała. Winifred miała odtąd nowe zainteresowanie. Co prawda nie zanosilo się na to, że będzie uwielbiać dziecko, ale posiadała głębokie poczucie macierzyńskiego obowiązku, co tak często zastępuje dzisiejszym matkom bezgraniczną miłość. Winifred ceniła ten dar losu – swoją maleńką córeczkę. Czuła, że musi dać jej z siebie wszystko, co tylko będzie w jej mocy. Dziwne było to, że owo poczucie obowiązku sięgało głębiej niż miłość do męża. Ale tak było. I tak często się zdarza. Obowiązek macierzyński zajmował w sercu Winifred pierwsze miejsce, obowiązki wobec męża pozostawały daleko w tyle.

Dziecko połączyło ją niejako z powrotem z jej własną rodziną. Rodzice, ona i dziecko tworzyli nierozdzielna całość. Mąż? Owszem, kochała go jeszcze. Ale to było coś w rodzaju zabawy. Miała nieomal pierwotne poczucie obowiązku i solidarności rodzinnej. Dopóki nie wyszła za mąż, ojciec był dla niej najważniejszy. Był podporą, źródłem i trwałą ostoją życia. Teraz jej obowiązki powiększyły się, przybyło dziecko.

Egbert znajdował się jakby poza nawiasem. Pozornie nie zaszło nic istotnego, został tylko stopniowo, nieświadomie wyłączony z rodzinnego kręgu. Żona kochała go jeszcze, pociągał ją fizycznie. Lecz był już prawie niepotrzebny. Nie mógł się na nią skarżyć. W dalszym ciągu

wypełniała swoje obowiązki względem niego. W dalszym ciągu płonęła zmysłową namiętnością, co dla niego stanowiło o życiu i szczęściu.

Ale...

Przez długi czas powracało to a le. Wreszcie, kiedy przyszło na świat drugie dziecko, druga wzruszająca, urocza, jasna istotka (nie tak dumna i płomienna jak Joyce), której dano na imię Annabel, Egbert zaczął rozumieć sytuację. Żona kochała go nadal. Ale – teraz to „ale” urosło do olbrzymich rozmiarów – fizyczna miłość zesłała u niej na drugi plan i stawała się coraz mniej ważna. Ostatecznie pożądanie trwało dwa lata, a przecież tym się nie żyje. O, nie! Życie to coś ważniejszego, coś istotniejszego.

Zaczęła sobie wyrzucać namiętność do Egberta, a nawet po trosze gardzić sobą. Miała go przy sobie, czarującego, kochanego, ponad wszystko pożądanego człowieka. Ale... Ale... och, okropna, ciemna chmura tego a le! Nie stanowił dla niej ostoi, nic nie znaczył w jej życiu. Przypominał kota, który kręci się po domu, aż pewnego dnia gdzieś zniknie. Był jak kwiat w ogrodzie, chwiejący się na wietrze, po którym również nie pozostaje żaden ślad. Jako dodatek, jako akcesorium był doskonały. Niejedna kobieta zgodziłaby się z radością mieć go na zawsze przy sobie i uważałaby za najpiękniejszy i najbardziej upragniony z darów życia. Ale Winifred należała do innego rodzaju kobiet.

Mijały lata i Egbert, zamiast brać się za bary z życiem, opuszczał się coraz bardziej. Był z natury subtelny, wrażliwy i namiętny, ale po prostu nie chciało mu się pracować dla pieniędzy. Nie chciało mu się, i już. Jeżeli Winifred nie umie się zadowolić małymi dochodami, no, to tylko jej fantazja.

Winifred rzeczywiście nie chciała, żeby jej mąż pracował dla pieniędzy. Pieniądze... niestety! to słowo stało się dla nich kamieniem obrazy. Wprawiało oboje w furję. No cóż, mówi się symbolami. Winifred nie troszczyła się o pieniądze. Wszystko jej było jedno, czy mąż zarabia, czy nie. Wiedziała jednak, że trzy czwarte wydatków na nią i na dzieci pokrywa ojciec, i to stało się przyczyną nieporozumień. To była ta broń, którą walczyli ze sobą.

Czego ona chciała, czego właściwie chciała?

Pewnego razu matka powiedziała do niej, z typową dla niej nutką ironii:

– Moja droga, jeżeli przypadło ci w udziale przypatrywać się liliom, które nie przędą arii nie tkają, to jest to takie samo przeznaczenie, jak i inne, a może nawet przyjemniejsze? Po co się przejmujesz, moje dziecko?

Matka była subtelniejsza niż dzieci. Rzadko kiedy wiedziały, co jej odpowiedzieć. Toteż Winifred poczuła się jeszcze bardziej zakłopotana. Nie chodziło przecież o lilie. A jeżeli istotnie chodziło, to w takim razie jej dzieci są jak maleńkie kwiatki. One przynajmniej rosną. Czyż Jezus nie powiedział: „Przypatrzcie się liliom polnym, jako rosną”? Więc dobrze. Ma swoje dorastające dzieci. Co się tyczy tego pięknego wysokiego kwiatu – jakim jest ich ojciec – to już przecież dorósł, a jej nie chce się trwonić życia na przypatrywanie się mu, gdy tak trwa w pełni rozkwitu.

Nie. Nie chodziło o to, że nie zarabiał, że pędził beczynne życie. Bo beczynny nie był. Zawsze coś robił, czymś się zajmował, zawsze krzątał się koło domu w Crockham. Ale, Boże drogi, co to była za praca, przy gracowaniu ścieżek, przy tych wspaniałych kwiatach, przy naprawie krzesel, starych krzesel!

Chodziło o to, że był niczym. Gdyby przynajmniej zabrał się do czegoś i stracił wszystkie pieniądze w nieudanym przedsięwzięciu! Gdyby chociaż czegoś próbował! Nie, gdyby nawet był zły, gdyby go było można nazwać marnotrawcą, czułaby się swobodniej. Miałyby przynajmniej z czym walczyć. Marnotrawca jest czymś określonym. Marnotrawca mówi: „Nie, nie będę pomagał społeczeństwu organizować się i bogacić. Będę się starał szkodzić, jak tylko potrafię.” Albo też: „Nie, nie będę się troszczył o innych. Jeżeli mam zdrożne chęci, to są one moje własne i wolę je niż cnoty innych ludzi.”

Tak więc marnotrawca i hultaj zajmuje określone stanowisko i swoją postawą wywołuje

sprzeciw, a w końcu naraża się na karę, przynajmniej w powieściach.

A Egbert? Co można zrobić z takim człowiekiem jak Egbert? Nie ma żadnych przywar, jest naprawdę dobry i szlachetny i nie jest słaby... Gdyby był słaby... Winifred mogłaby być dla niego dobra. Ale nie miała nawet tej pociechy. Nie był słaby i nie potrzebował ani jej współczucia, ani dobroci. Nie, o, nie! Miał usposobienie subtelne i uczuciowe i był ulepiony z lepszej gliny niż ona. Oboje zdawali sobie z tego sprawę. I dlatego, biedactwo, tym bardziej traciła głowę i odchodziła od zmysłów. On, wyżej od niej stojący, subtelniejszy i na swój sposób silniejszy, bawił się ogrodem, starymi piosenkami i tańcami ludowymi, po prostu bawił się, godząc się na to, aby ona, słabsza, dźwigała ciężar troski o przyszłość.

W duszy młodego człowieka narastała gorycz, a twarz nabierała zjadliwego wyrazu. Nie ustąpił żonie, o, nie! W jego wysmukłym ciele mieszkwały złe moce. Czuł się doskonale, tryskał energią, ale musiał trzymać się w ryzach, bo Winifred niechętnie korzystała z nadmiaru jego witalności. A właściwie korzystała z niej tylko od czasu do czasu. Zdarzało się, że musiała. Kochała go i tak bardzo pożałała, był dla niej nadal wspaniały. Nie mogła się z nim równać. Tak, nie mogła zdławić w sobie nienasyconej miłości do męża. Nie mogła, chociaż nad tym cierpiała, a on przychodził do niej wtedy, ach, straszny... cudowny. Dziwiła się czasami, jak mogli żyć po burzy namiętności, która ich ogarniała jak płomień. Zdawało jej się, że przesywają ją błyskawice, jedna po drugiej, a potem wszystko gasło.

Ale przeznaczeniem ludzkich istot jest żyć pomimo wszystko, tak jak przeznaczeniem chmur, które początkowo wydają się tylko obłokami pary, jest rosnąć, opanowywać niebo i zaciemniać słońce.

I tak trwało. Miłość powracała, owiewając ich potężnym ogniem namiętności. Na chwilę niebo wypogadzało się wspaniałą pogodą, po to tylko, żeby nieuniknienie, powoli zaciągać się szarą zasłoną chmur, czatujących podstępnie za horyzontem. Z chmur tych padał czasami nienawistny zimny cień. A one zbierały się powoli, powoli i wypełniały sobą nieboskłon.

W miarę jak upływały lata, coraz rzadziej strzelały błyskawice, coraz rzadziej ukazywały się skrawki czystego błękitu. Stopniowo spadało na ich życie szare wieko.

Dlaczego Egbert nie uczynił wtedy nic w samoobronie? Dlaczego nie wziął się z życiem za bary? Dlaczego nie stał się na podobieństwo ojca Winifred filarem społeczeństwa, choćby tylko w postaci wysmukłej, wdzięcznej kolumny? Dlaczego nie dał sobie nałożyć uprzęży? Dlaczego nie zdecydował się na jakiś krok?

Ano, można osła przyprowadzić do wody, ale nie można go zmusić, aby pił. Świat był wodą, a Egbert osłem. Nie chciał pić, bo nie mógł. Po prostu nie mógł. Ponieważ nie musiał pracować na codzienny chleb, nie chciał pracować dla samej tylko pracy. Orliki nie zakwitną w styczniu ani kukułka nie zakuka w Anglii na Boże Narodzenie. Dlaczego? Bo to nie jej pora. Nie chce i nie może chcieć.

Tak samo było z Egbertem. Nie mógł włączyć się w mechanizm pracy, bo nie miał do niej wrodzonego pędu. Co więcej, na dnie jego duszy kryło się inne, jeszcze potężniejsze pragnienie: trzymać się z daleka. Trzymać się z daleka. Nie robić nikomu krzywdy, ale trzymać się z daleka.

To nie była jego pora.

Może nie powinien był się żenić, mieć dzieci. Może. Lecz któż powstrzyma płynące fale?

To samo odnosiło się również do Winifred.

Młoda kobieta nie była stworzona na pustelnicę. Jej drzewo rodowe należało do typu krzepkiej rasy, co to musi działać i wierzyć. Życie jej musiało iść w jakimś kierunku. W jej otoczeniu nieznaną była obawa przed życiem tak charakterystyczna dla Egberta. Nie mogła zrozumieć jego stanowiska i napełniała ją ono przerażeniem. Co miała począć, co miała począć wobec tej straszliwej, nieufnej bezradności?

U niej w domu było zupełnie inaczej. Ojciec mógł mieć wątpliwości, ale zachowywał je dla siebie. Może nie żywił bardzo głębokiej wiary w świat i społeczeństwo, które stwarzamy z

takim trudem, po to, by w końcu zapracować się na śmierć. Lecz Godfrey Marshall był stworzony z twardego tworzywa i nie brakowało mu sprytu. Dla niego życie było kwestią utrzymania się na powierzchni, zaś resztę pozostawiał niebu. Nie miał wielu złudzeń, lecz wierzył w niebo. Nosił w duszy mroczną, niezachwianą wiarę, co przenikała go niby soki drzewa, a której żadna siła nie wykorzeni. Taką samą ślepą, gorzką wiarę, jak ślepe i gorzkie są soki drzewa, co drzewu jednak nie przeszkadza piąć się coraz wyżej i wyżej. Może był bez skrupułów, lecz tak samo, jak jest pozbawione skrupułów rosnące drzewo, gdy rozpycha gałęziami napierającą na nie gęstwinię.

Ostatecznie tylko taka potężna, żywiołowa wiara pozwala człowiekowi żyć. Może on bytować przez wiele pokoleń pod osłoną instytucji społecznych, które wzniósł własnymi rękami, tak jak grusze i porzeczeki będą rodzić owoce przez wiele sezonów w otoczonym murem ogrodzie, choćby nawet rasa ludzka została nagle zmieciona z powierzchni ziemi. Ale powoli, stopniowo rosnące koło muru drzewa rozsada korzeniami swą kamienną osłonę. Powoli, stopniowo rozpada się każda instytucja społeczna, chyba że czyjeś ręce ciągle ją naprawiają lub odnawiają.

Egbert nie potrafił przyłożyć ręki do tego dzieła odnowy i odbudowy. Nie uświadamiał sobie tego faktu, ale i uświadomienie nie na wiele by się zdało. Po prostu nie mógł. Miał stoicko-epikurejskie nastawienie, właściwe starej, wspaniałej kulturze rodowej. A jednak jego teść, chociaż wcale nie głupszy od niego, zdawał sobie sprawę, że skoro już jesteśmy na świecie, musimy żyć i musimy umieć żyć. Przykładał się więc w niewielkim zakresie do pracy społecznej, robił dla swojej rodziny, co się dało, a resztę pozostawiał Niebiosom. Wrodzona tężyźna pozwalała mu iść przed siebie. Ale bywało, że i w nim zółć się gotowała. I on sarkał czasami na świat i panujący na nim porządek. Tylko że miał wolę zwyciężania i ta go pchała naprzód. Nie zastanawiał się nad celem swoich dążeń. Wszak zapracował już na posiadłość ziemską w Hampshire i na dobrobyt dzieci. Osiągnął stanowisko i znaczenie w świecie. I basta! Basta!

Jednakże nie wyobrażajmy sobie, że był on zwykłym karierowiczem. Nie, karierowiczem nie był. Wiedział tak samo dobrze, jak Egbert, co znaczy rozczarowanie. Może w duszy tak samo oceniał światowe powodzenie. Ale natura obdarzyła go ślepą odwagą i poniekąd żądzą władzy. W swoim kółku rodzinnym sprawował niepodzielną władzę. Chociaż psuł dzieci, to jednak był ojcem w staroangielskim stylu. Był za mądry, żeby ustanawiać prawa i tyranizować dla zasady. Lecz utrzymywał – i za to należy mu się uznanie – pewną prymitywną władzę nad duszami swych dzieci, odwieczną, niemal magiczną władzę ojcostwa. Płonęła ona niby smolna pochodnia w świątyni ojcostwa.

W świętym blasku tej pochodni wychowywały się jego dzieci. Udzielał córkom wszelkich swobód, nie wypuszczając ich równocześnie poza zasięg swojej władzy. One zaś, wydostawszy się na szeroki świat, nauczyły się patrzeć oczami tego świata. Nauczyły się krytykować ojca, a nawet dostrzegać jego niższość. Ale to wszystko były mrzonki przelatujące tylko przez głowę. Z chwilą gdy zapominały o krytycznych docinkach, dawny blask jego autorytetu znów rozplomieniał się nad ich głowami. W swej ojcowskiej potędze był niezachwiany.

Niech psychoanalityk zastanawia się nad kompleksem ojcostwa. To po prostu jakiś nowotwór językowy. Marshall potrafił podsycać płomień ojcostwa. Tego ojcostwa, któremu przypisywano niegdyś nawet prawo składania dzieci w ofierze Bogu tak, jak to uczynił Izaak. Ojcostwa, potężnej oczywistej władzy z prawem życia i śmierci nad potomstwem. I Godfrey Marshall, chcąc nie chcąc, musiał utrzymać autorytet nad dziećmi do chwili przejścia dziewcząt pod inną władzę i utworzenia przez zięciów nowych ośrodków władzy – zgodnie z tajemnym przywilejem mężczyzn.

Zanosilo się na to, że Winifred wymknie się spod jego wpływu na zawsze. Winifred uwielbiała męża i považala go jako człowieka godnego podziwu. Moze spodziewala się

znaleźć w nim inną władzę, władzę męzowską, władzę większą i doskonalszą niż ojcowska. Raz zaznawszy żaru męskiej władzy, nie pragnęła spokojnej niezależności kobiecej. Całe jej życie miało być tęsknotą za ciepłem i ostoją prawdziwie męskiej siły.

I mogła tęsknić, gdyż władza Egberta polegała na abnegacji władzy. On sam był żywym zaprzeczeniem władzy a nawet odpowiedzialności. Ograniczał się do samego siebie. Nawet nie pragnął mieć wpływu na nikogo. Starał się nawet, o ile to było możliwe, nie wpływać na dzieci, nie przyjmować za nie żadnej odpowiedzialności. „Dziecię ich poprowadzi”. Niech więc dziecko prowadzi. Starał się zostawiać im zupełną swobodę. Starał się nie narzucać im swojej przewagi.

Wolność!

Biedna Winifred dusiła się w tej wolności jak ryba wyjęta z wody. Łaknęła czegoś bardziej realnego, na czym mogłaby się oprzeć. Trwało to, aż do przyjścia na świat dziecka. Wtedy zrozumiała, że musi być za nie odpowiedzialna i że musi mieć nad nim władzę. Ale tu wstąpił w szranki Egbert, milczał zachowując postawę negatywną. W ten sposób osłabiał jej autorytet nad dziećmi.

Urodziła się trzecia dziewczynka i Winifred nie pragnęła więcej dzieci. Dusza w niej zamierała.

Miała córeczki, którym winna była opiekę, za które była odpowiedzialna. Pieniądze na ich utrzymanie dawał ojciec. Postanowiła zrobić wszystko, co możliwe, dla ich dobra i sprawować władzę nad ich życiem i śmiercią. Ale nie! Egbert nie chciał brać na siebie odpowiedzialności. Nie chciał nawet starać się o pieniądze. Ale zarazem nie zostawiał jej swobody działania. Nie godził się na jej władzę nad dziećmi, władzę tajemną, cichą, namiętą. Toczyła się między nimi walka, walka między wolnością i odwieczną władzą rodzicielską. I oczywiście on zwyciężał. Dziewczęta kochały go i uwielbiały.

– Tatuś! Tatuś!

Mogły z nim wyprawiać, co im się podobało. Matka trzymałaby je krótko. Byłaby surowa. Sprawowałaby nad nimi rodzicielską władzę, magiczną, groźną, nie podlegającą dyskusji, po prostu boską, jeżeli wierzymy w autorytet boski.

Marshallowie byli wierzącymi katolikami.

Egbert przemieniał jej głęboką katolicką władzę w rodzaj tyranii. Nie zostawiał jej dzieci. Kradł je, nie przyjmując jednocześnie żadnej za nie odpowiedzialności. Skradł je pod względem uczuciowym i duchowym i pozostawił jej tylko troskę o potrzeby fizyczne. Zaiste, niewdzięczny to los dla matki. A dzieci uwielbiały go, uwielbiały z całej duszy, nie wiedząc, jaką to daremną gorycz gotują dla siebie, kiedy dorósłszy dostaną mężów takich jak Egbert, zachwycających i nijakich.

Najstarsza Joyce była ciągle jeszcze ulubienicą ojca. Żywa jak iskra, miała teraz sześć lat. Najmłodsza Barbara była dwuletnim pędrakiem. Większą część roku spędzali w Crockham, bo tak chciał Egbert. Zresztą i Winifred przepadała za. starym dworkiem. Obecnie jednak, złamana i zawiedziona, obawiała się różnych niebezpieczeństw dla dzieci: żmij, trujących jagód, strumienia, bagien, niezbyt zdrowej wody, słowem, wielu rzeczy. Matka i piastunka zasypywały je salwami rozkazów niczym ogień karabinowy, których złotowłosa wesolutka trójka nie myślała słuchać. Za dziewczynkami, przeciwko matce i piastunce, stał ojciec.

Tak się to wszystko układało.

– Jeżeli niania natychmiast nie przyjdzie, pobiegnę tam, gdzie są węże.

– Cierpliwości, Joyce. Przebiorę tylko Annabel.

Ot, co! Zawsze tak. Ciągłe to samo. Słyszał wszystko pracując na łące za strumieniem. Pracował cierpliwie, tak, jak zawsze.

Nagle usłyszał krzyk i rzuciwszy łopatę, popędził w stronę mostku jak spłoszony jeleni.

Była już tam Winifred... Joyce skaleczyła się. Zbliżył się do nich.

– Co się stało?



Dziecko krzyczało bez przerwy. A widząc ojca zaczęło wołać:

– Tatusiu! Tatusiu! Och, tatusiu!

Winifred uspokajała małą:

– Nie bój się, kochanie. Pozwól mamusi zobaczyć.

Ale mała nie przestawała krzyczeć:

– Och, tatusiu, tatusiu, tatusiu!

Była przerażona widokiem krwi, płynącej ze zranionego kolanka. Winifred przykucnęła z dziewczynką w objęciach, starając się obejrzeć skaleczone miejsce. Egbert pochylił się nad żoną.

– Uspokój się, Joyce – rzekł z irytacją. – Jak się to stało?

– Upadła na kosę, którą zostawiłeś w trawie – odpowiedziała z goryczą młoda kobieta, spoglądając oskarżycielsko w pochyloną nad sobą twarz męża.

Egbert wyjął chusteczkę i owiazał nią kolanko. Wziął na ręce rozszlochane dziecko, zaniósł do domu na górę i położył na łóżeczku. W ramionach ojca mała przestała płakać, ale jemu serce się krajało. To on zawinił. Zostawił kosę i naraził na cierpienie swoje ukochane, pierworodne dziecko. Chociaż ostatecznie to tylko wypadek, tylko wypadek. Po cóż miałby robić sobie wyrzuty? Pewno za dwa, trzy dni wszystko będzie dobrze. Po co brać to tak do serca? Po co się dręczyć? Przestał się przejmować.

Dziewczynka leżała na łóżeczku w jasnej, letniej sukience, blada jak opłatek. Przyszła z ogrodu piastunka z najmłodszym dzieckiem na rękach i z Annabel uczeponą jej spódnicę. Winifred, bardzo poważna, z twarzą nieruchomą, pochyliła się nad zranionym kolankiem, z którego zdjęła przesiąkniętą krwią chusteczkę. Schylił się i Egbert, zachowując pozornie więcej opanowania i spokoju. Winifred była śmiertelnie poważna, musiał więc i on panować nad sobą. Dziecko jęczało i szlochało.

Krew płynęła obficie. Rana była głęboka. Ostrze kosy naruszyło staw.

– Będziesz musiał jechać po lekarza, Egbercie – powiedziała z goryczą Winifred.

– Nie! Nie! – zaprotestowała przerażona Joyce.

– Joyce, nie płacz, moje kochanie! – zawołała matka i pochwyciwszy nagle dziewczynkę, przycisnęła ją do piersi pełnym bóleści gestem, niby *Mater Dolorosa*. Nawet mała przerażona się i ucichła. Egbert popatrzył na tragiczną postać żony z dzieckiem w ramionach, odwrócił się i wyszedł. Tylko Annabel rozplakała się nagle:

– Joyce, Joyce, niech ta krewka nie leci!

Egbert pojechał po lekarza do miasteczka odległego o cztery mile. Miał wrażenie, że Winifred przesadza. Samo kolano nie jest z pewnością uszkodzone. Ach, cóż znowu! To tylko powierzchowne skaleczenie.

Lekarza nie było. Zostawił więc kartkę i powrócił szybko na rowerze z sercem ściśniętym niepokojem. Zeskoczył z roweru zlanym potem i wszedł do domu z miną winowajcy. Winifred była na górze. Siedziała przy Joyce, która wyglądała bardzo blado i „ważnie” i zjadała pudding z tapioki. Widok białej, przerażonej twarzyczki dziecka targnął sercem Egberta.

– Nie zastałem doktora Winga. Przyjedzie tu o wpół do trzeciej – zakomunikował żonie.

– Nie chcę doktora! – zakwiliła Joyce.

– Joyce, kochanie, musisz być spokojna i cierpliwa – tłumaczyła Winifred. – Pan doktor nie zrobi ci nic złego. Powie nam tylko, co robić, żeby się kolanko prędzej zagoiło. Dlatego trzeba go wezwać.

Winifred wyjaśniała wszystko swoim córeczkom dokładnie, co zawsze miało ten skutek, że na chwilę milkły.

– Czy jeszcze krwawi? – zapytał Egbert.

Odsunęła ostrożnie kóldrę.

– Zdaje się, że już nie – odparła.

Pochylił się nad łóżeczkiem.

– Nie – stwierdził i wyprostował się z wyrazem ulgi na twarzy. Zwrócił się do dziewczynki:

– Jedz pudding, Joyce, jedz – zachęcał. – Nic ci nie będzie, tylko będziesz musiała poleżeć kilka dni w łóżeczku.

– Czy tatuś już jadł obiadek?

– Nie jeszcze.

– Niania poda obiad – rzekła Winifred.

– Nic ci nie będzie, Joyce – powiedział, uśmiechając się do córeczki. Odgarnął jej włoski z czoła, a ona uśmiechnęła się do niego.

Zeszedł na dół i zjadł obiad sam. Usługiwała mu piastunka. Lubiła mu usługiwać, jak zresztą wszystkie kobiety, bo wszystkie za nim przepadały.

Zjawił się lekarz, wiejski omnibus, gruby, sympatyczny, dobrotliwy.

– Co? Dziewczynka się przewróciła? A to dopiero! Taka duża panienska i przewróciła się? Co? I skaleczyła się w kolanko? Ojoj! Kto widział być takim niezgrabiaszem! Ale nie ma się czego martwić, to się prędko zagoi. Zobaczymy, co to takiego. Nie bój się, nie będzie bolało. Nie, nie. Nianiu, proszę przynieść miednicę z ciepłą wodą. Zagoi się prędko.

Joyce uśmiechnęła się blade do doktora, z pewną wyższością. Nie była przyzwyczajona, żeby tak do niej przemawiano.

Lekarz schylił się i obejrzał starannie chude, skaleczone kolanko. Egbert pochylił się nad doktorem.

– Ach, Boziu, Boziu! Jakie duże kuku! Brzydkie kuku! Be kuku! Ale to nic. To nic, moja panienczko! Zrobimy z tym porządek. Zrobimy prędko porządek. Jak ci na Imię?

– Na Imię mi Joyce – odpowiedziało wyraźnie dziecko.

– O, naprawdę? – zawołał. – Naprawdę! Śliczne Imię! Milutkie imię Joyce. Podoba mi się! No, no! A ile panna Joyce ma latek? Czy może mi powiedzieć?

– Sześć – odparła bardzo łaskawie, z lekka ubawiona dziewczynka.

– Sześć! Patrzcie, państwo! A czy panienczka potrafi policzyć do sześciu? Potrafi! Mądra dziewczynka, grzeczna dziewczynka. Jestem pewien, że jeżeli będzie musiała wypić łyżkę lekarstwa, to nie powie ani mru-mru. Nie tak, jak n i e k t ó r e dziewczynki.

– Wypiję, jeżeli mamusia każe – powiedziała Joyce.

– A. to mi się podoba! To mi się podoba! Tak powinna mówić mała panienska, która skaleczyła się w kolanko i leży w łóżeczku. To mi się podoba!

Przyjacielski, gadatliwy eskulap opatrzył i obandażował kolanko i zalecił małej pacjentce łóżko i lekką dietę. Uważał, że za tydzień – dwa dziecko będzie zdrowe. Na szczęście nie uległy uszkodzeniu ani kości, ani ścięgno. To tylko głębokie skaleczenie. Obiecał, że za parę dni znowu wpadnie.

Joyce uspokoiła się i leżała w łóżku, obłożona zabawkami. Ojciec bawił się z nią często. Na trzeci dzień przyjechał doktor. Był zadowolony. Kolanko goiło się. Goiło się, tak, tak... Tylko niech dziecko jeszcze poleży. Po paru dniach znowu się zjawił. Winifred była trochę zaniepokojona. Rana niby to goiła się po wierzchu, ale bardzo bolała. Coś musiało być nie w porządku. Zwierzyła się ze swych obaw Egbertowi.

– Egbercie, jestem pewna, że kolanko Joyce nie goi się tak, jak powinno.

– Mnie się zdaje, że jest dobrze – odpowiedział. – Zupełnie dobrze.

– Nie. Trzeba znów sprowadzić doktora Winga. Jestem niespokojna.

– Czy ty nie wmawiasz w siebie, że to wygląda gorzej, niż jest naprawdę?

– Spodziewałam się, że tak powiesz. Napiszę zaraz do Winga.

Lekarz przyjechał nazajutrz. Tak, jest zaognione. Tak, możliwe, że nastąpiła lekka infekcja. Możliwe... Czy dziecko gorączkowało?

Upłynęły dwa tygodnie. Dziewczynka gorączkowała, kolanko zaogniało się coraz bardziej

i bolało... Płakała po nocach i matka musiała przy niej siedzieć. Egbert w dalszym ciągu utrzymywał, że to nic, że wszystko będzie dobrze... Ale w głębi duszy teraz i on był niespokojny.

Winifred napisała do ojca. Starszy pan przyjechał w sobotę. Na widok krępej postaci w szarym garniturze młoda kobieta o mało się nie rozpląkała.

– Ojczy, jestem niespokojna o Joyce. Wing nie poznał się.

– W takim razie, Winnie, kochanie, musimy się zwrócić o radę do innego lekarza. – Barczysty, krzepki starszy pan udał się na górę. Głos jego rozniósł się po domu zgrzytliwym echem, jakby przecinając napiętą atmosferę.

– Jak się masz, maleńka? – zapytał wnuczki. – Czy kolanko bardzo boli? Co, kochanie?

– Czasami boli. – Dziadek ją onieśmielał. Traktowała go chłodno.

– Biedne dziecko! Bardzo ci współczuję. Mam nadzieję, że jesteś grzeczna i nie dręczysz zanadto mamusi.

Nie odpowiedziała. Obejrzał kolanko. Było sztywne, czerwone.

– Oczywiście – zaopiniował. – Trzeba będzie koniecznie zwrócić się do innego lekarza. I to natychmiast. Nie ma co się zastanawiać. Egbercie, może byś pojechał do Bingham po doktora Wayne'a? Leczył kiedyś matkę i bardzo byłem z niego zadowolony.

– Jeżeli ojciec sobie życzy... – odparł zięć.

– Uważam, że to konieczne. Nawet jeżeli to nic groźnego, to lepiej się upewnić dla świętego spokoju. Musisz jechać koniecznie. Chciałbym, żeby Wayne zjawił się jeszcze dziś wieczorem, jeżeli to możliwe.

Egbert pomknął wśród wichury na rowerze niby chłopak na posyłki, pozostawiając Winifred pod opieką teścia.

Doktor Wayne potraktował ranę poważnie. Tak, kolano nie goi się tak, jak powinno. Dziecko może okuleć.

Rodzice byli zdenerwowani, pełni najgorszych przeczuć. Wayne przyjechał jeszcze raz następnego dnia. Stan rany okazał się istotnie niepokojący. Lekarz orzekł, że trzeba nóżkę prześwietlić. Koniecznie! To bardzo ważne.

Godfrey Marshall przechadzał się z lekarzem koło czekającego w alejce samochodu. Ile on już miał w życiu tego rodzaju konsultacji! Och, ile!

Po tej rozmowie wszedł do domu poszukać Winifred.

– Nie ma rady, kochanie, tylko zabierzemy Joyce do Londynu, do lecznicy, gdzie będzie miała należytą opiekę. Oczywiście, rana została zaniedbana. Tak dalece, że dziecko może nawet stracić nóżkę. Jak myślisz, kochanie? Zgadzasz się na mój projekt, żeby ją zabrać do miasta i oddać pod fachową opiekę?

– Och, ojciec w i e , że zrobiłabym dla niej wszystko, wszystko.

– Wiem, Winnie! Źle, że się wcześniej o tym nie pomyślało. Nie pojmuję, jak doktor Wing mógł do tego dopuścić. Małej grozi utrata nóżki. No, więc, jeżeli zdążysz wszystko przygotować, zabierzemy ją do Londynu jutro rano. Zamówię na dziesiątą ten wielki samochód u Denleya. Egbercie, może byłbyś łaskaw nadać zaraz depeszę do doktora Jacksona! Niewielka lecznica chirurgiczna dla dzieci, niedaleko Baker Street. Jestem pewny, że Joyce będzie tam dobrze.

– Ach, ojczy, czy ja sama nie mogłabym się nią opiekować?

– Kochanie, w lecznicy będzie miała najlepszą opiekę. Będą ją tam musieli prześwietlić, a potem nie obejdzie się bez elektroterapii i tak dalej.

– To będzie strasznie dużo kosztowało – zaoponowała.

– Nie można myśleć o kosztach, kiedy dziecku grozi kalectwo, a może nawet śmierć. Co to gadać o pieniądzach – zniecierpliwił się.

Stało się według jego woli. Biedna Joyce, złożona na łóżeczku w ogromnym, zamkniętym samochodzie, pomiędzy matką u wezglowia a przysadzistym dziadkiem w meloniku na

głowie, z krótką, siwą bródką, siedzącym u jej stóp i biorącym na siebie odpowiedzialność, opuszczała powoli Crockham i Egberta, który stał na ścieżce z gołą głową, z poczuciem winy. Miał zamknąć dom i przyjechać nazajutrz do miasta pociągiem z resztą rodziny.

Nastąpiły ponure, okropne dni. Biedne dziecko, co ono się nacierpiało w tej lecznicy! Co się nacierpiało! W ciągu tych ciężkich sześciu tygodni Winifred całkowicie się zmieniła. Czuwając przy łóżeczku nieszczęśliwej umęczonej córeczki, znoszącej nie tylko ból w kolanie, ale może jeszcze gorsze tortury różnych okropnych, chociaż pewnie koniecznych zabiegów leczniczych, czuła, jak zamiera i zastyga w niej serce. Jej malutka Joyce, biedna kruszynka, tak dzielna, tak cudna! Wątła, malutka i blada jak biały kwiat! Ach, jak ona, Winifred, mogła być taka zła, taka niedbała, taka zmysłowa...

– Zbawicielu, spraw, aby serce moje umarło! Ale ulituj się nad moim dzieckiem! Niech moje serce umrze dla świata i dla ciała! O, zniwecz moje przewrotne serce! Niech umrze na zawsze moje serce pełne pychy!

Tak się modliła u łóżeczka dziecka. Podobna w swym bólu do matki z siedmioma mieczami w piersiach, czuła, że jej dumne, namiętne serce wykrwawia się i kona. I tak z wolna wykrwawilo się i zamarło, a ona zwróciła się o pocieszenie do kościoła, do Jezusa i Matki Boskiej, ale przede wszystkim do tej wielkiej, trwałej instytucji, Kościoła rzymskokatolickiego. Usunęła się w cień Kościoła. Była matką trojga dzieci. Ale w duszy umarła. Jej dumne, namiętne, pożądliwe serce wykrwawilo się doszczętnie: duszę poświęciła Kościołowi, a ciało – obowiązkowi matki.

Obowiązki żony nie wchodziły w grę. Jako żona nie miała poczucia obowiązku. Do człowieka, z którym przeżyła tyle namiętnych uniesień, czuła tylko rozgoryczenie. Jako żona przestała istnieć. Została *Mater Dolorosa*. Dla męża zamknęła się jak grób.

Egbert przychodził widywać się z dzieckiem. Zastawał zawsze Winifred, która przesiadywała przy chorej. Biedna, zboleła Winifred była jeszcze młoda, silna i piękna, jak czerwony polny kwiat. Dziwne to było, że ta zdrowa, rumiana twarz tak sposepniała, a silne, zdrowe ciało jakby zamarło. Ona mniszka! Nigdy. A przecież jej dusza i serce zamknęły się przed nim na zawsze... Nie potrzebowała się zamykać w klasztorze. Wystarczyła jej wola.

A między tą młodą matką i młodym ojcem leżało chore dziecko, podobne w swej bladej do rzuconego na poduszkę pasma jasnej, jedwabnej przędzy. Nie mógł znieść widoku bladej, cierpiącej twarzyczki. To było ponad jego siły. Wychodził z pokoju. Cóż miał robić? Wychodził i błąkał się bez celu. Był jak zawsze uroczy i pociągający, ale między brwiami zarysowała mu się mała zmarszczka, jakby czymś nacięta. Ten stygmat nosił do końca życia.

Nóżka dziecka została uratowana, lecz kolano pozostało sztywne. Zachodziła obawa, że noga poniżej kolana przestanie rosnać lub uschnie. Lekarze zalecili codzienne masaży i inne zabiegi.

Wszystkie wydatki pokrywał ojciec.

Na dobrą sprawę Egbert nie miał teraz domu. Winifred z dziećmi i piastunką przebywały z konieczności w londyńskim mieszkaniu. On nie mógł tam teraz mieszkać. Zresztą by tam nie wytrzymał. Dworek albo był zamknięty, albo wynajmowano go znajomym. Jeździł tam czasami popracować trochę w ogrodzie i sprawdzić, czy wszystko w porządku. W nocy samotny w pustym domku, w pustych pokojach, czuł w sercu wzbierającą gorycz. Coraz bardziej odczuwał bezcelowość wszelkich wysiłków. Wzerała mu się w serce, niby odrętwiający jad węzowy, niby straszliwa bagienna trucizna.

Za dnia pracując w ogrodzie, nasłuchiwał jakichś dźwięków. Naokoło panowała martwa cisza. Z ciemnego wnętrza dworku nie dochodził głos Winifred, z pobliskiej łąki nie dobiegały nawoływania dzieci. Nic, tylko cisza i ta trująca atmosfera bagnisk. Pracował przez cały dzień, a wieczorem rozpałał sobie ogień i gotował trochę strawy.

Był sam. Sam sprzątał mieszkanie i słał sobie łóżko. Ale podartego ubrania nie naprawiał.

Koszule popękały mu na ramionach i przez dziury prześwitywało białe ciało. Czuł na odsłoniętej skórze powiewy wiatru i krople deszczu. I ciągle spoglądał na pola, gdzie wędły ciemne kępy paproci i różowiwały kępki wrzosu.

Dusza jego zatęskniła do dawnych, minionych czasów: do starych miejscowych bogów, do zapomnianych namiętności, do zimnokrwistych węzów, które umykały przed nim, sycząc, do tajemnicy krwawych ofiar, do zapomnianych, przejmujących doznań pierwotnych mieszkańców tych stron, których namiętności przesycaly dotąd powietrze... Czuł jeszcze naokoło bliskość tego, co przeminęło. Obecność niewidzialnych węzów działała na jego wyobraźnię jak zakłęcie.

Dziwną miał teraz twarz, złą i jakby nieprzytomną. Nie mógł wytrzymać długo w dworku. Ni z tego, ni z owego wyprowadzał rower i jechał, dokąd go oczy poniosły. Dokądkolwiek, byle daleko od tego miejsca. Zaglądał na parę dni do matki. Matka uwielbiała go i bolała nad nim, jak to matka, ale usta wykrzywiały mu się zjadliwym uśmiechem, i uciekał od tej troskliwości podobnie, jak uciekał od wszystkiego.

Ciągle był w ruchu, jeździł z miejsca na miejsce, od przyjaciela do przyjaciela i stale uchodził przed współczuciem. Skoro tylko wyczuł czyjaś sympatię, niby miękkie dotknięcie przyjacielskiej dłoni, natychmiast zaczynał się instynktownie cofać, jak nieszkodliwy wąż cofa się przed wyciągniętą ręką człowieka. I uciekał, bo musiał. Od czasu do czasu odwiedzał żonę.

Winifred bała się go teraz, jak straszliwej pokusy. Poświęciła się dzieciom i Kościołowi.

Joyce opuściła wreszcie łóżeczko, ale niestety kulała! Miała na nóżce żelazny aparat i chodziła o kuli. O, dziwo! Wyrosła na wiotką, bladą, dziką istotkę. O, dziwo! Cierpienie nie uczyniło jej cichą i potulną, lecz przeciwnie, złą i gwałtowną. Zrobiła się z niej mała złoźnica. Miała teraz siedem lat, była chuda, blada i bardzo wysoka, ale jakaż nieopanowana. Jasne włosy zaczynały ciemnieć. Czekwały ją jeszcze długie cierpienia. Stygmat kalectwa powoli utrwałał się w dziecinnej świadomości.

A ona znosiła to wszystko. Mogło się zdawać, że opętała ją odwaga szaleństwa. Stawiała czoło życiu całą siłą młodości. Doceniała poświęcenie i troskliwość matki. Nie ulegało wątpliwości, że nigdy się od niej nie odwróci, ale pomimo wszystko w małej duszyczce przebłykiwało coś z głębokiej rozpaczyny ojca.

Ujrawszy małą kalekę, która nie tylko bardzo kulała, lecz kolebała się chodząc, Egbert poczuł, jak jego serce ponownie kamienieje. Między nim i dziewczynką istniało milczące porozumienie. Nie była to właściwie miłość, lecz pokrewieństwo duchowe, coś jakby braterstwo dusz. W stosunku ojca do córki przebijała nutka ironii, kontrastująca jaskrawo z uciążliwą, natrętną troskliwością Winifred. Dziecko również uśmiechało się do niego ironicznie i beztrzesko. Ta dziwna nonszalancja sprawiała, że Winifred jeszcze bardziej posepniała i poważniała.

Marshallowie dokładali wszelkich starań, aby uratować dziewczynkę od kalectwa i zapewnić jej sprawność fizyczną. Nie szczydzili wysiłków ani pieniędzy. Byli nieskończenie wytrwali. Po swojemu, powoli, twardo postanawiali, że Joyce odzyska swobodę ruchów i będzie jak dawniej żywiołowa, pełna wdzięku. Postanowili, że dopną celu, choćby mieli czekać, nie wiem jak długo.

Tak to wszystko wyglądało. Joyce poddawała się cierpliwie, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, bolesnym zabiegom leczniczym. Rozumiała, że to dla jej dobra. Ale w duchu pozostała żywiołowa i beztrzeska jak ojciec. On jeden miał dla niej urok. Byli oboje jak gdyby członkami jakiejś zakazanej tajnej organizacji, którzy się znają, a mogą się nie poznać. Posiadali tę samą wiedzę, tę samą świadomość tajemnicy życia. Tylko że dziecko pozostawało, jak nakazywał zwyczaj, w obozowisku matki, podczas gdy ojciec wędrował po świecie jak Izmael i tylko od czasu do czasu zachodził wieczorem do domu i zasiadał na parę godzin przy domowym ognisku. Zapadało wtedy dziwne, pełne napięcia milczenie. Był jak

wygnaniec, w którego milczeniu uchwycić można było drwiące echo pustyni, które niweczyło wszelkie poczucie jedności i jednolitości rodziny.

Obecność męża była dla Winifred nieomal udręką. Modliła się, żeby odszedł. Ta ostra zmarszczka między brwiami, ten jego zły uśmieszek, błakający się na twarzy, a nade wszystko pełna triumfu samotność Izmaela. Ach, i ta prosta, gibka postać, niby symbol! Już sam sposób, w jaki stał, taki spokojny, zdradliwy, symbolizujący niejako pełnię życia, której przeciwieństwem była jej znękana dusza, samo to było dla niej torturą. Czuła, że jeżeli będzie patrzeć na to żywe bóstwo, zostanie potępiona.

A on przychodził i zachowywał się tak, jak u siebie w domu. Kiedy kręcił się tu i tam, jak zwykle cichy i spokojny, czuła, że cała wielka ofiara, którą złożyła, obraca się wniwecz. Samą swą obecnością obalał reguły, według których ułożyła sobie życie. A co w zamian dawał? Odpowiedź na to pytanie wzniecała w niej bunt.

Straszne było widzieć go, jak chodził po domu bez marynarki i przemawiał do dzieci ochryłym głosem. Annabel uwielbiała go po prostu, a on się z nią przekomarzał. Malutka Barbara nie wiedziała, co myśleć o ojcu, od urodzenia byli sobie obcy. Ale, nawet piastunka, widząc przeświecające przez dziury białe ciało, uważała, że pan nie ma żadnego wstydu.

Winifred czuła, że była to tylko jeszcze jedna broń przeciwko niej.

– Masz inne koszule, dlaczego nosisz tę starą, podartą, Egbercie?

– Mogę ją przecież dodrzeć – odpowiedział znacząco.

Wiedział, że Winifred nie zechce jej naprawić. Nie mogła. I po prostu nie chciała. Czyż nie miała swoich bogów, którym powinna była służyć? I czyż mogła dopuścić się wobec nich zdrady i złożyć hołd jego Baalowi i Astarte? Straszne było dla niej jego obnażenie – unicestwiająca ją samą i jej wiarę. Kiedy tak snuł się po domu, wydawał jej się niby świetlane bóstwo, nasłane na nią, żywe bóstwo życia, które mogło zatriumfować.

Przychodził i znikał, a ona trwała nieugięta.

Wreszcie wybuchła pierwsza wojna światowa. Egbert był człowiekiem, który nie mógł zejść na psy. Nie mógł się marnować. Był Anglikiem i choćby nawet chciał, nie umiał być łajdakami.

Więc kiedy wybuchła wojna, przeciwstawił jej się całym swoim instynktem. Nie uznawał wojny. Nie pragnął pokonywać nieprzyjaciół lub pomagać ich zabijać. Idea Imperium Brytyjskiego nie przemawiała do niego, słowa hymnu angielskiego – Rule Britannia – traktował jako żart. Był czystej krwi Anglikiem, doskonałym rasowo i nie mógł być zaborczy z racji swej narodowości, tak samo jak róża nie może być zaborcza tylko dlatego, że jest różą. Nie, nie pragnął rzucać wyzwania Niemcom, nie pragnął też wynosić pod niebiosy swojej ojczyzny. Różnica między Niemcem i Anglikiem nie stanowiła w jego pojęciu różnicy między złem a dobrem. Było to po prostu coś takiego, jak różnica kolorów między niebieskimi kwiatami wodnymi i czerwonymi lub białymi kiściami kwitnących krzewów. Po prostu tylko różnica. Podobnie jak istnieje różnica między niedźwiedziem i dzikiem. Człowiek jest dobry lub zły, zależnie od swojej natury, a nie narodowości.

Egbert był dobrze wychowany i ta cecha stanowiła o jego naturze. Uważał, że to sprzeczne z naturą nienawidzić naród jako taki. Czasem lubił poszczególnych ludzi, innych nie. Ale o masie nie wiedział nic. Pewnych postępów nie uznawał, inne wydawały mu się naturalne, a jeszcze inne ani takie, ani owakie.

Miał jednak jeden, najgłębiej zakorzeniony rasowy instynkt, mianowicie wzdrygał się na samą myśl, żeby masy miały mu dyktować, co powinien czuć. Jego uczucia należały wyłącznie do niego, tak samo jak myśli. I nigdy by się nie sprzeniewierzył tej zasadzie. Czyż człowiek ma się zaprzec samego siebie dlatego tylko, że motłoch tego żąda?

To stanowisko Egberta podzielał jego teść, z tą różnicą, że stary człowiek był bezpośredni i zapalczywy. Obaj, pomimo dzielących ich różnic, byli typowymi Anglikami i wyznawali te same poglądy.

Tylko że Godfrey Marshall liczył się ze światem. W danej chwili wchodziła w grę militarna zaborczość niemiecka i angielska idea wolności i „pokojowych” podbojów, która wyrażała się w uprzemysłowieniu. Nawet jeżeli wybór między militarystką a uprzemysłowieniem równał się wyborowi między dwiema odmianami zła, starszy człowiek skłaniał się siłą rzeczy ku temu drugiemu. Całą duszą był za władzą, jaką dają pieniądze.

Natomiast Egbert nie liczył się ze światem. Nie wypowiadał się nawet ani za militarystką niemiecką, ani za przemysłem angielskim. Nie wybierał pomiędzy nimi. Gardził ludźmi, którzy popełniali okrucieństwa, traktując ich jak kryminalistów. Dla niego Zbrodnia nie łączyła się z pojęciem narodu.

Ale jednak to jest wojna! Po prostu wojna! Słuszna czy niesłuszna, jest faktem dokonanym. Czy powinien wstąpić do wojska? Czy powinien się w nią włączyć? Zastanawiał się nad tym przez kilka tygodni. Nie dlatego, aby uważał, że słuszność była po stronie Anglii, a nie Niemiec. Prawdopodobnie Niemcy nie mieli racji. Nie zastanawiał się nad tym. Chodziło po prostu o samą istotę wojny.

Powstrzymywała go obawa przed podporządkowaniem się innym, przed oddaniem się we władzę ludzi, którzy rządzą demokratyczną armią. Czy powinien skapitulować? Czy powinien przekazać siebie, swoje życie, pod kontrolę tych, co, jak wiedział, byli niżsi duchowo od niego? Czy powinien oddać się pod taką kontrolę? Czy powinien zdradzić samego siebie?

Jednak wiedział, że to uczyni. Wiedział, że odda się w niewolę. Wiedział, że dostanie się pod komendę małej *canaille*, podoficerów a nawet oficerów. On, który był wolny od urodzenia i wychowany w duchu wolności. Czy powinien to uczynić?

Poszedł pomówić z żoną.

– Czy mam się zaciągnąć, Winifred?

Chwilę milczała. I ona instynktownie burzyła się przeciwko wojnie. A jednak, powodowana głęboką urazą, odpowiedziała:

– Masz troje dzieci. Nie wiem, czy o tym pomyślałeś?

Było to w trzecim miesiącu wojny i dawne przedwojenne pojęcia nadal jeszcze obowiązywały.

– Oczywiście, ale dzieciom nie robi to właściwie różnicy. Będę przynajmniej zarabiał szylinga dziennie.

– Więc pomów z ojcem – odpowiedziała ze smutkiem.

Egbert udał się do teścia. Stary człowiek żywił w sercu urazę do zięcia.

– To najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić – zaopiniował cierpko.

Egbert zaciągnął się niezwłocznie jako szeregowiec. Przydzielono go do lekkiej artylerii.

Winifred miała teraz wobec niego nowy obowiązek: obowiązek żony wobec męża, który spełnia obowiązek wobec świata. Kochała go jeszcze. W ziemskim znaczeniu tego słowa miała go kochać zawsze. Ale obecnie żyła tylko obowiązkiem. Kiedy przyjechał do niej jako żołnierz ubrany w mundur khaki, uległa mu. Było to jej obowiązkiem. Tylko że nie mogła już teraz oddawać mu się z całą namiętnością. Coś ją wstrzymywało, wbrew jej własnemu najgłębszemu pragnieniu. To było nieodwracalne. Odjechał z powrotem do obozu. Nie nadawał się na nowoczesnego żołnierza. Nie było mu do twarzy w szkaradnym, szorstkim mundurze, który gasił całą jego subtelną urodę. W codzienności obozowego życia tracił wrodzoną wrażliwość. Ale wybrał swój los i musiał go znosić. Na jego twarzy pojawił się ów nieprzyjemny wyraz, właściwy ludziom, którzy godzą się na własne poniżenie.

Wczesną wiosną Winifred pojechała do Crockham. Zapragnęła widoku pierwsiońków i bazi na gałązkach leszczyny. Teraz, kiedy Egbert przebywał prawie ciągle niby więzien w obozie, czuła się poniekąd z nim pojednana. Joyce szalała z radości na widok ogrodu i pól po kilku miesiącach cierpień, podczas pobytu w londyńskim szpitalu. Wciąż jeszcze kulała i miała nóżkę w aparacie, ale kuśtykała po ogrodzie ze zwinnością okaleczonego zwierzątka.

Egbert przyjechał na weekend w grubym szorstkim mundurze, w owijaczach i paskudnej czapce. Wyglądał okropnie. W twarzy jego pojawiła się jakaś zmysłowość, wargi miał obsypane wyrzutami, jakby za wiele jadał i zanadto się upijał. Obozowe życie spowodowało, że był wprost nieprzyzwoicie zdrowy. Nie było mu z tym do twarzy.

Winifred oczekiwała go, gotowa z obowiązku poświęcić się dla niego, nie tyle dla męża, ile dla żołnierza. Sprawilo to, że wydawał się sobie jeszcze wstrętniejszy. Weekend był dla niego udręczeniem. Wstrętne mu było wspomnienie obozu, życia, jakie tam prowadził, nawet widok własnych nóg w tych odrażających owijaczach koloru khaki. Miał wrażenie, że to obrzydliwe sukno zanieczyszcza mu krew. I do tego jeszcze ta Winifred, uległa wobec żołnierza, a odtrącająca męża. Zgrzytał zębami. Dziewczynki biegały po ogrodzie, bawiąc się i nawołując przesadnie piśczotliwymi głosikami, właściwymi dzieciom, które mają piastunki, bony i wykwinną atmosferę w domu. I Joyce, mała kaleka I Po życiu w obozie wszystko to wydawało mu się nierealne. Rozdrażniało go. Wyjechał w poniedziałek o świcie, rad, że powraca do wulgarного życia obozowego.

Winifred nie zobaczyła go więcej w progach dworku. Spotykali się odtąd tylko w Londynie, w gwarze świata. Ale jednak Egbert odwiedzał Crockham podczas nieobecności żony, wówczas gdy tam bawili znajomi, i pracował w ogrodzie. Również tego lata nie miało zabraknąć kwiatów: niebieskich miodek, ogromnych czerwonych maków i wysmukłych dziewann o omszonych listkach, rozchwianych na wietrze. Powój pachniał jak dawniej i jak dawniej pohukiwały sowy. Siadywał przy ogniu z przyjaciółmi i siostrami żony i śpiewali razem piosenki ludowe. Przebierał się w cywilne ubranie i czarował wdziękiem i urodą. Znow stawał się nieodparcie uroczy. Ale Winifred nie było.

Pod koniec lata wysłano go na front do Flandrii. Wydawało mu się, że już dawno znalazł się poza nawiasem życia. Zapominał, że w ogóle żył. Czuł się jak człowiek, który ma skoczyć z wysokości i patrzy tylko, w którym miejscu wylądować.

W ciągu dwóch miesięcy odniósł dwie lekkie rany, tle za każdym razem leczył się tylko po parę dni. Armia cofała się znow przed napierającym nieprzyjacielem. On szedł w tylnej straży, mieli ze sobą trzy działka. Okolica była przyjemna, jeszcze nie zniszczona przez wojnę. Zdawało się, że powietrze rozpada się w kawałki, a ziemia oczekuje śmierci. Wypad, w którym uczestniczył Egbert, nie miał wielkiego znaczenia.

Działka ustawiono na porośłym krzewami pagórku, tuż za wsią. Chwilami trudno było odróżnić, z której strony dochodził ostry trzask ognia karabinowego i daleki grzmot dział. Zimowe popołudnie było mroźne.

Porucznik stał na małej żelaznej platformie u szczytu drabin. Obserwował określając cele wysokim, nerwowym głosem. Gdzieś z nieba dobiegały szczekliwe rozkazy, następnie koordynaty, a wreszcie padała komenda:

– Ognia!!

Rozległ się strzał, tłok zamka odskoczył do tyłu, huk i nikły obłoczek dymu. Po czym dawały ognia dwa pozostałe działka i zapadała cisza. Oficer nie był pewny pozycji nieprzyjaciela. Gęsta kępa kasztanów w dole pod nimi pozostała bez zmiany. Tylko gdzieś daleko, daleko huczała kanonada. Tak daleko, że aż napawała spokojem.

Gęstwina janowca po obu stronach tworzyła ciemną plamę, przez którą gdzieniegdzie przebijały się żółte plamy kwiatów. Zauważył je podświadomie pomiędzy jedną i drugą salwą. Był bez munduru i czuł na ramionach przejmujące zimno. Znow miał podartą koszulę i ciało prześwitywało przez dziury. Był brudny i rozczochrany. Ale twarz miał spokojną. Tyłu rzeczy jesteśmy nieświadomi, nim dojdziemy do granicy świadomości.

Przed nim w dole biegła szosa między wysokimi poboczami porośłymi trawą i janowcem. Widział błotniste ślady i głębokie wyboje na drodze, w miejscach, które wycofała się część pułku. Teraz było tu cicho. Dźwięki, jakie słyssał, dochodziły z daleka. Tu, gdzie się



znajdował, panowała jeszcze mroźna, pogodna cisza. Biały kościół między drzewami wydawał się nierealny.

Poruszył się reagując automatycznie, z błyskawiczną szybkością na ostrą komendę oficera. Mechanizm – prosta automatyczna czynność posłuszeństwa... Prosta automatyczna czynność przy obsłudze działka pozostawiała duszy swobodę, pozwalając jej zatapiać się w sobie.

Nie było nic widać prócz szosy, pochylonego krzyża, ciemnych jesiennych pól i lasów. Na niedużej wyniosłości, górującej nad zorany polem, ukazali się trzej jeźdźcy. Byli to rodacy. Nieprzyjaciel nie dawał o sobie znać.

Cisza trwała jeszcze chwilę, po czym zabrzmiały nagle donośne rozkazy, podano nowe koordynaty i zawrzała gorączkowa, pośpieszna krzątania koło działek. Ale jego dusza pozostała ciemna, wyniosła, samotna...

Pomimo to ona właśnie usłyszała nowy dźwięk, nowe głębokie „paf” armatnie, które przeniknęło ją do dna. Egbert uwijał się przy karabinie maszynowym, oblewając się potem, lecz w duszy brzmiało mu echo tego nowego głębokiego dźwięku, głębszego niż życie.

Nie mylił się. Straszliwy, daleki świst granatu przeszedł nagle w przejmujący, rozdzierający trzask, taki, co to przenika do trzewi. Doznał ulgi, kiedy pocisk przeleciał nad nim i trafił gdzieś dalej. Usłyszał chrapliwy łoskot eksplozji i głos żołnierza, wołającego na konie. Ale nie obejrzał się. Zauważył tylko, że na szosę w dole spadła gałązka ostrokrzewu z czerwonymi jagodami, niby dań ofiarna.

Nie teraz jeszcze. Nie teraz. Gdzie ty, tam i ja! Czy mówił to do granatu, czy do kogoś żyjącego? Gdzie ty, tam i ja! Rozległ się znów świst granatu, krew ucichła w oczekiwaniu. Pocisk nadleciał ze straszliwym podmuchem i krew w nim zastygła. Zobaczył ciężki granat, spadający łukiem na ziemię wśród skał na prawo i wylatujący w niebo gejzer kamieni z ziemią. Wydało mu się, że nie usłyszał żadnego dźwięku. Grudy, kamienie i gałęzie opadły na ziemię i zapanował ten sam głęboki spokój. Niemcy wymacali pozycję.

Czy teraz ruszą naprzód, czy zaczną się odwrót? Chyba to drugie. Tak. Oficer wydawał ostatnie naglące rozkazy, aby przed opuszczeniem pozycji dać jeszcze raz ognia. Wśród pośpiesznej krzątania przeleciał nie zauważony granat. A potem w ciszę i oczekiwanie zadumanej duszy wdarł się trzask, ciemność, płomienny ból i trwoga. Ach, zobaczył lecącego ku niemu ptaka, tym razem już niechybnie. W jednej chwili życie i wieczność strzeliły w górę pożogą agonii, a potem zwała się ciemność.

Kiedy w ciemności zaczęło się coś słabo kołatać – powracająca świadomość – poczuł wielki ciężar i usłyszał jakiś szcęk. Ach, wiedzieć o chwili śmierci! I być zmuszonym spojrzeć jej w oczy. Los wziął się na niego do samego końca.

I znów ból dał znać o sobie! Mogło się zdawać, że płynie spoza granic świadomości, niby głośny dzwon, bijący tuż, tuż... Jednak wiedział, że ten ból tkwi w nim samym. Musi się z nim utożsamić. Kiedy wypłynął z ciemności, zdobył się na nowy wysiłek i umiejscowił go w głowie; potworny ból, który dzwonił i rozbrzmiewał. I kiedy utożsamił go z sobą, ponownie zapadł w ciemność.

Po jakimś czasie znów się ocknął i zrozumiał, że jest na froncie i że został trafiony... Nie otworzył oczu. Nie zobaczył światła. Przemożny ból w głowie zagłuszył w nim resztę świadomości. Znów stracił przytomność w niewypowiedzianym udręczeniu uchodzącego życia.

Z wolna, po trochu, niby wyrok losu obudziła się konieczność zrozumienia tego, co się stało. Został trafiony w głowę. Początkowo był to tylko niejasny domysł. Ale w miarę jak kołysało się wahadło bólu coraz to bliżej i bliżej, budząc w nim agonię świadomości, stopniowo pojmował sytuację: musiał dostać w głowę, w czoło nad lewym okiem. W takim razie musi być tam krew. Czy jest krew w lewym oku? Straszliwe dzwonienie rozsadzało mu mózg, niby szaleństwo śmierci.

Czy ma krew na twarzy? Czy płynie ciepła krew? A może zakrzepła na policzku? To pytanie zajęło mu całe godziny. Czas przeobraził się w agonię w ciemnościach bez granic.

Upłynęło dużo czasu, nim otworzywszy oczy, zdał sobie sprawę, że coś widzi... coś, coś, coś... lecz wysiłek przypomnienia, co to takiego, był za wielki. Nie, nie, lepiej nie przypominać.

Czy to gwiazdy świecą na ciemnym niebie? Czy to możliwe, że na czarnym niebie świecą gwiazdy? Gwiazdy? Świat? Ach, nie, skądże on może wiedzieć! Gwiazdy i świat istnieją już nie dla niego. Zamknął oczy. Nie ma gwiazd, nie ma nieba, nie ma świata. Nie, nie! Nic, tylko gęsta ciemna krew. Powinien teraz zapaść się w mrok agonii. Śmierć! Ach, śmierć! Świat cały we krwi, a krew wydana na pastwę śmierci. Dusza jak maleńkie światełko na ciemnym morzu, morzu krwi. Światełko, drgające, migające, pulsujące wśród bezwietrznej burzy, które chce zgasnąć, a nie potrafi.

Było życie. Była Winifred i dzieci. Ale słaby wysiłek konającego, aby zaczepić się o coś pamięcią, przypomnieć coś z przeszłości, kosztował go zbyt dużo. Zrobiło mu się okropnie słabo. Nie, nie! Niech lepiej nie będzie ani Winifred, ani dzieci, ani świata, ani ludzi. Lepsza agonია i unicestwienie niż męka powrotu do przeszłości. Niech się raczej dokona straszne dzieło śmierci, niech świat rozplynie się w czarnym morzu ostatecznego zatracenia, niżby miał nastąpić powrót do życia.

Zapomnieć! Zapomnieć!

Zapomnieć raz na zawsze wszechogarniającym zapomnieniem śmierci. Zniweczyć istotę i jedność życia i roztopić się w wielkiej ciemności. Zerwać nić trwania i stopić się w jedno z ciemnością, bez żadnego potem, bez żadnej przeszłości. Niech sama śmierć rozwiąże przyszłość. Niech wola człowieka złamie się i ugnie.

Lecz co to?

Światło! Straszliwe światło! Czy to ludzie? Czy nogi jakiegoś ogromnego konia, tuż nad nim, nad jego głową, potwornie olbrzymiego konia.

Niemcy usłyszeli lekki szmer i wystraszyli się, A potem w jaskrawym blasku rakiety, obok kupy ziemi, wyrwanej przez granat, zobaczyli martwą twarz.

## DOTKNĘŁAŚ MNIE

Dom mieszkalny, brzydki kwadratowy budynek z cegły, otoczony był murem, w obrębie którego mieściła się również garncarnia. Co prawda żywopłot ligustrowy odgradzał dom od fabryki, ale nie zasłaniał go całkowicie. Przez gałązki ligustru widać było opustoszały dziedziniec i wielookienny budynek fabryczny, a nad żywopłotem dostrzegało się kominy i szopy. Za to od strony domu rozciągał się ładny ogród i trawnik, schodzący pochyło do obrośniętej wierzbami sadzawki, skąd niegdyś czerpano wodę do fabryki.

Garncarnia była nieczynna. Wielkie bramy podwórzowe zamknięto na głucho. Sprzed szopy, gdzie dawniej pakowano towar, znikły piramidy pak, zjeżonych żółtą słomą. Po stromej drodze nie zjeżdżały już ciężkie wozy, zaprzężone w pociągowe konie. Nie było robotnic fabrycznych z twarzami i włosami opryskanymi szarym mułem, w pobrudzonych gliną fartuchach i nie dobiegały ich zaczepne okrzyki i chichoty. Wszystko to przeminęło.

– Wolimy tak, jak jest teraz... cicho... spokojnie – mawiała Matylda Rockley.

– Tak... – wtórowała Emma, jej siostra.

– Oczywiście – zgadzał się gość.

Ale czy rzeczywiście panny Rockley wolały tak, jak było, czy im się tylko zdawało, pozostaje kwestią nie rozstrzygniętą.

Prawdę mówiąc, z chwilą gdy szara glina przestała opryskiwać obejście, a w powietrzu nie unosił się już szary pył, życie ich stało się niezwykle bezbarwne i monotonne. Nie zdawały sobie sprawy, jak bardzo im brakowało krzykliwych, hałaśliwych robotnic, których nie lubiły, a do których przywykły od urodzenia.

Matylda i Emma były już właściwie starymi pannami. W środowisku czysto przemysłowym niełatwo jest wyjść za mąż dziewczętom z wyższymi aspiracjami. Brzydkie miasto fabryczne roiło się od młodych ludzi gotowych do żeniaczki. Ale byli to wyłącznie górnicy lub pracownicy garncarscy, słowem, prości robotnicy.

W razie śmierci ojca panny Rockley dziedziczyły każda po dziesięć tysięcy funtów, zabezpieczonych na nieruchomości. Nie było to do pogardzenia. Czuły to same. Nie myślały marnować takich fortun na małżonków z innej sfery. Ponieważ zaś nie zjawili się ani urzędnicy bankowi, ani pastorzy nonkonformiści, ani nawet nauczyciele, Matylda zaczęła się godzić z myślą, że pozostanie w domu ojca do końca życia.

Była to wysoka, pełna wdzięku, szczupła, jasnowłosa dziewczyna z trochę za dużym nosem. W stosunku do siostry Emmy odgrywała taką rolę, jak biblijna Maria wobec Marty, bowiem Matylda oddawała się malarstwu, muzyce i czytaniu powieści, podczas gdy Emma prowadziła gospodarstwo. Emma była niższa i tęższa od siostry i nie posiadała żadnych talentów. Podziwiała więc Matyldę ze względu na jej poziom intelektualny i zainteresowania kulturalne.

Siostry były szczęśliwe na swój spokojny, melancholijny sposób. Matka ich nie żyła, ojciec chorował. Był to inteligentny człowiek, który otrzymał pewne wykształcenie, ale pozostał, z własnej woli, na poziomie sfery robotniczej. Pasjonował się muzyką i grał wcale nieźle na skrzypcach. Ale teraz postarzał się bardzo i chorował ciężko na nerki. Właściwie był beznadziejnie chory. Kiedyś pił na umór.

I tak od wielu lat żyli sobie spokojnie z jedną służącą do pomocy. Bywali u nich znajomi, dziewczęta wychodziły na miasto, a ojciec zapijał się systematycznie. Na ulicy panował bezustanny harmider, pełno było górników z dziećmi i psami, lecz za kamiennym ogrodem było cicho i pusto.

Jednak w ich życiu nie wszystko układało się pomyślnie. Ted Rockley miał cztery córki, lecz ani jednego syna. W miarę jak dziewczęta dorastały, otoczenie samych tylko kobiet zaczęło mu działać na nerwy. Pojechał więc do Londynu i adoptował chłopca z przytułku dla sierot. Emma miała czternaście lat a Matylda szesnaście, gdy ojciec przywiózł im sześciolatniego Hadriana, którym się zachwycił.

Hadrian był zwyczajnym chłopcem z przytułku, ciemnowłosym, niebieskookim, ot, takim, jakich się spotyka na każdym kroku. Mówił londyńską gwarą. Panny Rockley (było ich wtedy w domu trzy) przyjęły narzuconego sobie „braciszka” bardzo niechętnie. Hadrian, z właściwą sierocie z przytułku przebiegłością, zorientował się natychmiast w ich uczuciach. Miał dopiero sześć lat, ale zdążył już przejść szkołę życia, toteż kiedy patrzył na dziewczęta, na twarzy jego malował się wyraz lekkiej drwiny. Kazały mu nazywać się kuzynkami: kuzynką Florą, kuzynką Matyldą, kuzynką Emmą. Zgodził się, ale w głosie jego dźwięczała ironia.

W gruncie rzeczy dziewczęta miały dobre serca. Flora wyszła za mąż i opuściła dom. Hadrian robił z Matyldą i Emmą, co mu się podobało, chociaż pewnych granic nie mógł przekraczać. Wyrósł i wychował się w obrębie gamcami i skończył szkołę podstawową. Nazywano go Hadrianem Rockleyem. Do kuzynek Emmy i Matyldy odnosił się z lakoniczną obojętnością. Był spokojny i mało mówny. Dziewczęta niesłusznie uważały go za chytrego, bo w rzeczywistości chłopak był tylko ostrożny i nieszczerzy. Wuj Ted Rockley rozumiał go bez słów. Mieli bardzo podobne usposobienia. Wychowanek i opiekun żywili dla siebie nawzajem szczerą sympatią, chociaż tego nie okazywali.

Kiedy Hadrian skończył trzynaście lat, posłano go do stolicy hrabstwa do szkoły średniej. Nie podobało mu się to. Kuzynka Matylda chciała z niego koniecznie zrobić małego dżentelmena, ale nie dał się. Gdy próbowano uczyć go eleganckich manier, wykrzywił pogardliwie usta i uśmiechał się. Wagarował, wreszcie sprzedał książki, czapkę z odznaką, a nawet szalik i chustkę do nosa swoim kolegom i przepadł nie wiadomo gdzie. Tak zmarnował dwa lata.

Mając piętnaście lat oznajmił, że chce jechać do kolonii. Jednak kontaktu z domem nie zrywał. Rockleyowie wiedzieli, że jeżeli Hadrian coś postanowi, po swojemu spokojnie, z lekką drwiąco, to nie ma sensu mu się sprzeciwiać. Tak więc chłopiec wyjechał do Kanady, dzięki protekcji instytucji dobroczynnej, która się nim opiekowała. Z przybraną rodziną pożegnał się bez słowa podzięką i wyruszył w świat (jak się zdawało) bez żalu. Matylda i Emma płakały nieraz, rozważając, jak im się odwdzieczył, nawet ojciec robił dziwną minę. Ale Hadrian pisywał z Kanady dosyć regularnie. Dostał pracę w jakichś warsztatach elektrycznych pod Montrealem i powodziło mu się dobrze.

Wreszcie wybuchła wojna. Hadrian zaciągnął się do wojska i przyjechał do Europy. Do domu nie zajrzał... Ojciec z córkami żyli sobie tak jak dawniej. Ted Rockley chorował na puchlinę wodną, bliski był śmierci i tęsknił do przybranego syna.

Po zawieszeniu broni Hadrian dostał długi urlop i zapowiedział swój przyjazd.

Matylda i Emma były nie na żarty zdenerwowane. Prawdę mówiąc, bały się go trochę. Matylda, wysoka i chuda, była z natury wątpa, a poza tym obie były wyczerpane doglądaniem chorego ojca. Perspektywa powrotu Hadriana, teraz już dwudziestoletniego młodzieńca, wydawała się trudna do zniesienia, szczególnie, że pamiętały jego chłodne pożegnanie sprzed pięciu laty.

Toteż były podniecone. Emma namówiła ojca, żeby się przeniósł z łóżkiem do bawialni na dole, jego zaś dotychczasową sypialnię na górze szykowano dla Hadriana. Przygotowania były w pełnym toku, kiedy gość zjawił się nagle z rana o dziesiątej, zupełnie nieoczekiwanie. Emma ze śmieszoną krótką fryzurą była właśnie zajęta czyszczeniem metalowych prętów na schodach, a Matylda szorowała w kuchni w mydlinach ozdobne cacka z salonu. Podwinięte wysoko rękawy ukazywały bardzo szczupłe ręce. Głowę owięzła dziwacznie i zalotnie ściereczką od kurzu.

Na widok niosącego swój wojskowy worek młodego człowieka, który wkroczył do kuchni jak zawsze opanowany i rzucił czapkę na maszynę do szycia, kuzynka Matylda spłonęła rumieńcem bolesnego upokorzenia. Hadrian był niski, pewny siebie i dziwnie schludny, jak przystało na wychowanka przytułku. Twarz miał opaloną i małe wąsiki. Pomimo niskiego wzrostu był krzepki i muskularny.

– O, jest Hadrian! – wykrzyknęła Matylda, wycierając ręce z mydlin. – Spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro.

– Wyjechałem w poniedziałek wieczorem – odparł rozglądając się po kuchni.

– No, proszę! – odezwała się Matylda i wytarłszy ręce podeszła z wyciągniętą dłonią.

– Jak się masz!

– Doskonale, dziękuję – odparł.

– Zrobiłeś się teraz dorosłym mężczyzną – zauważyła Matylda.

Chłopak popatrzył na nią. Nie wyglądała uroczo: taka chuda, z wielkim nosem, w ścierce od kurzu w różową kratkę na głowie. Czują, że przedstawia się niekorzystnie, ale tyle już nacierpiała się w życiu, że przestała się przejmować.

Weszła służąca, która Hadriana nie знаła.

– Chodź przywitać się z ojcem – zaproponowała Matylda.

W hallu spłoszyli Emmę, niby kuropatwę przyczajoną na gnieździe. Stała na schodach, wsuwając na miejsca błyszczące pręty. Podniosła instynktownie rękę do kosmyków na czole.

– Co! – krzyknęła gniewnie. – Dlaczego dziś przyjechałeś?

– Wyjechałem o dzień wcześniej – odparł młody człowiek i jego niespodziewanie niski męski głos podziałał na Emmę wstrząsająco.

– Zaskoczyłeś nas przy robocie – mruknęła z urazą. Weszli wszyscy troje do środkowego pokoju.

Stary Rockley był ubrany, to znaczy miał na sobie spodnie i skarpetki, ale leżał na łóżku, popodpierany poduszkami i patrzył przez okno na ukochany ogród, w którym kwitły tulipany i jabłonie. Na pierwszy rzut oka wyglądał nawet dobrze, gdyż jego nalana twarz nie straciła rumieńców. Brzuch miał silnie spuchnięty. Obejrzał się szybko, nie poruszając głową. Z przystojnego, dobrze zbudowanego mężczyzny zrobiła się ruina.

Na widok Hadriana twarz jego rozjaśniła się szczególnym uśmiechem. Młody człowiek powitał go nieśmiało.

– No, do gwardii byś się nie nadał – zauważył stary. – Nie zjadłbyś czegoś?

Hadrian rozejrzał się naokoło, jakby za posiłkiem.

– Owszem.

– Może jajka na bekonie? – zapytała lakonicznie Emma.

– Owszem – powtórzył młodzieniec.

Zeszły do kuchni i kazały służącej dokończyć roboty przy schodach.

– Z m i e n i ł się, nieprawda? – zapytała *sotto voce* Matylda.

– O! – wykrzyknęła Emma. – Co za mężczyzna! Miniatura!

Skrzywiły się i roześmiały nerwowo.

– Podaj mi patelnię – powiedziała Emma do siostry.

– Ale pewny siebie jak zawsze – zauważyła Matylda, mrużąc oczy i potrząsając znacząco głową. Przyglądała się patelni.

– Kogucik! – palnęła sarkastycznie Emma. Najwidoczniej niedawno osiągnięta zawadiacka męskość Hadriana nie znalazła w jej oczach uznania.

– O, nie taki znowu nieudany – zaprotestowała Matylda. – Nie uprzedzaj się do niego.

– Nie uprzedzam się, nawet uważam, że jest dość przystojny, tylko stanowczo za malutki.

– Ale żeby nas tak zaskoczyć! – oburzała się Matylda.

– Mężczyźni nigdy się z niczym nie liczą – mruknęła pogardliwie Emma. – Idź i ubierz się, Matyldo. Mnie on nie obchodzi. Zajmę się przygotowaniem jedzenia, a ty możesz z nim

porozmawiać. Ja nie chcę z nim rozmawiać.

– Będzie wolał porozmawiać z ojcem... – zauważyła znacząco Matylda.

– Przebiegły! – zawołała krzywiąc się Emma.

Siostry były przekonane, że Hadrian przyjechał w zamiarze wyłudzenia od ojca jakiegoś zapisu. I nie były pewne, czy mu się to nie uda.

Matylda poszła na górę się przebrać. Obmyślała zawczasu, jak go przyjmie, żeby mu zaimponować, a on tymczasem zaskoczył ją z głową owiazaną ścierką od kurzu i z chudymi rękami zanurzonymi w mydlinach. Nie przejęła się tym wcale. Teraz za to wystroiła się pięknie, uczesała starannie wspaniałe, długie, jasne włosy, ożywiła bladość twarzy odrobinką różu i włożyła miękką zieloną suknię oraz długi sznur ślicznych kryształowych paciorków. Wyglądała tak elegancko, jak bohaterka powieści z jakiegoś ilustrowanego czasopisma i prawie tak samo nierealnie.

Zastała ojca i Hadriana zatopionych w rozmowie. Młody człowiek, zazwyczaj małomówny, w towarzystwie „wujka” potrafił się rozgadać. Popijali obaj koniak i palili papierosy, gawędząc jak starzy przyjaciele. Hadrian opowiadał o Kanadzie, dokąd zamierzał wrócić po urlopie.

– Więc nie chciałbyś zostać w Anglii? – dopytywał się Rockley.

– Nie, nie chciałbym – odparł Hadrian.

– Dlaczego? U nas też potrzebują elektrotechników – mówił stary.

– Tak, ale tutaj istnieje znacznie większy dystans między pracownikami i pracodawcami – odpowiedział chłopak. – A ja tego nie lubię.

Chory człowiek spojrzał na niego badawczo z dziwnym uśmiechem w oczach.

– Ach, więc to tak?

Matylda słysząc to, też pojęła, o co chodzi.

Więc aż takie masz aspiracje, mój młodzieńcze – pomyślała.

Zawsze uważała, że Hadrian nie miał właściwego szacunku dla nikogo i niczego, że był chytry i prostacki. Zeszła do kuchni na konferencję *sotto voce* z siostrą.

– Dobrze sobie myśli! – szepnęła.

– Ano, taki ważny! – uzupełniła z pogardą Emma.

– Sądzi, że u nas istnieje zbyt wielki dystans między pracownikami a pracodawcami – ciągnęła starsza siostra.

– Czy w Kanadzie jest inaczej?

– Tak, tam jest demokracja – objaśniła Matylda. – Mówi, że tam wszyscy są równi.

– Ale teraz jest tutaj – wypaliła młodsza siostra – to musi siedzieć cicho!

Za oknem, w głębi ogrodu, ukazała się sylwetka gościa. Przechadzał się wolnym krokiem, przyglądając się od niechcienia kwiatom. Miał na głowie czapkę żołnierską i trzymał ręce w kieszeniach. Zachowywał się tak swobodnie, jakby był na swoich śmieciach. Siostry obserwowały go, poruszone i przejęte.

– Wiemy, po co tu przyjechał – zaznaczyła grubiańsko Emma. Matylda wpatrywała się w schludną postać koloru khaki. Pozostało w nim coś, co przypominało sierotę z przytułku, ale był to teraz mężczyzna, małomówny, nieokrzesany, pełen energii. Przypomniała sobie nutę szyderczego uniesienia w jego głosie, gdy przy ojcu wypowiadał się przeciwko klasom posiadającym.

– Nie Wiesz, Emmo. Może nie po to przyjechał – zgromiła siostrę. Obie miały na myśli pieniądze.

Nie odrywały oczu od młodego żołnierza. Stał w głębi ogrodu, obrócony do nich plecami, z rękami w kieszeniach, zapatrzony w wodę sadzawki pod wierzbami. Ciemnoniebieskie oczy Matyldy miały szczególny, głęboki wyraz; powieki, przeświecające nikłymi błękitnymi żyłkami, miała półprzymknięte. Trzymała głowę lekko uniesioną, ale w oczach malowało się cierpienie.

Młody człowiek w głębi ogrodu odwrócił się. Mógł je zobaczyć w oknie. Matylda cofnęła się.

Po południu ojciec czuł się gorzej niż zwykle. Łatwo się męczył. Wezwano lekarza, który ostrzegł Matyldę, że chory może skończyć nagle, w każdej chwili, chociaż może też jeszcze pożyć. W każdym razie powinny być przygotowane na najgorsze.

Upłynął dzień. Hadrian zadomowił się i spacerował z rana po mieszkaniu w półkoszulku i spodniach khaki, bez kołnierzyka, z odsłoniętą szyją. Obchodził uważnie zabudowania fabryczne tak, jakby miał w tym jakiś ukryty cel, i rozmawiał z Rockleyem, ilekroć ten ostatni czuł się na siłach. Pufne rozmowy mężczyzn złościły obie siostry. Jednakże przedmiotem tych rozmów była głównie polityka.

Drugiego dnia po przyjeździe gościa Matylda siedziała wieczorem przy ojcu. Kopiowała jakiś obrazek. W pokoju panowała cisza. Hadrian gdzieś poszedł, a Emma była zajęta przy gospodarstwie. Stary leżał na łóżku podparty, patrząc w milczeniu na ozłocony zachodem ogród.

– Jeżeli mi się coś stanie, Matyldo – odezwał się – nie sprzedacie tego domu, zostaniecie w nim...

Popatrzyła na ojca półprzytomnie.

– Przecież i tak nie mogłybyśmy zrobić nic innego – odparła.

– Nie wiesz sama, co mogłybyście zrobić – zauważył. – Cały majątek zostawiam tobie i Emmie – po połowie. Zrobicie z tym, co się wam będzie podobało, tylko nie sprzedawajcie tego domu, nie rozstawajcie się z nim.

– Dobrze.

– I dajcie Hadrianowi mój zegarek z dewizką i sto funtów z banku. I poratujcie go, gdyby potrzebował pomocy. Nie umieściłem go w testamencie.

– Zegarek z dewizką i sto funtów – dobrze! Ale przecież ojciec sam go pożegna przed odjazdem do Kanady.

– Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć – odpowiedział stary.

Matylda siedziała jeszcze długo i patrzyła na ojca posepnym, przejmującym wzrokiem, jak w transie. Niby jasnowidząca, widziała, że chory człowiek przeczuwa rychłą śmierć.

Później zakomunikowała siostrze o zegarku z dewizką i stu funtach.

– Jakie on – (miała na myśli Hadriana) – jakie o n ma prawo do zegarka i dewizki ojca, co on ma z nim wspólnego? Niech zabiera pieniądze i wynosi się! – zawołała Emma. Kochała ojca.

Tego wieczora Matylda czuwała w swoim pokoju do późnej godziny. Zbolała, niespokojna, na pół przytomna. Była tak znękana, że nawet nie mogła płakać. Myślała ciągle o ojcu, tylko o ojcu. W końcu poczuła, że musi pójść do niego.

Zbliżała się północ. Przeszła przez korytarz i weszła do pokoju chorego. Na dworze świecił blado księżyc. Zanim nacisnęła klamkę, nasłuchiwała chwilę pod drzwiami. Otworzyła ostrożnie i weszła. W pokoju panował półmrok. Usłyszała szelest pościeli.

– Czy tatuś śpi? – zapytała szeptem, podchodząc do łóżka. – Czy tatuś śpi? – powtórzyła łagodnie i wyciągnęła rękę w ciemnościach, aby dotknąć jego czoła. Palce jej przesunęły się delikatnie po nosie i brwiach i spoczęły na czole, które wydało jej się ogromnie świeże i gładkie. Pomimo oszołomienia, jakiego doświadczała, coś ją zdziwiło. A jednak nie oprzytomniała. Pochyliła się tkliwie nad łóżkiem i musnęła palcami po włosach.

– Nie może tatuś spać?

Leżący poruszył się energicznie.

– Owszem, mogę – odpowiedział głos Hadriana.

Odskoczyła od łóżka i oprzytomniała momentalnie. Przypomniała sobie, że przecież ojciec przeniósł się na dół, a jego pokój zajął Hadrian. Znieruchomiła w ciemnościach jak porażona.

– To ty, Hadrianie? – zapytała. – Myślałam, że to ojciec. – Była tak wstrząśnięta i przerażona, że nogi wrosły jej w ziemię. Młody człowiek roześmiał się z zakłopotaniem i przewrócił na bok.

Wreszcie udało jej się wyjść. Kiedy znalazła się z powrotem w swoim pokoju, w jasnym świetle lampy, i zamknęła za sobą drzwi, stała dłuższą chwilę z podniesioną ręką, jakby ją zabolęła. Tą ręką, która dotknęła Hadriana. Wstrząs, jakiego doznała, był po prostu ponad jej siły.

No, cóż – pomyślała po chwili znużona – to była tylko omyłka. Nie ma się czym przejmować.

Ale nie tak to łatwo ukoić uczucia rozumowaniem. Cierpiała, bo znalazła się w fałszywym położeniu. Prawa ręka, którą tak pieszczotliwie złożyła na twarzy młodzieńca, bolała ją, jakby się w nią zraniła. Nie mogła przebaczyć Hadrianowi swojej omyłki, co sprawiło, że poczuła do niego głęboką niechęć.

Lecz i on źle spał tej nocy. Obudziło go skrzypnięcie drzwi i w pierwszej chwili nie zrozumiał pytania dziewczyny. Miękka, przelotna pieszczota jej ręki obudziła w jego duszy dziwne uczucie. Był przygarniętym z litości sierotą, zamkniętym w sobie. Prześladowała go myśl, że jako obcy jest niepożądany. Delikatna przejmująca pieszczota, jakiej przypadkiem doświadczył, objawiła mu nie znane dotąd rozkosze.

Spotkawszy się rano z młodym człowiekiem, Matylda poznała po jego oczach, że pamięta o nocnym zdarzeniu. Starła się zachowywać jakby nigdy nic, i udało jej się to w zupełności. Potrafiła się opanować, jak ktoś, kto dużo cierpi i znosi swoje cierpienie po stoicku. Spojrzała na niego swoimi ciemnoniebieskimi, trochę nieprzytomnymi oczyma i pochwyciła w jego źrenicach wymowny błysk, udając, że tego nie dostrzega – włożyła mu cukier do kawy swą długą piękną ręką.

Ale myliła się, sądząc, że uda jej się nad nim zapanować. Młodzieniec przeżywał wczorajsze wspomnienie, ogarnęło go nie znane mu uczucie. Coś się w nim budziło. Swoją tajemnicę ukrył starannie, nie przestając jednak o niej rozmyślać. I tak Matylda znalazła się na jego łasce i niełasce, bo – w przeciwieństwie do niej – nie miał skrupułów. Przyglądał jej się z zainteresowaniem. Nie była piękna: nos miała za duży, brodę za małą, szyję zbyt chudą, za to karnację gładką, śliczną i była arystokratycznie wrażliwa. Tę ostatnią cechę odziedziczyła po ojcu. Sierota z przytułku dostrzegał ją w wąskich białych palcach, błyszczących pierścionkami. Ten sam urok, który wyczuwał w starym opiekunie, objawił mu się teraz w jego córce. I zapragnął owładnąć nią, dostać w swoje ręce. Przechadzając się po dziedzińcu fabrycznym, obmyślał coś tajemniczo. Postanowił zawładnąć tą dziwną delikatną istotą, której pieszczotliwe dotknięcie czuł dotąd na twarzy... Knuł więc swoje plany.

Wodził oczami za Matyldą, która od razu pojęła, o co chodzi. Miała uczucie, że jakiś cień podąża za nią krok w krok, lecz w przystępie dumy udawała, że tego nie dostrzega. Kiedy podchodził do niej z rękami w kieszeniach, zachowywała się uprzejmie, zdawkowo, co działało na niego bardziej, niż gdyby traktowała go z pogardą. Trzymała go w szachu swoim obyciem towarzyskim. Starła się zachowywać tak jak zawsze. Nie zapomniała, że ten chłopiec – chociaż mieszka z nimi pod wspólnym dachem – jest obcym człowiekiem. Tylko bała się wspominać, że wodziła ręką po jego twarzy. Zdumiewało ją, jak mogła tak postąpić... Ach, odciąć tę rękę! Boże! Zniszczyć w nim to wspomnienie! Udawała przed sobą, że tego dokazała.

Pewnego dnia młody człowiek, rozmawiając z „wujem”, zajął mu w oczy i powiedział:

- Nie chciałbym jednak żyć i umierać tu, w Rawsley.
- Nikt cię przecież do tego nie zmusza.
- A czy kuzynce Matyldzie podoba się tutaj?
- Chyba.



– Hm! To nie życie, a wegetacja – mówił młodzieniec. – Czy ona dużo ode mnie starsza, wuju?

Chory popatrzył na młodego żołnierza:

– Sporo – powiedział.

– Przekroczyła trzydziestkę? – dopytywał się Hadrian.

– Zaledwie. Ma trzydzieści dwa lata.

Hadrian zastanowił się chwilę.

– Nie wygląda na to.

Rockley ponownie spojrzał na niego.

– Ciekaw jestem, czy zgodziłaby się stąd wyjechać?

– Nie wiem – odpowiedział ze zdenerwowaniem stary.

Hadrian siedział, pogrążony w myślach. Nagle rzekł cichym, spokojnym głosem, jakby z głębi duszy:

– Ożeniłbym się z nią, gdyby wuj pozwolił.

Rockley otworzył nagle oczy. Patrzył długo...

Młodzieniec wyglądał oknem z twarzą nieprzeniknioną jak maska.

– Ty! – zdziwił się z drwiącą pogardą starzec. Hadrian odwrócił się i oczy ich się spotkały. Porozumieli się w niepojęty sposób.

– Jeżeli wuj nie ma nic przeciwko temu – zaznaczył chłopiec.

– Nie – odparł Rockley, odwracając głowę. – Nie mam nic przeciwko temu. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Ale... Ale Emma jest młodsza.

Zarumienił się, jakby nagle odżył. W głębi duszy kochał chłopca.

– Mógłby ją wuj zapytać? – podsunął Hadrian.

Stary zastanowił się.

– Nie lepiej żebyś to ty sam zrobił?

– Wuja potraktowałaby poważniej. Umilkli. Weszła Emma.

Przez następne dwa dni Rockley był podniecony i zadumany. Hadrian kręcił się po domu spokojny, tajemniczy, milczący. Wreszcie ojciec i córka znaleźli się sami. Była to wczesna godzina ranna i chory odpoczywał po bolesnym ataku. Leżał cicho, pogrążony w myślach.

– Matyldo! – odezwał się nagie, spoglądając na córkę.

– Słucham, tatusiu! Jestem tutaj.

– Chciałbym cię o coś prosić...

Podniosła się, sądząc, że idzie o jakieś polecenie.

– Siadaj. Niczego nie potrzebuję. Chciałbym, żebyś została żoną Hadriana...

Myślała, że bredzi. Wstała znów z krzesła oszołomiona i przestraszona.

– Siadaj, mówię ci, siadaj. Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Ależ ojciec sam nie wie, co mówi.

– Wiem, co mówię. Chcę, żebyś wyszła za Hadriana.

Oniemiała. Stary Rockley był z natury lakoniczny.

– Zrobisz to, co mówię – ciągnął dalej.

Spojrzała na niego.

– Co też ojcu przyszło do głowy? – powiedziała dumnie.

– On mi to podsunął.

Matylda zmierzyła ojca niemal pogardliwym spojrzeniem. Duma jej była dotkliwie urażona.

– To hańba!

– Dlaczego?

– Nie spuszczała zeń oczu.

– Czemu ojciec ode mnie żąda? To oburzające!

- Chłopak zdrowy, rozumny – tłumaczył z irytacją.
- Niech mu ojciec lepiej powie, żeby się stąd wynosił – oświadczyła chłodno.

Odwrócił się i spojrział w okno. Dziewczyna siedziała sztywna, zarumieniona. Wreszcie stary przemówił:

– Jeżeli się nie zgodzisz, to znaczy, że jesteś głupia. I zapłacisz mi za tę głupotę, zobaczysz!

Obleciał ją zimny strach. Nie wierzyła własnym uszom. Patrzyła na ojca, posądzając go, że się upił, zwariował lub że majaczy. Co miała począć?

– Mówię ci – powtórzył. – Jeżeli się nie zgodzisz, pošlę jutro po Whittle'a. Żadna z was nie dostanie ode mnie ani grosza.

Whittle był notariuszem. Matylda zrozumiała ojca doskonale. Pośle po notariusza i każe sporządzić nowy testament, w którym zapisze wszystko Hadrianowi, wydziedziczając ją i Emmę. Nie, tego było za wiele. Wstała i opuściła pokój. Poszła do swojej sypialni, gdzie zamknęła się na klucz.

Przesiedziała tak kilka godzin. Wreszcie późnym wieczorem zwierzyła się siostrze.

– Chytry diabeł, chce zagarnąć majątek – orzekła Emma. – Ojciec musiał zwariować.

Myśl, że Hadrianowi mogło zależeć tylko na pieniądzach, ugodziła serce Matyldy boleśnie. Nie kochała niesforne go młodzieńca, ale nie uważała go za nicponia. Teraz stał się dla niej odrażający.

Na drugi dzień Emma zrobiła ojcu awanturę.

– Ojciec chyba nie mówił wczoraj Matyldzie tego wszystkiego na serio? – zaczęła napastliwie.

– Owszem, na serio – odpowiedział.

– Więc ojciec naprawdę chce sporządzić nowy testament?

– Naprawdę!

– Ojciec tego nie zrobi – oburzyła się gniewnie córka.

Spojrzał na nią ze zjadliwym uśmiechem.

– Anno! – wrzasnął w stronę kuchni. – Anno!

Głosu mu jeszcze nie brakowało. Weszła służąca.

– Ubierz się i idź do kancelarii pana Whittle'a. Powiedz, że chcę się z nim widzieć. Niech przyjdzie, jak tylko będzie mógł, i przyniesie ze sobą formularz testamentowy.

Chory wsparł się na chwilę na poduszkach. Nie mógł uleżeć. Córka patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby ją uderzył w twarz. W końcu wstała i wyszła.

Hadrian kręcił się po ogrodzie. Podbiegła do niego.

– Słuchaj I – krzyknęła. – Może byś tak zebrał swoje manatki i wyniósł się od nas! Tylko prędko!

Chłopak popatrzył na rozwścieczoną dziewczynę.

– Czyjeż to życzenie?

– N a s z e ! Wynoś się, dosyć już narobiłeś biedy.

– Czy wuj tak powiedział?

– Tak, on.

– Pójdę go zapytać.

Emma zastąpiła mu drogę. Wyglądała jak furia.

– Obejdzie się bez tego. Nie potrzebujesz go się pytać. Nie chcemy cię, to się wynoś.

– Wuj tu rządzi.

– Człowiek umiera, a ty mu się podlizujesz o pieniądze. Wstyd, że taki żyje.

– O! – zdziwił się. – Kto powiedział, że ja zabiegam o jego pieniądze?

– Ja! Ale ojciec powiedział Matyldzie i ona wie, co ty za ptaszek. W i e , o co ci idzie.

Wobec tego najlepiej będzie, jak się wyniesiesz, przybłęd!

Odwrócił się do niej plecami i odszedł zamyślony. Nie przyszło mu do głowy, że mogą go

posądzić o interesowność. Pragnął pieniędzy, i to bardzo. Pragnął być pracodawcą, a nie pracownikiem. Pomimo to kombinował przemyślnie, że nie dla pieniędzy pożąda Matyldy. Chciał mieć i pieniądze, i Matyldę, lecz powiedział sobie, że te dwa pragnienia nie mają ze sobą nic wspólnego. Nie mógł ożenić się z Matyldą bez pieniędzy, ale też nie chciał jej dla pieniędzy.

Skoro to sobie uświadomił, zaczął czatować na Matyldę, chcąc się z nią rozmówić. Ale ona go unikała. Wieczorem przyszedł notariusz. Rockley jakby odzyskał siły. Sporządzono nowy testament, mocą którego poprzednia ostatnia wola została warunkowo zawieszona. Gdyby Matylda zgodziła się poślubić Hadriana, dawny testament pozostałby w mocy. Gdyby odmówiła, cały majątek przeszedłby po upływie sześciu miesięcy na Hadriana.

Rockley oznajmił o tym młodzieńcowi ze złośliwym zadowoleniem. Mogło się zdawać, że ponosi go dziwne, wrogie, nierozumne pragnienie zemsty na kobietach, które otaczały go od tyłu lat i opiekowały się nim zawsze z czułą troskliwością.

– Niech wuj powie jej to w mojej obecności – poprosił młody człowiek.

Stary posłał po córki.

Przyszły blade, milczące, zacięte. Matylda wydawała się nieobecna myślami. Emma miała minę zapaśnika, gotowego walczyć na śmierć i życie. Chory spoczywał wsparty na poduszkach. Oczy mu błyszczały, spuchnięta ręka drżała. Ale twarz odzyskała coś ze swej dawnej świetnej urody. Hadrian siedział spokojnie z boku: nieugięty, niebezpieczny chłopak z przytułku dla sierot.

– Oto mój testament – oznajmił ojciec, wskazując na papier.

Siostry milczały nieporuszone.

– Albo wyjdiesz za Hadriana, albo on wszystko zabierze – oświadczył z satysfakcją.

– To niech zabierze – odparła śmiało Matylda.

– Nie! Nie! – zaprzeczyła z pasją Emma. – On tego nie zabierze. Przybłąda!

Na twarzy ojca ukazał się wyraz rozbawienia.

– Słyszysz, Hadrianie?

Hadrian poruszył się na krześle.

– Nie chciałem żenić się z kuzynką Matyldą dla jej pieniędzy – powiedział, rumieniąc się.

Matylda zwróciła na niego bystre spojrzenie ciemnoniebieskich z lekka nieprzytomnych oczu. Wydał jej się dziwnym potworkiem.

– Kłamiesz – fuknęła Emma.

Chory wybuchnął śmiechem. Matylda wpatrywała się w młodego człowieka dziwnym wzrokiem.

– Ona wie, że nie kłamię – odpowiedział Hadrian.

I jemu nie brakowało odwagi. Miał w sobie coś z zaradności, ostrożności i skrytości szczonej. Ale może posiadał wolę...

Emma spojrzała na siostrę.

– Niech tam! – powiedziała. – Nie martw się, Matyldo. Niech zabiera wszystko. Damy sobie radę.

– Wiem, że zabierze – odparła z roztargnieniem Matylda.

Hadrian nie odpowiedział. Postanowił sobie, że jeżeli Matylda go odrzuci, to zabierze wszystko i wyjedzie.

– Chytry kogucik! – mruknęła z szyderczym grymasem Emma.

Ojciec roześmiał się bezgłośnie pod wąsem. Ale ogarniało go znużenie.

– No, to idźcie sobie – zażądał. – Idźcie sobie! Zostawcie mnie w spokoju.

Emma odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

– Ma ojciec to, na co sobie zasłużył – wygarnęła.

– Idźcie sobie – powtórzył łagodnie. – Idźcie sobie.

Minęła noc, w czasie której przy chorym czuwała pielęgniarka. Nastął dzień. Hadrian

kręcił się po domu jak zwykle w wełnianym podkoszulku i szorstkich spodniach khaki, Matylda snuła się tu i tam, zimna, obojętna. Emma, pomimo że była blondynką, robiła wrażenie czarnej chmury. Wszyscy zachowywali się spokojnie ze względu na służącą, która była tym wszystkim ogromnie zaintrygowana. Nie chcieli, żeby się to rozeszło po mieście.

Rockley męczył się w atakach bólu i nie mógł oddychać. Najwidoczniej był bliski końca. Młodzi trwali w stoickim, nieustępliwym spokoju. Hadrian zastanawiał się głęboko. Jeżeli nie dostanie Matyldy, wyjedzie do Kanady z dwudziestu tysiącami funtów w kieszeni. Była to ostatecznie przyjemna perspektywa. Jeżeli natomiast ją dostanie, nie będzie miał nic, ona tylko będzie miała pieniądze.

Jedna Emma nie opuściła bezradnie rąk. Sprowadziła notariusza, żeby pomówił z młodym człowiekiem i spróbował go nastraszyć. Bez skutku. Hadrian nie poddał się. Wezwała pastora i krewnych. Hadrian przyglądał się gościom, ale nic sobie z nich nie robił, chociaż zaczęło go to wszystko gniewać.

Chciał spotkać Matyldę samą. Długo mu się to nie udawało, bo go unikała. Dopiero po kilkunastu dniach zdołał przyłapać ją w ogrodzie. Przyszła narwać agrestu. Odciął jej odwrót i z miejsca przystąpił do rzeczy.

– Więc nie chcesz mnie? – zapytał po swojemu chytrze i przymilnie.

– Nie chcę z tobą rozmawiać – powiedziała, odwracając się.

– A jednak położyłaś mi rękę na twarzy. Nie powinnaś była tego robić. Gdyby nie to, nigdy by mi nie przyszło do głowy chcieć się z tobą ożenić. Nie trzeba było mnie dotykać.

– Gdybyś był przyzwoitym człowiekiem, rozumiałbyś, że to była omyłka, i zapomniałbyś o tym – odparła.

– Wiem, że to była omyłka, ale nie mogę tego zapomnieć. Człowiek, którego się obudzi, nie może usnąć dlatego, że mu każą.

– Gdybyś był przyzwoitym człowiekiem, już byś wyjechał.

– Nie chcę wyjeżdżać – odpowiedział.

Spojrzała przed siebie i po chwili zauważyła:

– Przecież ty mnie prześladujesz tylko ze względu na pieniądze. Mogłabym być bez mała twoją matką. W pewnym sensie byłam ci matką.

– To nie ma znaczenia – odparł. – Nie byłaś dla mnie matką. Pobierzmy się i jedźmy do Kanady. Jakże! Przecież mnie dotknęłaś.

Zbladła. Dygotała ze zdenerwowania. Nagle wybuchnęła:

– To skandaliczne!

– Jak to? – zdziwił się. – Dotknęłaś mnie.

Odeszła pod wrażeniem, że ją schwytał w pułapkę. A jego ogarnął gniew i przygnębienie.

Poczuł się znów wzgardzonym przybłądą.

Tego samego wieczora weszła do pokoju ojca.

– A więc dobrze – oznajmiła nagle. – Wyjdę za niego.

Stary podniósł na nią oczy. Miał atak i czuł się bardzo źle.

– Polubiłaś go? – zapytał ze słabym uśmiechem.

Zajrzała mu w twarz i zobaczyła bliską śmierć. Odwróciła się i wyszła obojętnie z pokoju.

Posłano po notariusza i rozpoczęto pośpieszne przygotowania. Matylda nie odzywała się do Hadriana, nawet mu nie odpowiadała. Podszedł do niej na drugi dzień z raną.

– Więc namyśliłaś się – powiedział spoglądając na nią przymilnie błyszczącymi oczami, w których bez mała malowała się dobroć. Popatrzyła na niego z góry i odwróciła się. W jej spojrzeniu malowała się pogarda, ale już się tym nie przejął.

Triumfował.

Emma wściekała się i płakała. Wiadomość rozeszła się po mieście. Ale Matylda milczała niewzruszona. Hadrian, chociaż spokojny i zadowolony, też starał się przezwyciężyć

ogarniający go strach. Rockley był ciężko chory, ale postanowienia nie zmieniał.

Na trzeci dzień odbyły się zaślubiny. Świeżo upieczona para wróciła z urzędu stanu cywilnego prosto do domu i udała się do pokoju ojca. Twarz starego rozjaśniła się radosnym uśmiechem.

– Hadrianie, a więc masz ją? – zapytał trochę chrapliwie.

– Tak – odparł młody człowiek, blady z wrażenia.

– Ach, mój chłopcze, cieszę się, że jesteś mój – mówił umierający. Popatrzył na córkę. – Niech ci się przyjrzę. – I dodał dziwnym, nie swoim głosem: – Pocałuj mnie!

Schyliła się i pocałowała. Nie całowała ojca od małego dziecka. Była w tej chwili bardzo spokojna, bardzo cicha.

– Pocałuj go – poprosił umierający.

Matylda nachyliła posłusznie twarz i pocałowała młodocianego małżonka.

– To dobrze! To dobrze! – szepnął umierający.

## SAMSON I DALILA

Z omnibusu, kursującego między Penzance i St. Just-in-Penwith, wysiadł mężczyzna i podążył pieszo pod górę, w kierunku Polestar. Było dopiero wpół do siódmej, ale gwiazdy już wzeszły. Od morza wiał zimny wiaterek i w zapadającym zmierzchu pulsowało potrójnym sygnałem krystaliczne światło latarni morskiej pod urwiskiem.

Przybysz był sam. Chociaż znał drogę, rozglądał się ciekawie dookoła. W mroku majaczyły gdzieś wysokie zrujnowane siłownie kopalń cyny, niby szczątki jakiejś umarłej cywilizacji, i migotały smętne światełka licznych domków górniczych, rozrzuconych bezładnie na zboczu góry. Celtycka noc mrugała przychylnie na wędrowca.

Maszerował równym krokiem, czujny, rozglądając się z zainteresowaniem. Był wysoki, dobrze zbudowany, najwidoczniej w sile wieku. Miał barczyste, nieco sztywne ramiona i idąc, pochylał się lekko, jak człowiek, który jest zbyt wysoki. Nie garbił się, plecy miał proste.

Od czasu do czasu mijaly go niskie, krępe, grubonogie postaci górników kornwalijskich.

Pozdrawiał wszystkich, jakby chciał zaznaczyć, że jest na swoich śmieciach. Akcent miał zachodnio-kornwalijski. Krocząc ponurą drogą, spoglądał to na światełka domów na lądzie, to na dalekie światła na morzu. Okręty w zasięgu latarni morskiej w Longships zmieniały kierunek. Dzielił go teraz od Ameryki cały pogrążony w ciemnościach Ocean Atlantycki. Był z lekka podniecony, zadowolony z siebie, wzruszony. Czyi nie zwyciężył w walce z losem?

Domy zagęściły się. Wchodził do nędznej, rozrzuconej bezładnie osady górniczej, którą znał z dawien dawna. Po lewej stronie błyszcząco zapraszająco światła oberży stojącej trochę w głębi.

Był u celu.

Spojrzał uważnie na szyld „Wytchnienie Górników”. Nie mógł odcyfrować nazwiska właścicielki. Zaczął nasłuchiwać. Z wnętrza dochodził gwar ożywionej rozmowy i śmiechy. Wśród męskich głosów przebiegał piskliwy chichot kobiecy.

Schylił się i wszedł do przytulnie oświetlonego baru. Paliła się lampa. Od wyszorowanego do czysta drewnianego stołu zarzuconego białymi, czarnymi i czerwonymi kartami podniosła się hoża niewiasta. Grający górnicy unieśli głowy.

Gość podszedł do kontuaru, starając się ukryć twarz. Czapkę miał nasuniętą na oczy.

– Dobry wieczór – powiedziała po swojemu przymilnie gospodyni.

– Dobry wieczór. Proszę kufel piwa.

– Kufel piwa – powtórzyła słodko. – Noc zimna, ale pogodna.

– Tak – potwierdził lakonicznie gość i dorzucił niespodziewanie, bo zdawało się, że więcej się nie odezwie: – Taka jak zawsze o tej porze roku.

– Tak, taka jak zawsze – zawtórowała kobieta. – Dziękuję.

Nieznajomy podniósł kufel do ust, wychylił jednym haustem i postawił na blaszanym kontuarze, aż zabręczało.

– No, to jeszcze jeden – poprosił.

Nalała mu. Odszedł z kuflem do drugiego stołu stojącego bliżej ognia. Gospodyni zawahała się chwilę i znów usiadła przy stole, gdzie grano w karty. Gość wpadł jej w oko: był wielki, przystojny, dobrze ubrany. Nie znała go.

Ale mówił tym samym nosowym kornwalijskim akcentem, co tutejsi górnicy.

Nieznajomy oparł nogę o kratę i zapatrzył się w ogień. Był urodziwy, miał zdrową rumianą cerę, mocno zarysowane brwi i właściwe mieszkańcom tej części Anglii ciemne, błyszczące, pozbawione wyrazu oczy. Wydawał się zamyślony. Po chwili zaczął obserwować

karciarzy.

Gospodyni była dorodna i zdrowa, miała ciemne włosy i latające piwne oczka. Biła od niej żywiołowa energia. Grała w karty z takim rozmachem, że partnerów aż ponosiło. Krzyczeli i zaśmiewali się, a ona pischczała ze śmiechu.

– Psia noga, pęknię ze śmiechu! – dyszała. – Teraz na pana kolej, Trevorrow. A grajcie rzetelnie, grajcie rzetelnie, powiadam, bo cisnę karty.

– Rzetelnie? A któż tu gra nierzetelnie? – wykrzyknął zagadnięty. – Oskarża mnie pani, pani Nankervis, że oszukuję!?

– A może nie? Czy nie ma pan pikowej damy? No, wychodzić z nią. Mnie pan nie wyprowadzi w pole. Wiem tak dobrze, że ma pan tę damę, jak to, że mi na imię Alicja.

– Jeżeli pani na imię Alicja, to nie ma rady...

– A co? Nie mówiłam? Widział kto takiego ladaco? Słowo daję, pewno żona zawsze mu wierzy, i przywykł oszukiwać.

I zanosła się kaskadą śmiechu. Przerwało jej wejście czterech ludzi w mundurach khaki – krępego, niskiego sierżanta w średnim wieku, młodego kaprała i dwóch szeregowców. Kobieta rozparła się w krześle.

– Psia noga, chłopcy wracają! – zawołała. – Ledwo żyją, biedaki.

– E, żyjemy, żyjemy, mateczko! – zapewnił sierżant. – Jeszcze czas na nas nie przyszedł.

– Choć mało brakowało – wtrącił niezręcznie jeden z żołnierzy.

Gospodyni wstała.

– Kochane chłopaki! Pewnie byście zjedli kolacyjkę?

– Ano, przydałaby się.

– Naprzód coś łyknijmy – zaproponował sierżant.

Zakrzętała się koło trunków. Żołnierze przysunęli się do ognia i grzali ręce.

– Tu chcecie zjeść kolację? Czy w kuchni? – zapytała.

– Niech będzie tutaj – zdecydował sierżant. – Tutaj przytulniej, jeżeli tak pani dogodniej.

– Gdzie chcecie, chłopcy, gdzie chcecie.

Znikła. W chwilę później weszła młoda, może szesnastoletnia dziewczyna. Było to wysokie stworzenie o świeżutkiej cerze, czarnych, bezmyślnych oczach, z mocno zarysowanymi brwiami, bardzo jeszcze niedojrzałe i roztargnione. Posiadała cechy właściwe zmysłowej rasie Celtów.

– Halo, Marianna! Jak się masz, Marianna! Serwus, Marianna! – zabrzmiało chóralne powitanie.

Odpowiedziała każdemu cichutko z dziwną, łagodną, uroczą pewnością siebie. Poruszała się z wdziękiem, jakby nieobecna myślami. Wydawała się jakaś daleka, niedostępna, a może bardzo skromna. Obcy przybysz przy ogniu przyglądał jej się z uwagą. Na jego rumianej twarzy malowało się żywe zaciekawienie.

– Zjadłbym kolację, jeżeli można – powiedział.

Popatrzyła na niego oczami bez wyrazu, nie jak człowiek, lecz istota z innej planety.

– Zapytam matkę – odpowiedziała.

Głos miała łagodny i melodyjny.

Wróciła po chwili.

– Dobrze – zgodziła się niemal szeptem. – Co pan każe podać?

– Co macie? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Jest zimne mięso...

– To doskonałe.

Nieznajomy siadł przy końcu stołu. Jadł razem ze zmęczonymi żołnierzami. Gospodyni zainteresowała się nim nie na żarty. Brwi jej ściągnęły się, na dużej zdrowej twarzy odmalował się przestach, ale piwne oczka spoglądały na gościa wręcz groźnie. Chociaż taka okazała, oczy miała małe, przenikliwe. Przynęła się do nieznajomego. Ubrana była w

jaskrawą flanelową bluzkę i w ciemną spódnicę.

– Co pan chce wypić do kolacji? – zapytała zmienionym głosem, w którym przebijała groźna nuta.

Poruszył się niespokojnie.

– Ach, wystarczy mi piwo.

Nalała mu trzeci kufel i usiadła na ławie obok niego i żołnierzy. Świdrowała go wzrokiem.

– Przyszedł pan z St. Just? – zagadnęła.

Popatrzył na nią swymi przejrzystymi, nieodgadzionymi, kornwalijskimi oczyma i po chwili odpowiedział:

– Nie, z Penzance.

– Z Penzance! Ale nie zamierza pan wracać tam na noc?

– Nie! Nie!

Wpatrywał się w nią w dalszym ciągu szeroko rozwartymi oczami, podobnymi do bardzo błyszczącego agatu. Ją zaczynało to już denerwować. Widać to było po zmarszczonym czole, ale głos brzmiał nadal uprzejmie, prosząco.

– Tak też przypuszczałam, ale nie mieszka pan w tych stronach?

– Nie, nie mieszkam.

Odpowiadał powoli, jakby z zastanowieniem, żeby czegoś nie wypaplać niepotrzebnie.

– Aha! – domyśliła się. – Pewno ma pan tu krewnych?

Znów zajrzał jej głęboko w oczy, jakby chcąc skłonić do milczenia.

– Właśnie – odparł.

Potem już się nie odzywał, kobieta zerwała się z ławy. Gniew w niej wzbierał. Umilkły śmiechy, zaniechano kart, jakkolwiek traktowała gości jak zawsze po macierzyńsku, uprzejmie, dobroduszenie. Ale znali ją i czuli przed nią mores.

Zjedzono kolację, sprzątnięto ze stołu. Nieznajomy nie odchodził. Dwaj młodzi żołnierze poszli się położyć.

– Dobranoc, mateczko! Dobranoc, Marianno – życzyli wesoło.

Obcy gawędził z sierżantem o wojnie, która dopiero się zaczęła, o nowej armii, której część kwaterowała w okolicy, i o Ameryce.

Gospodyni rzucała mu groźne spojrzenia i w piersi jej wzbierał gniew, bo gość nie odchodził. Dygotała z tłumionej, gwałtownej pasji, przerażającej, anormalnej. Nie mogła usiedzieć na miejscu. W miarę jak upływały minuty, a on siedział i siedział, jej ciałem zaczynały wstrząsać jakieś drgawki. Serce ścisnęło się boleśnie. Obserwowała wskazówki zegara. Trzej żołnierze poszli spać, pozostał tylko ostrzyżony na zero, podobny do foksteriera stary sierżant.

Gospodyni siedziała za kontuarem, bawiąc się nerwowo gazetą. Znów spojrzała na zegar. Wskazywał za pięć dziesiątą.

– Panowie, już zamykam! – rzekła ściszone wściekłym głosem. – Czas na was, kochani. Czas! Dobranoc.

Mężczyźni zaczęli wychodzić, rzucając krótkie dobranoc.

Upłynęły cztery minuty. Gospodyni wstała.

– Proszę – rzekła. – Zamykam.

Ostatni górnik wyszedł. Ona stała, duża, groźna, z ręką na klamce. Natręt siedział przy ogniu w rozpiętym czarnym płaszczu, z papierosem w ustach, i ani myślał się ruszyć.

– Zamykamy! – zabrzmiał niebezpieczny, zduszony głos gospodyni.

Mały pieskowaty sierżant dotknął ramienia gościa.

– Zamyka się.

Nieznajomy wykręcił się na krześle i jego żywe czarne, podobne do klejnotów oczy przeniosły się z sierżanta na gospodynię.

– Zostaję tu na noc – oświadczył lakonicznie swoim kornwalijsko-jankesowskim



akcentem.

Kobieta wyprostowała się. W oczach jej pojawił się dziwny, przerażający błysk.

– O, naprawdę? – krzyknęła. – Naprawdę? A z czyjego to rozkazu, jeśli można wiedzieć? Spojrzał na nią.

– Z mojego.

Zamknęła bezwiednie drzwi i ruszyła na niego jak wielkie groźne ptaszysko. Wrzasnęła podniesionym, z lekka schrypniętym głosem:

– Proszę, jakież to rozkazy? Coś ty za jeden, żebyś tu wydawał rozkazy?

Siedział bez ruchu, nie spuszczać z niej oczu.

– Wiesz, co ja za jeden – odparł. – A przynajmniej ja wiem, coś ty za jedna.

– Wiesz, ty wiesz? No, więc kto ja jestem, proszę uprzejmie mi powiedzieć.

Wpatrywał się w nią błyszczącymi oczyma.

– Jesteś moją żoną – odpowiedział. – I wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja.

Podskoczyła, jakby w niej coś wybuchło. W oczach jej zamigotało szaleństwo.

– Ja mam wiedzieć I – krzyknęła. – Ja o niczym nie wiem. O niczym nie wiem. Wchodzi pierwszy lepszy do baru i powiada mi ni z tego, ni z owego, że jest moim mężem, i ja mam mu wierzyć? Wybij to sobie z głowy. Nie wiem, coś za jeden. Nie jestem twoją żoną i jeżeli w tej chwili nie wyniesiesz mi się stąd, to znajdę takich, co cię wyproszą.

Gość wstał z głową pochyloną w jej stronę. Był pięknie zbudowanym Kornwalijszym w sile wieku.

– Co powiadasz? Że mnie nie znasz? – pytał natarczywie śpiewnym, beznamiętnym, trochę zdławionym głosem, podobnym do głosu dziewczyny. – Ja bym ciebie poznał wszędzie. O, poznałbym! Raz bym spojrzał i poznałbym. Rozumiesz?

– Możesz sobie gadać – głos jej się rwał. – Możesz sobie gadać. Łatwo mleć językiem. Znam mnie tu ludzie i szanują na dziesięć mil wokoło. Ale ja c i e b i e nie znam.

W głosie jej zabrzmiała nuta sarkazmu.

– Nie znam. Jesteś dla mnie zupełnie obcym człowiekiem. Nie zdaje mi się, żebym cię kiedyś widziała – terkotała zjadliwie z właściwą sobie wprawą.

– O, widziałaś, widziałaś – odpowiedział rzeczowo gość. – Nosisz moje nazwisko i Marianna jest moją córką. Jesteś moją żoną, kobieto, jakem Willie Nankervis.

Mówił o tym jako o fakcie nie ulegającym wątpliwości. Na jego urodziwej twarzy malowała się dziwna czujność i stanowczość. I właśnie ta jego pewność siebie doprowadzała ją do szału.

– Ty łotrze! – wrzasnęła. – Odważyłeś się wejść do mojego domu i napastować mnie! Ty łotrze, ty łajdaku!

Spojrzał na nią.

– Tak – rzekł nieporuszony. – To wszystko prawda.

Było mu nieswojo, ale nie poddawał się. Stawiał jej czoło. Wydawał się nieprzenikniony, podobnie jak nieprzeniknione były jego agatowe oczy.

– Wyjdiesz stąd, czy nie? – Tupnęła z pasją nogą. – W tej chwili! – dokończyła z furją.

Nie spuszczał z niej oczu. Wiedział, że chce go uderzyć.

– Nie – wycedził z hamowaną zaciekłością. – Powiedziałem ci, że zostanę.

Bał się jej, lecz ani myślał ustąpić. Zdetonowała się i jej oczy zwęziły się jak u rozwścieczonego tygrysa.

Zastanowiła się chwilę. Obmyślała, co ma zrobić.

– Zobaczmy, czy zostaniesz – wypaliła i z błyszczącymi groźnie oczami wypadła z izby. Słyszał, jak biegła po schodach, jak zapukała do jakichś drzwi, dobiegł go jej głos:

– Chłopcy, zróbcie mi przysługę i zejdźcie na chwilę. Jestem w kłopotcie.

Nieznajomy zdjął czarny płaszcz i czapkę i rzucił na ławę poza siebie. Miał czarne, krótko ostrzyżone włosy, przyprószone na skroniach siwizną i był ubrany w dobrze skrojony i

nienagannie leżący ciemnopopielaty garnitur. Wyglądał zamożnie i solidnie. Sztywność w ramionach spowodowana była tym, że złamał dwa razy w kopalni obojczyk.

Pieskowaty sierżant w brudnym mundurze khaki obserwował go spod oka.

– Żona? – zapytał, wskazując głową na drzwi, którymi wyszła gospodyni.

– A jakże! – warknął gość. – Żona, nie co innego.

– Nie widzieliście się kawał czasu?

– W marcu będzie szesnaście lat.

– Hm!

Sierżant zaciągnął się papierosem.

Gospodyni wracała w asyście trzech żołnierzy. Weszli zakłopotani, w spodniach, koszulach i skarpetkach. Stała w komedianckiej pozie koło kontuaru i zawołała:

– Ten człowiek nie chce wyjść! Mówi, że będzie nocował. Wiecie dobrze, że nie mam miejsca, i podróżnych na nocleg nie przyjmuję. Ale nie. Uparł się, że zostanie. A ja nie ustąpię do ostatniej kropli krwi. To wam powiadam. Jeżeli z was prawdziwi mężczyźni, to poratujecie bezbronną kobietę.

Oczy jej błyszcząły, twarz płonęła. Stała wyprostowana, istna Amazonka.

Młodzi chłopcy nie wiedzieli, jak się zachować. Spojrzeli na gościa i któryś przepiął sobie szelki na drugi guzik.

– Cóż, panie sierżancie? – zapytał jeden. Jego twarz wyraźnie zdradzała, że ma chętkę na awanturę.

– Ten gość powiada, że jest mężem gospodyni – wyjaśnił sierżant.

– Nieprawda. Pierwszy raz go widzę. Łajdak chce spłatać jakiegoś paskudnego figła. Licho wie, co ma w głowie.

– To ty kłamiesz, mówiąc, żeś mnie nigdy nie widziała! – warknął gość. – Jesteś moją żoną i Marianna jest naszą córką. Wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja.

Zawadiacki żołnierz nie posiadał się z uciechy. Sierżant najspokojniej w świecie puszczał kłęby dymu.

– Taaak! – zawołała przeciągle, kiwając sarkastycznie głową – gadaj sobie zdrów! Nikt ci i tak nie uwierzy! Jak tego dowiedziesz?

Uśmiechnęła się zjadliwie.

Podróżny milczał chwilę, wreszcie rzekł:

– Nie potrzeba dowodów.

– Potrzeba, kochanku, potrzeba, i to bardzo potrzeba! – przeciągnęła drwiąco kobieta. – Nie takie my dudki, żeby ci uwierzyć na słowo.

Ale on stał nieporuszony koło ognia. Gospodyni czekała przy kontuarze z ręką wspartą na blaszanym blacie, sierżant siedział w środku między obojgiem, z nogą założoną na nogę, kurząc papierosa, trzej żołnierze w koszulach i szelkach stali niezdecydowani za kontuarem.

Zapanowało milczenie.

– Nie wiecie, mateczko, gdzie się teraz obraca wasz mąż? Czy żyje? – zapytał rzeczowo sierżant.

Nagle kobieta wybuchnęła płaczem. Po jej czerwonej twarzy potoczyły się wielkie palące łzy. Młodzi ludzie osłupieli.

– Nie wiem, co się z nim dzieje – załkała, szukając chustki do nosa. – Porzucił mnie, kiedy Marianna była niemowlęciem i pojechał do Ameryki, do tamtejszych kopalń. Przez pierwsze sześć miesięcy jeszcze do mnie pisywał, ale potem przestał i nie przysłał mi odtąd ani grosza. Nie wiem, czy żyje, czy zdechł, łajdak. Dochodziły mnie o nim jak najgorsze słuchy, ale i to się dawno urwało.

Szlochała rozpaczliwie.

Stojący koło ognia przystojny opalony mężczyzna nie spuszczał z niej oczu. Był przestraszony, oszołomiony, zgnębiony, ale mimo wszystko nie myślał ustąpić.

W izbie panowała cisza, przerywana tylko gwałtownym łkaniem gospodyni. Wojskowi czuli się okropnie skrępowani.

– Radziłbym wam dzisiaj odejść – rzekł uprzejmie rozsądny sierżant do męża. – Później znajdziecie jakieś rozwiązanie. Jeżeli tak jest, jak ona mówi, to według mnie nie macie do niej wielkiego prawa. I w ogóle zwaliliście się jej na kark tak nagle...

Gospodyni szlochała rozdzierająco. Gość patrzył na jej ogromne piersi, wstrząsane płaczem. Był jak urzeczony.

– Mniejsza z tym, jak się z nią obszedłem – odparł. – Dość że wróciłem i nie dam się wyprosić z mojego domu. Zostanę tu w każdym razie jakiś czas. Słyszycie?

– Paskudne postępowanie – orzekł sierżant, czerwieniąc się gwałtownie. – Paskudna sprawa, żeby porzucić kobietę, nie dawać znaku życia przez tyle lat i potem jeszcze zwalić jej się na kark. Nie honorowo – prawo nie pozwala na takie rzeczy.

Kobieta otarła oczy.

– Co tam prawo czy bezprawie! – krzyknął nieznajomy. – Nie wyniosę się stąd dziś, i kwita!

Gospodyni obróciła się do stojących w głębi izby żołnierzy ni to przymilnie, ni to drwiąco.

– Chłopcy, i my mu na to pozwolimy? Panie sierżancie, pozwolimy uragać sobie temu łajdakowi i awanturnikowi, co to nie wiadomo co robił w tych kopalniach amerykańskich. Szkoda gadać, co on tam wyprawiał! A teraz wrócił i chce unieszczęśliwić biedną kobietę i dorwać się do jej oszczędności! A zostawił mnie z dzieckiem na rękach na biedę i poniewierkę. Wstyd, jeżeli nikt się za mną nie ujmie, wstyd i hańba!

Mały sierżant i żołnierze najeżyli się jak psy. Gospodyni schyliła się i zaczęła szperać pod kontuarem. Po chwili wydobyła stamtąd długi pleciony sznur, używany do pakowania, i rzuciła go pod nogi żołnierzom, czekającym w mroku, w głębi izby, w taki sposób, że uszło to uwagi stojącego koło ognia mężczyzny.

Wyprostowała się i rozejrzała dookoła.

– No, słuchaj – odezwała się do męża tonem perswazji, chłodno, lecz zarazem przymilnie. – Włóż płaszcz i zostaw nas w spokoju. Bądź człowiekiem. Nie rób z siebie bydlaka. Możesz łatwo znaleźć nocleg w St. Just, a jeżeli nie masz pieniędzy, sierżant pożyczyci ci parę szylingów. Jestem pewna, że pożyczyci.

Oczy obecnych zwróciły się na gościa, który patrzył na kobietę wzrokiem urzeczonego czy opętanego przez diabła.

– Mam forszę – odpowiedział. – Nie bój się o swoje pieniądze, mam teraz swoje. Mam dużo pieniędzy.

– Więc włóż płaszcz – przymilała się szyderczo – idź tam, gdzie cię chcą – bądźże człowiekiem.

Przysunęła się blisko, błagająca, nieustępliwa. Przyglądał się jej oczarowany.

– Nie – odpowiedział. – Nie zrobię tego. T y mnie przyjmiesz na noc.

– Ja? – wrzasnęła. I nagle rzuciła się na niego, objęła w pół i uwiesiła się na nim całym swym potężnym ciężarem, wołając do żołnierzy:

– Dawajcie tu sznur, chłopcy, i zwiążcie go. Alfred, John prędko...

Napadnięty poderwał się, spojrzał wokoło oszalałym wzrokiem i szarpnął się do tyłu. Ale i kobieta była mocna, ciężka i zdecydowana na wszystko. Zobaczył jej twarz przy swojej piersi, okropną, mściwą, triumfującą twarz, i odwrócił raptownie głowę. Tymczasem żołnierze widząc, że ten straszny Laokoon chwieje się w posadach, ruszyli się wreszcie i ten o złośliwym wyglądzie przyskoczył ze splątanym sznurem.

– Podaj mi tu koniec! – krzyknął sierżant.

Jeniec wyprężył się i szamotał, objając przytrzymującą go kobietę o stół i o ławkę, w konwulsyjnym wysiłku wyrwania się z jej objęć. Ale ona uczepiła się go niczym mątwy. I tak zataczali się oboje po izbie wśród trzasku i hałasu. Żołnierze dopomagali, jak mogli. Sprzęty

przewracały się.

W końcu najzwinniejszy przy pomocy sierżanta zarzucił sznur na gościa, kobieta osunęła się ciężko na ziemię, a oni okręcili jeńca sznurem kilkakrotnie wokół tułowia. W trakcie szamotania przybysz zatoczył się na stół. Sznur zaciągał się coraz mocniej, wrzynał mu się w ciało. Tymczasem kobieta czepiała się kolan męża. Drugi żołnierz wpadł na genialną myśl i skrepował mu nogi szelkami. Poprzewracane krzesła, stół zepchnięty pod ścianę świadczyły o zacieklej walce. Jeniec leżał pokonany, z rękami przywartymi do ciała, chwilowo unieruchomiony.

Gospodyni wstała i przysiadła zmęczona na ławce pod ścianą. Pierś jej falowała, nie mogła mówić, myślała, że umiera. Jeniec leżał wsparty o przewrócony stolik w podwiniętej do pasa skręconej marynarce. Żołnierze stali kołem trochę oszołomieni, ale radzi z awantury.

Gość zaczął się znów rzucać. Oddychał ciężko, głęboko, bo go sznur dusił. Jego złociście opalona twarz opłynęła purpurą, żyły na szyi nabrzmiały jak postronki. Ale próżny był to wysiłek. Opadł bezsilnie, a po chwili nagle wierzgnął.

– Drugie szelki, Williamie! – krzyknął podniecony żołnierz. Rzucił się na nogi jeńca i skrepował mu kolana. Zapadła cisza. Słychać było tylko cykanie zegara.

Kobieta spojrzała na powalonego człowieka, na jego foremne ciało, unieruchomione plecy, na twarz, rozwarte szeroko oczy i przypomniało jej się cielę, wiezione na wozie w worku, z którego wyglądał tylko podany do tyłu łebek.

Triumfowała.

Związany znów zaczął się szamotać. Patrzyła jak urzeczona na grę mięśni, na ramiona, biodra, wielkie kształtne uda. Złękła się, że sznur może pęknąć. Ale żołnierz usiadł na ramionach ofiary, i po chwili leżący znieruchomiał.

– Słuchaj pan – powiedział do jeńca ugodowo nastrojony sierżant – jeżeli pan przyrzeknie, że się stąd wyniesie i przestanie rozrabiać, rozwiążemy pana.

– Nie rozwiążecie go tutaj! – wrzasnęła kobieta. – Nie dałabym mu potem rady.

Zapadło milczenie.

– Moglibyśmy wynieść go na dwór i tam rozwiązać – zaproponował żołnierz. – W razie gdyby się jeszcze awanturował, można by sprowadzić policjanta.

– Tak – zgodził się sierżant. – To się da zrobić. – I zwrócił się znów do więźnia zmienionym, prawie surowym głosem: – Czy odejdzie pan stąd bez żadnych awantur, jeżeli pana rozwiążemy na dworze i puścimy wolno?

Ale gość nie odpowiadał. Leżał niby związane zwierzę, błyskając szeroko rozwartymi oczyma.

Zapanowało przykre milczenie.

– No, to zróbcie tak, jak mówicie! – zawołała z irytacją gospodyni. – Wynieście go na dwór i dom się zamknie.

Tak też uczynili. Żołnierze we czterech dźwignęli związanego człowieka i wytaszczyli niezdarnie na cichy placyk przed oberżą. Gospodyni szła za nimi z płaszczem i czapką w rękę. Chłopcy zdjęli szybko szelki z nóg jeńca i uciekli do domu. Byli tylko w skarpetkach, a od gwiaździstego nieba wiało zimnem. Zatrzymali się we drzwiach i popatrzyli. Gość leżał nieruchomo na zmarzniętej ziemi.

– Teraz – rzekł słumionym głosem sierżant – rozluźnię węzeł, to już sam zdoła się wyplątać. Tylko niech pani idzie do izby, gospodyni.

Rzuciła ostatnie spojrzenie zmaltretowanemu człowiekowi, który już tymczasem usiadł, i weszła do gospody, a za nią szybko sierżant. Zamknęli drzwi na klucz i zasunęli rygle.

Człowiek, pozostawiony na dworze, szamotał się. Nie przychodziło mu to jednak łatwo. Dźwignął się z trudem, mając związane ręce, i zaczął trzeć sznur o szorstki węgiel domu. Sznur był lichej, pleciony z trawy; przetarł się w oka mgnieniu. Nieszczęśnik miał na ciele liczne obrażenia. Bolały go posiniaczone ręce. Roztarł je powoli, poprawił ubranie, schylił

się, wziął czapkę, naciągnął płaszcz i poszedł.

Gwiazdy błyszcząły jak brylanty. Krystaliczna smuga światła latarni morskiej pod skałami pulsowała rytmicznie na tle nocy. Podróżny szedł na pół przytomny. Mijając cmentarz, oparł się o mur i znieruchomiał.

Stał tak długą chwilę, dopóki nie zmarzł w nogi. Wtedy opamiętał się i wśród ciszy nocy podążył z powrotem do oberży.

Bar tonął w ciemnościach, ale w kuchni się świeciło. Zawahał się, po czym ostrożnie położył rękę na kłamce. Zdziwił się, że ustąpiła. Wszedł i zamknął za sobą drzwi bezgłośnie. Przesunął się koło kontuaru i przystanął w oświetlonych drzwiach kuchni. Przed kominkiem z płonącym janowcem siedziała jego żona, z opartymi o kratę, szeroko rozstawionymi nogami. Obejrzała się przez ramię, ale się nie odezwała. Zapatrzyła się znów w ogień.

Kuchnia była mała i wąska. Cisnął czapkę na stół nakryty żółtawym amerykańskim obrusem i usadowił się koło pieca, plecami do ściany. Kobieta siedziała i patrzyła nieruchomo w ogień. W świetle płomieni skóra jej jaśniała gładką różowością. W całym domu panował porządek i czystość. Gość siedział również w milczeniu, ze spuszczoną głową. Czas upływał.

Nie wiadomo było, które odezwie się pierwsze. Kobieta pochyliła się i przegarnęła palenisko. Mężczyzna podniósł na nią oczy.

– Tamci poszli spać? – zapytał.

Odpowiedziało milczenie.

– Diabelnie zimno na dworze – odezwał się jakby do siebie. I położył wielką, lecz kształtną, spracowaną rękę na piecu z czarnych gładkich jak aksamit kafli. Chociaż nie chciała na niego patrzeć, zerknęła spod oka. Wpatrywał się w nią hipnotycznie rozszerzonymi źrenicami, naelektryzowanymi jak u kota.

– Poznałbym cię wśród tysięcy – powiedział. – Chociaż jesteś okazalsza, niż przypuszczałem. Nabrałaś pięknego ciała.

Przez chwilę milczała, a potem obróciła się w krzesle twarzą do niego.

– Cóż ty sobie myślisz? – zapytała. – Żeby po tych piętnastu latach spaść na mnie jak piorun z jasnego nieba? Myślisz może, że nie słyszałam, co wyrabiałeś w Butte City i gdzie indziej?

Przyglądał jej się lśniącymi, spokojnymi oczami.

– Ano, tak! Chłopcy kręcą się tu i tam – i ja o tobie słyszałem od czasu do czasu.

Wyprostowała się.

– A jakież to łgarstwa słyszałeś o m n i e? – zapytała z godnością.

– Chyba żadnych, tyle tylko, że dobrze ci się powodzi.

Mówił ostrożnie, od niechcienia. A w niej wezbrał znów gniew, opanowała się jednak ze względu na niebezpieczeństwo, które mogło grozić z jego strony, a może nawet z zachwyty nad jego urodą, kształtną głową i pięknie zarysowanymi brwiami. Ale przede wszystkim ogarnęła ją obawa, żeby go nie stracić.

– Ja nie mogę powiedzieć tego samego o t o b i e – odparła. – Słyszałam o tobie więcej złego niż dobrego.

– Pewno, pewno... – przytaknął, patrząc w ogień. Przeszło mu przez myśl, że już dawno nie widział palącego się janowca. Zapadło milczenie. Obserwowała jego twarz.

– Czy ty uważasz się za człowieka? – zapytała nie tyle z gniewem, ile z pogardliwym wyrzutem. – Żeby porzucić kobietę tak, jak tyś mnie porzucił na niepewny łosi I potem zjawić się ni z tego, ni z owego, bez słowa usprawiedliwienia!

Poruszył się na krzesle, rozstawił nogi i oparłszy ręce na kolanach, zapatrzył się w ogień jeszcze uporczywiej niż przedtem. Nie odpowiedział. Jego czarna, krótko ostrzyżona głowa była tak blisko niej, że o mało nie cofnęła się do tyłu, jakby z obawy, że może jej coś zrobić.

– Czy uważasz takie postępowanie za honorowe? – powtórzyła.

– Nie – odparł, wyciągając rękę i strącając w ogień kawałki drzewa. – Nie nazywam tego

ani tak, ani owak. Nie ma co nazywać rzeczy po imieniu!

Obserwowała jego ruchy. Żadne nie zdawało sobie sprawy, że odzywają się coraz rzadziej.

– Ciekawa jestem, co ty sobie myślisz? – wykrzyknęła z rozdrażnieniem. – Ciekawa jestem, za kogo ty się masz!

Była nie tylko zagniewana, była naprawdę zbита z tropu.

– Ech! – mruknął, podnosząc głowę, aby na nią spojrzeć. – Niech tylko inni odpowiadają za swoje winy, to i ja jestem gotów odpowiadać za swoje.

Widok jego twarzy przyprawił ją o gorące bicie serca. Oddychała Ciężko, odwracając głowę. Traciła wprost panowanie nad sobą.

– A mnie za co masz? – rzuciła zrozpaczona.

Pożerał wzrokiem miękkie kontury jej widzianej bokiem twarzy i obfite piersi.

– Uważam cię – rzekł z lakoniczną prawdomównością, która tak na nią działała – za diabelnie piękną kobietę. Niech mnie licho weźmie, jeżeli widziałem kiedy drugą tak zbudowaną jak ty i przy tym taką dorodną. Nie spodziewałem się, że nabierzesz takiego pięknego ciała. Słowo daję.

Patrzył na nią nieruchomo, błyszczącymi agatowymi oczyma, a jej serce waliło jak młotem.

– Byłam dla ciebie bardzo dorodna przez tych piętnaście lat, oj, ludzie, ludzie!

Milczał, hipnotyzując ją wzrokiem.

Wreszcie wstał. Drgnęła mimo woli. A on powiedział tylko po swojemu, spokojnie, lakonicznie:

– Ciepło tutaj.

Zdjąwszy płaszcz, rzucił go na stół, a ją obleciał lekki strach.

– Do licha, bolą mnie ręce od tych sznurów – wycedził, macając przez rękawy obolałe miejsca.

Siedziała przed nim na krześle, trochę zatruwiona.

– Jesteś w gorącej wodzie kąpana, żeby tak się na mnie porwać! – Uśmiechnął się nieznacznie. – Do licha, coś mi dogodziła, toś mi dogodziła!

Nachylił się w jej stronę.

– Ale nie mam ci tego za złe, o, nie! Lubię, jak kobieta ma w sobie diabła. Lubię, psiakrew!

Nie odrywała oczu od ognia.

– Gryźliśmy się od początku i słowo daję, ledwieś mnie zobaczyła, zaczęłaś znów swoje. Byłaś dla mnie za ostra. Z ognistą kobietą zawsze jest dużo kłopotu. Niech mnie diabli wezmą, jeżelibym znalazł w tych całych cholernych Stanach Zjednoczonych drugą taką, co by mnie wzięła za łeb jak ty. Jesteś nadzwyczajna, słowo daję. Fajna, z ciebie kobieta.

Patrzyła groźnie w ogień.

– Żaden mężczyzna nie mógłby pragnąć morowszej kobiety od ciebie, słowo daję – orzekł, wyciągając rękę i dotykając spokojnie, jakby tylko na próbę, jej ciała między pełnymi ciepłymi piersiami.

Wzdrygnęła się i zaczęła drzeć, ale wciąż patrzyła w ogień. A tymczasem jego ręka wsunęła się między piersi.

– I nie myśl, że wróciłem jak żebrak – ciągnął dalej. – Mam na rachunku więcej niż jeden tysiąc funtów. I ta bijatyka na powitanie nawet mi się podobała, a jakże! Ale to wcale nie znaczy, że nie jesteś moją żoną. Tego się nie zaprzesz...

## SZLAKIEM PIERWIOSNKÓW

Z dworca Wiktoria wyszedł młody człowiek i popatrzył niezdecydowanie na ciemnoczerwone i czarne taksówki, stłoczone koło chodnika pod szklanym duchem. Kilku kierowców w płaszczach z mosiężnymi guzikami wyprostowało się ostentacyjnie, chcąc zwrócić na siebie uwagę, lecz jednocześnie nie spuszczać oczu z fali ludzkiej, wypływającej z budynku stacyjnego. Berry zainteresował się jednym z nich. Był to ogromny, tęgi drab o bystrych niebieskich oczach i najeżonych zaczepnie rudych wąsiskach.

– Do usług, proszę szanownego pana. Wolny – rzekł trochę drwiąco, trochę impertynencko.

Berry jeszcze się wahał.

– Czy Daniel Sutton? – zapytał.

– Tak jest – odpowiedział wyzywająco taksówkarz, jakby miał nieczyste sumienie.

– W takim razie jest pan moim wujem – rzekł Berry.

Byli do siebie podobni z koloru włosów, cery i trochę z rysów, tylko że taksówkarz był potężny i tęgi i patrzył na świat zaczepnie, usiłując pokryć w ten sposób swoje własne uczucia. Siostrzeniec, chociaż tego samego wzrostu, był chudy, spokojny, opanowany i dobrze ubrany. A jednak podobieństwo rodzinne rzucało się w oczy.

– A ty coś, u diabła, za jeden? – zapytał taksówkarz.

– Jestem Daniel Berry – odpowiedział siostrzeniec.

– Cholera! Nie widziałem cię od czasu, jak byłeś tyci. – Podali sobie ręce z zakłopotaniem.

– Jak się masz, chłopcze?

– Doskonale. Myślałem, że wuj w Australii.

– Byłem tam trzy miesiące, kupiłem dwa takie gruchoty – kopnął oponę taksówki udając rozgoryczonego.

Zapadło milczenie.

– Ale wróć. Nie mogę wytrzymać w tym parszywym, zgniłym kraju. Pojedziesz ze mną do Sydney, chłopcze? Miasto w sam raz dla ciebie, piękne miasto, trudno o lepsze miejsce na świecie. I pieniędzy w bród. Jak się miewa matka?

– Umarła na Boże Narodzenie – odpowiedział młody człowiek.

– Co? Umarła? Nasza Anna umarła... – Wytrzeszczył oczy z przerażenia i cofnął się o krok. – Mój Boże! Chłopcze! – westchnął. – To już troje nie żyje.

Wuj i siostrzeniec obrócili głowy. Popatrzyli na ludzi sunących szarym chodnikiem pod murami kościoła Św. Trójcy.

– Prawdziwe nieszczęście! – przemówił wreszcie z trudem taksówkarz. – Najlepsza była z całej naszej gromadki. Nie komunikują się teraz z żadnym z nich, nie warto. Psiakrew, choćby taka Adela i Maud, co to latają na kazania... – Spojrzał na siostrzeńca, a w oczach jego malowała się pogarda. – Ale nasza Anna była najlepsza z nich wszystkich. Nie ma co mówić.

Rozgadał się, bo i jego ogarnął strach.

– Po ciężkim życiu przyszła śmierć. Ileż ona miała lat?

– Pięćdziesiąt pięć.

– Pięćdziesiąt pięć... – zawahał się i znizywszy głos do szeptu spytał trwożliwie: – Na co umarła?

– Na raka.

– Na raka, tak samo jak Julia! Nie wiedziałem, że w naszej rodzinie jest rak. Ach, mój

Boże, nasza biedna Anna i to po takim ciężkim życiu. Chłopcze, czy mógłbyś w tym dostrzec Boga! Bo ja, psiakrew, nie widzę.

Wpatrywał się w siostrzeńca srogimi oczami.

Berry wzruszył lekko ramionami.

– Bóg?! – ciągnął szczególnym, przejmującym tonem taksówkarz. – Wystarczy spojrzeć na ludzi na ulicy, żeby się przekonać, że nic ich nie trzyma prócz prawa ciężenia. Przyjrzyj się im! Przyjrzyj się temu okazowi. – Wskazał na przemykającego obok faceta z twarzą kundla. – Czy taki nie zamordowałby cię dla twojej dewizki? Tylko że boi się innych ludzi. To widać po nim... Przyjrzyj się tym ludziom.

Berry obserwował przepływający tłum i wrażliwy podobnie jak wuj podzielał jego antypatię. Zdawało mu się, że patrzy na jakiś *danse macabre* kryminalistów.

– Czyś ty kiedy widział taką nędzną tuszczę? Dreszcz człowieka przechodzi, gdy patrzy na te mordy. Siedzę sobie w taksówce i patrzę. Czasami kusi mnie wjechać nagle w tłum, zrobić z nich jatkę i samemu kark skręcić...

Berry zdziwił się tym wybuchem. Wiedział, że wuj, najmłodszy z rodzeństwa matki, prawdziwy beniaminek, był czarną owcą rodziny, że miał jak najgorszą opinię i że zadawał się z wszelkiego rodzaju szumowinami, co to biorą udział w zakładach, piją, urządzają pokazy psów i ptaków i chodzą na wyścigi. Nie wiedział wszakże, że wyrzutek miał tak dalece krytyczny stosunek do życia. Ale młody człowiek umiał się wczuwać w psychikę innych.

Używa takich samych słów jak ja, mówi prawie takim samym językiem jak ja, tylko że ja nie mówiłbym takich rzeczy. Ale mógłbym czuć to samo, gdyby moje życie potoczyło się inaczej.

– Muszę jechać do Watmore – oznajmił. – Czy mógłby mnie tam wuj zawieźć?

– Kiedy chcesz jechać – fuknął taksówkarz.

– Zaraz.

– No, to siadaj. Co się tak gapisz na jezdnię?

Siostrzeniec usiadł obok wuja. Taksówka zadygotała i ruszyła z warkotem. Kierowca prowadził wóz automatycznie, cały czas wyszukując wolnego przejazdu na zatłoczonej jezdni. Berry czuł się dziwnie. Wydawało mu się, że siedzi obok samego siebie, postarzałego o ileś tam lat. Zaczął rozmyślać o matce. Była o dwadzieścia lat starsza od swego brata, którego bardzo kochała.

„Jaki to był serdeczny chłopczyzna! – wspominała nieraz. – Główkę miał całą w kędziorach. Nigdy bym nie uwierzyła, że wyrośnie z niego taki gałgan. Trudno go teraz inaczej nazwać. Ojciec zrobił z niego bożyszcze... Dobrze, że już nie żyje. Chłopak dostał się w najgorszą hołotę, co to im były tylko w głowie hulanki i zakłady. Za bardzo go w życiu pieścili, za bardzo dogadzali, toteż nie dbał o nikogo, tylko o siebie, i takie są skutki”.

Jednakże „Figiel” Sutton nie był taką znowu najczarniejszą owcą. Do lat osiemnastu pędził leniwe życie, po czym ożenił się z piękną młodą dziewczyną o ciemnoszarych oczach i ślicznie zarysowanych brwiach. Zabrał ją do swoich rodziców i sam, amator psów i gołębi, znalazł pracę w redakcji pisma sportowego. Ale młoda żona nie miała w sobie zapału i nie dążyła do niczego w życiu. Pomimo że zarabiali dużo, dom ich był ponury, zimny i nieprzytulny. „Figiel” hodował kilka psów i masę gołębi, które zajmowały całe poddasze. Małżeństwo źle żyło z sobą. We wzajemnym ich stosunku nie było nic serdecznego, nic subtelnego, nic pięknego prócz jej urody. On był awanturniczy, porywczy, ona miała chłodne usposobienie i niczym się właściwie nie interesowała. Była skąpa. Mówiła prostackim akcentem. Pomimo że jego język był o wiele bardziej wulgarny, to przecież wstyd mu było jej sposobu mówienia. Tupał nogami, ryczał, kłął i wymyślał.

Tylko psy za nim przepadały. Do nich i do gołębi przemawiał po swojemu, pieszczotliwie, chociaż brutalnie, a ptaki podskakiwały i trzepotały skrzydełkami z radości.



Po siedmiu latach pożycia urodziła im się córeczka, a wkrótce druga. Ale ich to nie zbliżyło. Matka odnosiła się do dzieci niemal jak obojętna guwernantka. Ojciec, jak to często bywa u ludzi wrażliwych, bał się okazywać serdeczność, traktował dzieci szorstko i udął zadowolonego, gdy jedno z nich adoptowała zamożna ciotka matki. Ale w głębi duszy zniechęcił żonę za to, że wyrzekła się jego dziecka. Ona jednak po swojemu kochała męża, lecz jego trudny charakter sprawiał, że biedaczka nie potrafiła być bardziej czuła.

Wreszcie on zakochał się namiętnie i dość głupio w sentymentalnej młodej kobiecie, rozczytującej się w Browningu, wyznaczył żonie pewną sumkę i założywszy nowe gniazdo, wyemigrował z nową żoną do Australii. Opuszczona małżonka wyprowadziła się do wdowca oberżysty, z którym miała szczególne milczące porozumienie, do jakiego są zdolne takie spokojne kobiety. Było to coś w rodzaju zabezpieczenia na przyszłość.

Tyle tylko wiedział siostrzeniec. Siedząc koło wuja, zastanawiał się, jaka też mogła być jego obecna sytuacja. Przemknęli koło cmentarza, zostawili za sobą bulwar i wyjechali na zwykłą polną drogę. Błoto pryskało na prawo i na lewo, drobny deszcz siekł im w twarze. Berry okrył się kocem.

Wysokie żywopłoty wydawały się czarne na deszczu. Nad płaską zieloną okolicą wisi srebrystoszare, z lekka nakrapiane obłoczkami niebo. Taksówkarz zlustrował niecierpliwie drogę, po czym zwrócił czerwoną twarz do siostrzeńca.

– A tobie jak się powodzi, chłopcze? – rzucił głośno.

Berry zauważył, że wuj czuje się wobec niego skrępowany. To sprawiło, że i jemu zrobiło się nieswojo. Widocznie starszy człowiek miał coś na wątrobie.

– U kogo wuj teraz mieszka? – spytał Berry. – Czy wuj wrócił do ciotki Maud?

– Nie! – odszczeknęła taksówkarz. – Nie chciała mnie przyjąć. Chciałem, proponowałem, ale się nie zgodziła.

– Więc wuj jest teraz samotny?

– Nie, nie jestem samotny.

Wlepił w siostrzeńca przenikliwe spojrzenie srogich niebieskich oczu i zamilkł. Wóz sunął po błocie wzdłuż mokrego muru parkowego.

– Tamta diaboliczna próbowała mnie otruci! – wrzasnął nagle taksówkarz. – Ta, z którą wyjechałem do Australii.

Na ustach młodzieńca zaigrał mimowolny uśmiech.

– Jak to?

– Chciała się mnie pozbyć. Pokumała się na statku z jakimś facetem. Rozchorowałem się ciężko, psiakrew!

– Gdzie? Na statku?

– Nie! – ryknął. – Nie. W Wellingtonie. W Nowej Zelandii. Z dnia na dzień robiło mi się gorzej, nie wiedziałem, co się ze mną działo. Ledwo się mogłem utrzymać na nogach. Jestem przekonany, że truła mnie powoli, żeby się złączyć z tamtym. Ani chybi!

– I co wuj zrobił?

– Uciekłem, wyjechałem do Sydney.

– A ją wuj zostawił?

– Tak. Nie mogłem przecież ryzykować, psiakość, jeżeli chciałem żyć.

– A w Sydney wuj wyzdrowiał?

– Tak. Wiem, że sypała mi truciznę do kawy.

– Hm!

Zapanowało posępne milczenie. Taksówkarz lustrował uważnie drogę, prowadząc wóz w taki sposób, jakby to była żywa istota. Siostrzeniec czuł, że wuj żyje w ustawicznym strachu, że boi się życia, lęka się śmierci, drży o siebie.

– Wynajmuje wuj mieszkanie? – zapytał.

– Nie, mieszkam we własnym domu – odpowiedział wyzywająco taksówkarz – z

najrozkoszniejszą niewiastą we wszystkich południowych hrabstwach. Prawdziwe чудо! Może nas odwiedzisz?

– Owszem. Co to za jedna?

– O, dobra dziewczyna, piękne stworzenie. Straciłem głowę od pierwszego wejrzenia. Ona także. Mieszka z nami jej matka. Porządna dziewczynka, nie żadna... taka...

– Ile ma lat?

– Ile ma lat... Dwadzieścia jeden...

– Biedne dziecko.

– O, nic jej nie brakuje.

– Ożeniłby się wuj z nią, uzyskawszy rozwód?

– Ożenię się z nią.

Między wujem i siostrzeńcem powiało antagonizmem.

– Gdzie mieszka ciotka Maud? – zapytał młodszy.

– W Railway Arms. Przejeżdżaliśmy tamtędy, na wprost skrzyżowania Rollin Mili. Dostałem dziś list z prośbą, żebym ją odwiedził w wolnej chwili. Choruje na gruźlicę.

– Wielki Boże! Odwiedzi ją wuj?

– Tak...

I znów Berry poczuł, że wuj się boi.

Młody człowiek załatwił w miasteczku swój interes, wypił z wujem w oberży i ruszyli w powrotną drogę. Taksówkarz rozprawiał o Australii. Zbliżając się do miasta umilkli. Obaj myśleli o zajeździe. Zobaczyli zamykający się szlaban.

– Czy wuj wstąpi? – zapytał Berry, pokazując głową w kierunku stojącej na skrzyżowaniu oberży, na której wisiał szyld osłonięty gołymi konarami kasztanowca.

– A, no chyba. Chodź, napijesz się ze mną.

Padło od rana i na drodze błyszczały płytkie kałuże. Koło drzwi oberży stał wóz piwowara, naładowany mokrymi baryłkami. Od koni bił ciepły zapach potu. Panowała cisza, przerywana tylko łoskotem przejeżdżających pociągów. Obaj weszli niespiesznie po stopniach. Izba była pusta, tylko na podłodze widniały liczne ślady zabłoconych nóg. Usłyszeli czyjeś kroki i taksówkarz zapytał siostrzeńca swym jak zwykle aroganckim tonem, choć ściszonej z lekka przez strach.

– Czego się napijesz, chłopcze? Tego, co ostatnim razem?

Wszedł jakiś mężczyzna z dużą, podłużną twarzą i czarnymi bystrymi oczyma. Rzucił szybkie spojrzenie Suttonowi. Drgnął, poznawszy go. Ale twarz jego pozostała obojętna.

– Jak się masz, Dan? – powitał taksówkarza z widocznym przymusem.

– Jak się masz, George – odpowiedział z rezerwą Sutton. – Mój siostrzeniec, Dan Berry. Daj nam „Czewoną Fokę”, George.

Karczmarz skinął głową młodzieńcowi i postawił na stole szklaneczki. Dwie podsunął gościom, po czym cofnął się w ciemny kąt, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Przenikliwy wzrok Berry’ego wprawił go najwidoczniej w zakłopotanie.

– Na cholerne szczęście! – wznosił toast Sutton.

Gospodarz skinął przyjaźnie głową. Wuj i siostrzeniec wychylili szklaneczki.

– Dlaczego, u diabła, nie naprawicie drogi na Cinder Hill! – zaczął z furią taksówkarz, zsuwając czapkę z czoła i odsłaniając krótko ostrzyżone, szczeciniaste włosy.

– Ciężko im się do tego zabrać – odparł lakonicznie oberżysta.

– Ciężko im się zabrać! Trzeba by draniów wsadzić w taczki i wozić z góry na dół i z dołu do góry, to by dopiero zobaczyli.

Sutton odstawił szklaneczkę. Gospodarz napełnił ją ponownie szybkim ruchem, bo wszystko, co robił, robił zręcznie, i oparł się o kontuar. Był bez marynarki. Ręce znów skrzyżował na piersiach, opuścił brodę. Długie wąsiska zwisały w dół. Plecy miał przygarbione i wystający brzuch, chociaż nie był tęgi. Opalone policzki nadawały mu zdrowy

wygląd. Był wysoki i muskularny, ale jakiś ospały i ociężały. Spod czarnych brwi patrzyły przenikliwe oczy, zasnutę cieniem apatii.

Zapanowało milczenie. Widać było, że oberżysta nie zamierza podtrzymywać rozmowy. Berry patrzył na mahoniowy kontuar, pozalewany piwem, na półki z butelkami whisky. Sutton w zsuniętej na tył głowy czapce, spod której widniała biała plama czoła nad opaloną twarzą, pocierał z zakłopotaniem krótko ostrzyżoną czuprynę.

Nagle gospodarz rozejrzał się po izbie.

– Idziesz na górę? – zapytał.

I zdawało się, że wskazuje wzrokiem niewidoczną sypialnię.

– Tak, po to właśnie... tego – odpowiedział Sutton, przestępując nerwowo z nogi na nogę.  
– Pytała o mnie?

– Tak, rano – odpowiedział obojętnie tamten.

Podniósł klapę kontuaru, odwrócił się i zniknął w ciemnych drzwiach w głębi. Sutton zdjął czapkę i pochyliwszy okrągłą szpeciniastą głowę, ruszył za nim.

Weszli po mrocznych schodach. Mąż stąpał ostrożnie ze względu na ciężkie buciory. Znaleźli się w korytarzu. Starał się opanować zdenerwowanie. Jakże marzył o kieliszku koniaku. Oberżysta otworzył drzwi. Sutton minął go i wszedł, ogromny, zwalisty.

W porównaniu z korytarzem w sypialni było jasno i ciepło. Na łóżku leżała czerwona puchowa kołdra. Sutton z wysiłkiem skierował oczy na chorą kobietę i napotkał jej rozszerzone ciemne źrenice. Ogarnęło go takie przerażenie, że z trudem opanował się, żeby nie uciec. Przez chwilę przeżywał mękę. Wydawało mu się, że jakiś niewidzialny płomień przepala go do szpiku kości. Potem dostrzegł ostre białe zarysy szczęki i zapadnięty policzek, osłonięty czarnymi włosami. Wzdrygnął się i podszedł do łóżka.

– Halo, Maud! – odezwał się. – Jak się czujesz?

Oberżysta stał koło okna, obrócony plecami do rozmawiających. Mąż pochylał się nad pościelą z miną skazańca, w każdej chwili gotowy do ucieczki. Patrzył z przerażeniem na żonę, a jej rozszerzone zmęczeniem szare oczy, teraz prawie czarne, wpatrywały się w niego z takim wyrazem, jakby się znajdował bardzo daleko.

Zbladł okropnie, szybko podniósł głowę i spojrzał na kolorowy obrazek, wiszący nad łóżkiem. Obrazek przedstawiał ptaszka, siedzącego na dzwonku, a pod nim gniazdko, ukryte w gąszczu bluszczu. Podobał mu się ten obrazek, obudził w jego sercu dziecinne uczucia. Zielone liście bluszczu były cudownie świeże i nikt nie dojrzał wśród nich gniazdko oprócz niego.

Spojrzał ponownie na twarz leżącej, starając się przypomnieć ją sobie taką, jaką była niegdyś. Poznał białe czoło i piękne wyraźne brwi. To była jego żona, kobieta, z którą przeżył młodość, ciało jego ciała, jego własność. Ale zmęczone oczy, które patrzyły na niego jakby z wielkiej dali, rozstrajały go tak dalece, że nie wiedział, co z sobą robić. Nie poznawał tylko zapadniętych policzków i dziwnie wysuniętych ust. Przejęty zgrozą miał wrażenie, że zatracą swą tożsamość. Czuł się w tej chwili młodym małżonkiem tej kobiety o jasnym czole, żonatym człowiekiem, walczącym z tą, której oczy patrzyły nań prawie obojętnie z jakiejś dali i jednocześnie dzieckiem lękającym się tych wysuniętych przerażających ust.

Rozległ się skrzeczący szept. Wiedział, że miała gruźlicę gardła, i opanował się, aby znieść jej ochrypy głos.

– Co mówisz, Maud? – zapytał z przestrawieniem.

Zdarty głos odezwał się ponownie, ale tak go przeraził, że nie rozróżnił słów.

Zapadło milczenie.

– Pyta się, czy weźmiesz Winnie? – odezwał się spod okna oberżysta.

– Nie martw się, Maud, wezmę – odpowiedział, udając, że nie rozumie, o co jej chodzi.

Rozejrzał się ciekawie po pokoju. Było tu jasno, ciepło i całkiem miło. Na umywalni stała cała bateria buteleczek z lekarstwami oraz butelka koniaku, opróżniona do połowy. Na

komodzie fotografie jakichś ludzi.

Wcale porządny pokój.

Znów drgnął, jakby ugodzony pociskiem. Chora mówiła. Pochylił się, nie patrząc na nią.

– Bądź dla niej dobry – wyszeptała.

Kiedy zrozumiał treść tych słów, że ma być dobrym dla ich dziecka, jak ona umrze, poczuł w sercu ukłucie.

– Będę dla niej dobry, Maud, nie martw się – obiecał rozdygotany.

Spojrzał ponownie na obrazek z wesołym ptaszkiem na tle błękitnego nieba i na zielone, mięsiste, świeże liście bluszczu. Zbierał całą odwagę, żeby odejść. Patrzył na łóżko, omijając ostrożnie wzrokiem twarz żony.

– Wpadnę znów niedługo, Maud – zapewnił. – Mam nadzieję, że przyjdiesz do siebie. Może czegoś potrzebujesz?

Prawie niedostrzegalnie potrząsnęła głową. A on znów poczuł, że taje w nim serce. Powłócząc nogami, opuścił pokój i zeszedł na dół.

Oberżysta postępował za nim.

– Dam znać, jeżeli się co stanie – powiedział po swojemu lakonicznie, z błyskiem czarnych oczu.

– Dobrze – odparł Sutton. Rozejrzał się za czapką, którą trzymał przez cały czas w ręku.

I wyszedł.

Za chwilę wuj i siostrzeniec mijali przejazd. Taksówkarz czuł, jak jego umysł jest napięty, wydawało mu się, że oczy nieomal wychodzą mu na wierzch. Trzymał mocno kierownicę, prowadząc jak zwykle pewnie. Nie spuszczał oczu z szosy. Maszyna gnała, podskakując na wybojach. Ukazały się trzy jadące jeden za drugim wozy z węglem. Otarli się o nie w pędzie, zawadzając nieomal o chodnik po drugiej stronie. Sutton pędził jak szalony, nie odrywając oczu od drogi. Nie chciał nad niczym się zastanawiać ani o niczym wiedzieć, chciał tylko pędzić przed siebie...

Zbliżali się do miasta. Minęli ogródki działkowe z ciemnymi sylwetkami drzew owocowych, z mokrymi alejkami okolonymi żywopłotem i wjechali nagle w ulice. Samochód piął się pod górę z gniewnym warkotem, coraz wyżej i wyżej. Znaleźli się na wzgórzu, skąd mogli widzieć czerwono-żółte tramwaje, wyjeżdżające zza rogu i hałaśliwy ruch uliczny.

– Wybierasz się jeszcze gdzieś? – zapytał wuj.

– Chciałbym zajść w parę miejsc.

– Teraz zabieram cię do siebie. Zjesz z nami obiad.

Berry wiedział, że wujowi zależało na towarzystwie, żeby tylko nie myśleć, nie zastanawiać się. Ten ogromny mężczyzna bronił się przed grozą rzeczywistości.

– Dobrze – zgodził się młody człowiek.

Przejechali szybko przez miasto i długą ulicą wydostali się poza miasto. Zatrzymali się przed samotnym domkiem koło drogi.

– Za dziesięć minut będę – zapowiedział wuj.

Samochód odjechał do garażu. Berry stał zaciekawiony na szczycie kamiennych schodków, prowadzących do domu. Budynek był stary, murowany. Ogród zapuszczony. Na stromym zboczu rosły drzewa owocowe z połamanymi gałęziami. W dali w szarym świetle dnia majaczyła płytka dolina, zabudowana różowymi plamami nowych domków. Znajdowali się na pograniczu między miastem a wsią.

Zeszedł po schodkach. Przez dziury w płocie okalającym sad widać było wysoką pożółkłą trawę. Dom wydawał się opustoszały. Zapukał raz, potem drugi. Ukazała się starsza kobieta, wyglądająca na gospodynię. Początkowo powiedziała nieufnie, że pana Suttona nie ma.

– Wuj mnie tu właśnie przywiózł. Będzie za dziesięć minut – wyjaśnił gość.

– A, to pewno pan Berry, krewny pana! – zawołała kobieta. – Proszę wejść, proszę wejść!

Stała się od razu uprzejma i jakby nieco unizona. Młody człowiek wszedł. Dom był stary,

dość ciemny, skromnie umeblowany. Kobieta przysiadła nerwowo na skraju krzesła w saloniku, który wyglądał tak, jakby go wypełniono smętnymi gratami z nędznych mieszkań. Próbowała rozmawiać. Rzucało się w oczy, że Greenwellowa była prostą kobietą i nie miała żadnego obycia.

Po chwili zebrała się na odwagę i poprosiła gościa do jadalni. Od stołu pod oknem podniosła się wysoka, szczupła dziewczyna z kotem na rękach. Najwidoczniej starała się udawać damę, ale wyglądało też, że z natury musiała być łagodna, delikatna, potulna. Kasztanowate włosy miała krótko obcięte. Ciemne rzęsy opadały na piękne niebieskie oczy, w których malowało się zakłopotanie. Podała rękę swobodnie, ale z pewnym ociąganiem. Najwidoczniej nie była pewna, jak gość potraktuje jej pozycję w domu.

Jednakże przy całej nieśmiałości i rezerwie była pewna siebie.

Musi być w nim nie na żarty zakochana – pomyślał Berry.

Obie kobiety spojrzały z zażenowaniem na skromnie nakryty stół.

Obdarzona poetycznym imieniem Elaine głaskała nieśmiało kota, nie wiedząc, co powiedzieć i jak się zachować. Nie prosiła nawet gościa, aby usiadł. A on zwrócił uwagę na jej szczupłą postać, pozbawioną prawie bioder. Była młoda, zaledwie rozwinięta, wysmukła. Cerę miała wspaniałą, delikatną, różową.

Starsza kobieta wyszła do kuchni. Berry pieścił jamniki, które zaciekawione zbliżyły się do niego, i wyglądał oknem na mokry zapuszczony sad.

I ten pokój był lichy umeblowany i trochę ciemny. Za to na kominku huczał suty ogień.

– Zawsze hodował jamniki – zauważył.

– Tak – przytaknęła, pokazując ząbki w uśmiechu.

– Czy i pani je lubi?

– Tak – spojrzała na psy. – Wolę Tama niż Sally...

Każde jej odezwanie rozpływało się w kłopotliwym milczeniu.

– Byliśmy u ciotki Maud – odezwał się siostrzeniec.

Podniosła na niego bojaźliwy, zatrwożony błękit oczu.

– Dan otrzymał list – wyjaśnił. – Jest bardzo chora.

– Czy to nie okropne? – zawołała dziewczyna i po twarzy jej przebiegło znów drgnienie trwogi.

Weszła matka, niosąc dwa talerze zupy. Berry pomyślał, że wygląda na zahukaną, zaharowaną żonę robotnika. Spojrzała trwożnie, jak tam córka daje sobie radę z gościem.

– Matko, Dan był u Maud – powiedziała spokojnie Elaine. Ale w tym spokoju wyczuwało się niepokój.

Starsza kobieta podniosła pytająco zatroskane oczy.

– Przypuszczam, że chciała, aby zabrał dziecko. Jest bardzo chora – wyjaśnił Berry.

– Och, naturalnie, że wzięłybyśmy Winnie! – zgodziła się Elaine.

Jednak obie kobiety wydawały się niepewne swojej pozycji. Berry zorientował się, że wuj musiał je maltretować, podobnie jak wszystkich swoich znajomych. Ale były przyzwyczajone do ordynarnych mężczyzn i umiały to znosić.

– Zje pan zupy? – zaproponowała pokornie matka.

Wyglądało, że matka pracuje, a córka odgrywa z większym lub mniejszym powodzeniem rolę damy, zawsze ładnie ubranej, gotowej na powrót Suttona.

Na zewnętrznych kamiennych schodkach rozległy się ciężkie kroki. Psy wstały. Elaine zapomniała o gościu. Wydawało się, że nagle ożyła. Ale nadal robiła wrażenie zdenerwowanej i wylęknionej. Natomiast matka zrobiła taką minę, jakby zamierzała się z czegoś usprawiedliwić.

Sutton otworzył drzwi z rozmachem. Wkroczył zawadiacko do jadalni w obszernym szarym płaszczu, mokrym od deszczu.

– Halo! – powitał siostrzeńca. – Rozgościłeś się?

– Owszem.

– Jak się masz, Jackie – pozdrowił dziewczynę. – Pewnie popłakiwałaś?

– Dlaczego? – zapytała dźwięcznym, trochę prowokacyjnym głosem, w którym brzmiała szczególnie wdzięczna kobieca nutka przekory. Było w niej coś zaczepnie chłopięcego.

– Cud się stał, jeżeli nie popłakiwałaś – warknął Sutton i schyliwszy się, pogłaskał czule psy, w gruncie rzeczy nie zwracając na nie uwagi. Wyprostował się i stanął przed kominkiem, z głową podaną naprzód, z szeroko rozstawionymi nogami, z oczami utkwionymi w dziewczynie. Przez rozpięty płaszcz widać było jego męską postać opiętą garniturem niby orzech łupiną. Elaine z założonymi w tył rękami patrzyła na niego cała rozdygotana. I ona widziała tylko jego, nic poza tym... On również widział chyba tylko ją. Pochłaniał chciwie oczami jej wysmukłą figurę, gdy odchodziła w głąb pokoju. W jego zapatrzeniu było coś takiego, jakby widział w niej nie kobietę, lecz bezosobowe uosobienie kobiecości.

– Jadłaś obiad? – zapytał.

– Mieliliśmy właśnie jeść – odpowiedziała z tą samą szczególną wibracją głosu, podobną do drgania struny.

Weszła matka z garnkiem, z którego naląła trzy talerze zupy.

– Siadaj, chłopcze! – zaprosił Sutton. – Siadaj, Jackie, i podaj mi mój talerz.

– Nie usiądziesz przy stole? – zapytała żałośnie.

– Kiedy mówię, że nie, to nie! – warknął, siląc się na nieuprzejmość. Ale ona zlekka się trochę nawet tej komedii, co jemu sprawiło wyraźną przyjemność. Stojąc przy kominku zajadał zupę z głośnym siorbaniem.

– Czy nie zdejmiesz płaszcza? – zapytała Elaine. – Przecież z niego paruje.

Nie odpowiedział. Z głową schyloną nad talerzem jadł pośpiesznie zupę, aby prędzej skończyć. Kiedy odstawił próżny talerz, wstała z krzesła i podeszła do niego.

– Proszę cię, Danie – powiedziała, ujmując ciężką klapę i starając się ściągnąć z niego płaszcz. Ale nie dała rady. Od dotknięcia jej ręki w jego żrenicach rozgorzał pożar. Zajrzał jej w oczy. Zbladła i odwróciła twarz, na której malowała się w tej chwili miłość, trwoga i cierpienie. Chwyciła ponownie szczupłymi rączkami za klapy. Stał jak słup, nie patrząc już teraz na nią, lecz w przestrzeń. Igrała z namiętnością, chociaż się jej bała. Była nieszczęśliwa, wiedziała, że tutaj jej osoba nie wchodziła wcale w rachubę. Ale nie ustępowała. On uśmiechał się dziwnie. Wezbrała w nim namiętność, wobec której pierzchnął nawet strach śmierci. Życie było w nim silniejsze od śmierci. Stała blisko, dotykając twarzą jego piersi. Oczy ich spotkały się.

– Zdejm płaszcz, Danie – prosiła cicho, pieszczotliwie, głosem przeznaczonym tylko dla jego uszu. Przestał się opierać. Chwyciła za mankiet rękawa, ciągnąc go ku sobie. Twarz jej zarumieniła się silnie, a oczy rozbłysły. Uległ jej łagodnie i płaszcz osunął się na jej rękę. Taksówkarz pozostał w cienkim garniturze, który uwydatniał jego trochę przyciężką budowę.

– Co za ciężar! – zdziwiła się przenikliwym głosem, wychodząc z płaszczem.

Po chwili wróciła.

Stał w tej samej pozycji ze zmarszczonymi brwiami. Ból, strach, zgroza spalały się w gwałtownym ogniu namiętności.

– Zjedz obiad – rzucił szorstko.

– Nie chce mi się jeść – odparła. – Jedz ty.

Spojrzał na stół takim wzrokiem, jakby z trudem odróżniał stojące na nim przedmioty.

– Mam dosyć.

Stała tuż przy nim. Chciała go dotknąć i pocieszyć. Było w nim teraz coś, co działało na nią jak urok. Berry'emu było trochę wstyd za nią, że nic sobie nie robiła z obecności innych w pokoju.

Weszła matka. Spojrzała na Suttona, stojącego koło kominka z pochyloną głową i

zmarszczonymi groźnie brwiami, i przeraziło ją jego dziwne wzburzenie. Nagle wuj przypomniał sobie o siostrzeńcu.

– Kończ obiad, chłopcze – rzucił, ruszając ku drzwiom. Psy, które to wstawały, to się kładły, zerwały się czujnie. Dziewczyna wyszła za nim, pytając dźwięcznym głosem:

– Czego sobie życzysz, Danie?

Znikła, zręczna i wysmukła, i drzwi się za nią zamknęły.

Zapanowało milczenie. Matka, jeszcze bardziej uniżona, niż poprzednio, usiadła na stołeczku. Berry napił się piwa.

Ta dziewczyna porzuci go – powiedział sobie. – Znienawidzi go śmiertelnie. Będzie miał za swoje. Ucieknie z innym.

Tak też się stało.

## CÓRKA HANDLARZA KONI

A co ty zamierzasz ze sobą zrobić, Mabel? – wyrwał się głupio Joe. Sam czuł się zabezpieczony. Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się, przesunął na koniec języka kulkę tytoniu i wypluł. Sam czuł się zabezpieczony, więc o resztę nie dbał.

Skończywszy śniadanie, trzej bracia i siostra siedzieli jeszcze przy stole. Naradzali się chaotycznie. Poczta poranna zadała ostatni cios familijnej zamożności: wszystko wzięło w łeb. Nawet ponura jadalnia z ciężkimi mahoniowymi meblami wyglądała tak, jakby czekała na wyrok skazujący.

Ale narada rodzeństwa skończyła się na niczym. Mężczyźni, rozparci przy stole, nad którym unosił się obłok dymu, robili wrażenie dziwnie niezaradnych. Ospale omawiali swoje położenie. Siostra żyła inaczej niż bracia. Posępna, dość niska i pomimo dwudziestu siedmiu lat niezamężna. Gdyby nie apatia malująca się na jej twarzy, można by ją nazwać przystojną. Bracia nazywali ją „buldogiem”.

Dał się słyszeć nieskładny tupot końskich kopyt. Mężczyźni obrócili się ku oknu. Za ciemnymi drzewami ostrokrzewu, oddzielającymi trawnik od szosy, migała kawalkada koni pociągowych, które po raz ostatni wyprowadzono z podwórza, aby zażyły ruchu. Były to ostatnie konie, jakie miały przejść przez ich ręce. Młodzi ludzie patrzyli na nie krytycznym, obojętnym wzrokiem. Byli przerażeni klęską życiową, która ich spotkała, i świadomość ta paraliżowała ich myśli.

A przecież byli to urodziwi chłopcy. Najstarszy Joe liczył trzydzieści trzy lata, był przystojny, rumiany, szeroki w barach, o nieco niespokojnych oczach. Zazwyczaj podkręcał czarne wąsy na palcu, a śmiejąc się, ukazywał białe zęby. Sposób bycia miał trochę głupawy. Teraz patrzył na konie bezradny i złamany.

Ukazały się cztery wielkie perszerony, powiązane jeden za drugim. Spod potężnych kopyt przyskała rzadkie czarne błoto. Wspaniałe zaokrąglone zady kołysały się majestatycznie. Skręcając z szosy na dróżkę, przeszły na chwilę w kłus. Każdy ruch zdradzał olbrzymią drzemiacą w nich siłę i tępotę, która sprawiała, że pozwalały sobą kierować. Prowadzący je stajenny obejrzał się i szarpnął za linę. Konie zniknęły na dróżce i tylko jeszcze przez chwilę widać było krótki sztywny ogon ostatniego konia, przesuwany nad żywopłotem. Wydawało się, że te ogromne zwierzęta poruszają się jak we śnie.

Joe patrzył na nie szklonym, beznadziejnym wzrokiem. Konie stanowiły dla niego nieomal cały świat. Czuł, że to on się skończył. Na szczęście był zaręczony z córką administratora sąsiedniego majątku, swoją rówieśniczką, i wiedział, że teść znajdzie mu pracę. Ożeni się i pójdzie w jarzmo. Jego życie skończyło się, będzie odtąd bezwolnym zwierzęciem.

Mając w uszach stuk kopyt oddalających się koni, odwrócił się niespokojnie do stołu. Nagle, zniecierpliwiony, zebrał z talerzy resztki boczku i gwizdnąwszy cicho, rzucił je jamnikowi leżącemu koło kraty kominka. Począł, póki pies nie połknął ostatniego kęsa, i powiedział śmiesznie wysokim głosem:

– Nie będziesz więcej podjadał boczku, co, psi synu?

Pies poruszył melancholijnie ogonem, przysiadł, zakręcił się w kółko i legł nieruchomo, jak przedtem.

Przy stole znów zapanowało milczenie. Joe wiercił się niespokojnie na krześle, nie chcąc odejść przed końcem familijnego konklawe. Fred Henryk, drugi brat, trochę młodszy, był zgrabny, wysmukły, pełen życia. Przejście koni zrobiło na nim mniejsze wrażenie niż na



starszym bracie. Obserwował je z większym spokojem. Jeżeli miał w sobie coś ze zwierzęcia, podobnie jak Joe, to w przeciwieństwie do brata było w nim coś władczego. Potrafił ujarzmić każdego konia. Był opanowany i pewny siebie. Ale i on nie potrafił stawić czoła trudnej sytuacji życiowej. Podkręcał szorstkie brązowe wąsy i spoglądał z irytacją na siostrę, która siedziała apatyczna, nieodgadniona.

– Chyba pojedziesz na razie do Lucy? – zapytał.

Milczała.

– Nie widzę, co byś innego mogła zrobić – nastawał Fred Henryk.

– Chyba iść na służbę – wtrącił lakonicznie Joe.

Twarz dziewczyny nawet nie drgnęła.

– Na jej miejscu wyspecjalizowałbym się na bonę – zauważył najmłodszy brat, Malcolm. Był to beniaminek rodziny, młody, dwudziestoletni chłopak o świeżej, beztroskiej buzi.

Mabel milczała. Żyła w gwarze ich głosów od tylu lat, że prawie dla niej nie istnieli.

Marmurowy zegar na kominku wybił cicho pół godziny. Pies dzwignął się niespokojnie z podłogi i spojrzał na towarzystwo zebrane przy stole. Ale bezowocne konklawe przeciągało się w nieskończoność.

– No, w porządku – odezwał się nagle nie a propos Joe. – Muszę już iść.

Odepchnął krzesło, rozruszał po kawaleryjsku zdrętwiałe kolana i poszedł do ognia. Ale nie śpieszyło mu się z wyjściem. Ciekaw był, co uczynią lub powiedzą inni. Zaczął nabijać fajkę, patrząc na psa i mówiąc wysokim nienaturalnym głosem:

– Pójdiesz ze mną, pójdiesz ze mną, piesku? Ale pójdziemy dalej, niż się spodziewasz. Słyszysz?

Pies pomerdał lekko ogonem. Młody człowiek wysunął szczękę do przodu i, osłaniając fajkę rękami, zaciągnął się z przejęciem. Jego piwne oczy obserwowały psa z roztargnieniem. Ulubieniec patrzył w górę jakoś żałośnie i nieufnie. Joe stał z wygiętymi po kawaleryjsku kolanami.

– Miałaś list od Lucy? – zwrócił się Fred Henryk do siostry.

– W zeszłym tygodniu – padła obojętna odpowiedź.

– Co pisze?

Nie odpowiedziała.

– Czy p r o s i cię, żebyś do niej przyjechała? – nalegał Fred Henryk.

– Pisze, że mogę przyjechać, jeżeli chcę.

– W takim razie jedź. Zawiadom ją, że przyjedziesz w poniedziałek.

Przyjęła jego radę w milczeniu.

– Więc pojedziesz? – dopytywał się podniecony.

Milczała. Zapadła cisza, jałowa cisza, nabrzmiała irytacją. Malcolm uśmiechał się głupkowato.

– Do środy musisz się zdecydować – oświadczył Joe. – Inaczej znajdziesz się na bruku.

Twarz dziewczyny sposepniała, lecz pozostała niewzruszona.

– Idzie Jack Fergusson! – krzyknął Malcolm, który wyglądał przez okno.

– Gdzie? – zapytał głośno Joe.

– Tylko co przeszedł.

– Czy idzie do nas?

Malcolm odwrócił głowę i zerknął ku bramie.

– Tak.

Mabel, niczym potępiona, nadal siedziała u szczytu stołu. Od strony kuchni rozległo się gwizdanie. Pies wstał i zaszczekał. Joe otworzył drzwi.

– Prosimy! – krzyknął.

Wszedł młody człowiek w grubym płaszczu, czerwonym wełnianym szaliku i tweedowej czapce, nasuniętej głęboko na uszy. Nie zdjął jej. Był średniego wzrostu, miał długą bladą

twarz i zmęczone oczy.

– Jak się masz, Jack? Halo, Jack! – zawołali Malcolm i Joe. Fred Henryk wypowiedział tylko imię gościa.

– Co u was słyhać? – zapytał przybysz, zwracając się najwidoczniej do Freda Henryka.

– Bez zmiany. Przed środą musimy się wyprowadzić. Zaziębiłeś się?

– Nawet bardzo.

– Dlaczego nie siedzisz w domu?

– Ja miałbym siedzieć w domu? Może kiedyś się to zdarzy, jak już nie będę mógł utrzymać się na nogach.

Mówił matowym głosem z lekkim szkockim akcentem.

– Źle, jeżeli już doktor chodzi zaziębiony i zachrypnięty – błaznował Joe. – Co mają wtedy robić pacjenci?

Młody lekarz spojrzał nań uważnie.

– A czy ty się źle czujesz? – zdziwił się sarkastycznie.

– Nie. Nic mi nie jest, do cholery! Dlaczego pytasz?

– Tak się troszczysz o pacjentów. Myślałem, że i ty potrzebujesz porady.

– Ani mi się śni, psiakrew! Nigdy nie byłem pacjentem i spodziewam się, że nie będę. Do diabła z doktorami! – odparł Joe.

W tej chwili Mabel wstała i czterej mężczyźni jakby dopiero teraz uświadomili sobie jej obecność. Zaczęła zbierać talerze. Młody lekarz popatrzył na nią w milczeniu. Nawet się z nią nie przywitał. Wyszła z pokoju niosąc tacę, apatyczna, obojętna.

– Kiedy wyjeżdżacie? – zapytał doktor.

– Ja pociągiem o jedenastej czterdzieści – odpowiedział Malcolm.

– A ty, Joe, gikiem?

– Tak. Przecież ci mówiłem, że pojedę gikiem.

– W takim razie trzeba zaprzęgać. Do widzenia, Jack. Może się już nie zobaczymy przed wyjazdem – rzekł Malcolm.

Podali sobie ręce.

Za Malcolmem – niczym pies z podwiniętym ogonem – wyszedł Joe.

– Przykra sytuacja! Bardzo przykra! – stwierdził doktor, pozostawszy sam na sam z Fredem Henrykiem. – Wyjeżdżasz przed środą?

– Muszę – odpowiedział tamten.

– Dokąd? Do Northampton?

– Tak.

– Do licha! – zmartwił się Fergusson.

Umilkli.

– Wszystko już załatwiłeś? – spytał Fergusson.

– Prawie.

Znów zapadło milczenie.

– Będzie mi cię brakowało, Freddy – rzekł młody lekarz.

– A mnie ciebie, Jack.

– Och, piekielnie mi cię będzie brakowało – powtórzył doktor w zadumie.

Fred Henryk odwrócił się. Cóż mógł więcej powiedzieć? Weszła Mabel, żeby zebrać ze stołu resztę naczyń.

– A pani, co zamierza z sobą zrobić? – zapytał Fergusson. – Pojedzie pani do siostry?

Mabel popatrzyła na niego. Jej poważne, surowe spojrzenie wprawiało go zawsze w zakłopotanie, wytrącało z pozornej zresztą równowagi.

– Nie – odparła.

– W takim razie co zamierzasz zrobić, na Boga? Mów, co zrobisz? – wykrzyknął gniewnie Fred Henryk.

Odwróciła głowę bez słowa i porządkowała na stole. Złożyła biały obrus i nakryła stół serwetą.

– Ale się nadąsała, psiakrew! – warknął brat.

Młody lekarz przyglądał jej się z zainteresowaniem. Skończywszy sprzątać, wyszła z niewzruszoną twarzą.

Fred Henryk patrzył za nią, zaciskając ze złości wargi, z wyrazem nienawiści w niebieskich oczach.

– Można by ją porąbać na kawałki i też by się nie odezwała – warknął z pasją.

Doktor uśmiechnął się lekko.

– Co ona w takim razie zrobi? – zapytał.

– Diabli ją wiedzą!

Zapanowało milczenie. Fergusson wstał.

– Zobaczmy się wieczorem, nieprawdaż? – zapytał przyjaciela.

– Dobrze, ale gdzie? Może pójdziemy do Jessdale?

– Sam nie wiem. Jestem bardzo zaziębiony. W każdym razie będę pod „Księżycem i Gwiazdami”.

– Lizzie i May spotka tym razem zawód.

– Jeżeli będę się czuł tak, jak teraz.

– Nie ma znaczenia...

Młodzi ludzie wyszli na korytarz wiodący do kuchennego wyjścia. Dom był duży, ale zaniedbany i bez służby. Na tyłach znajdowało się małe brukowane cegłą podwórko, a dalej, za podwórkiem, ogromny żwirowany plac, zamknięty z dwóch stron stajniami. Z pozostałych boków otwierał się widok na mokre, ciemne, nie ośnieżone pola.

Ale stajnie były teraz puste. Joseph Pervin, ojciec rodziny, nie miał żadnego wykształcenia. Dorobił się na handlu końmi. Za jego życia stajnie były zawsze pełne i na podwórzu panował nieustanny ruch, uwijali się stajenni i kupcy. A w kuchni nie brakowało służby. Później jednak sytuacja zmieniła się na gorsze i stary ożenił się po raz drugi dla pieniędzy. Obecnie już nie żył i majątek lichy wzięło. Pozostały tylko długi i groźby wierzycieli.

Od szeregu miesięcy Mabel gospodarowała w wielkim domu bez pomocy służby, ciułając grosz do grosza, zabiegając troskliwie o niezaradnych braci. Właściwie prowadziła dom już od dziesięciu lat, ale przedtem było inaczej, bo nie troszczyła się o gotówkę. Wtedy, chociaż otoczenie było prostackie, brutalne, stan zamożności sprawiał, że była pewna siebie. Parobcy mogli kłąć, służące mogły się źle prowadzić, bracia mogli mieć nielegalne potomstwo. Jednakże dopóki były pieniądze, Mabel czuła się na mocnym gruncie. Niebawale dumna, odnosiła się do ludzi z wyniosłą rezerwą.

W domu nie bywali goście prócz handlarzy i nieokrzesanych prostaków. Po wyjściu siostry za mąż Mabel nie miała kobiecego towarzystwa. Ale hic sobie z tego nie robiła. Chodziła regularnie na nabożeństwa, opiekowała się ojcem i żyła pamięcią o ukochanej matce. Ta odumarała ją jako czternastoletnią dziewczynkę. Mabel kochała również ojca, ale w jakiś inny sposób. Ufała mu, uzależniona od niego, uważała za swoją ostoję życiową, póki, mając już pięćdziesiąt cztery lata, nie wstąpił ponownie w związek małżeński. Wtedy zbuntowała się. Obecnie już i on nie żył. Dzieci pozostały beznadziejnie zadłużone.

W okresie biedy niemało się nacierpiła. Nic wszakże nie mogło złamać jej szczególnie posępnej dumy, właściwej wszystkim członkom rodziny. Jednakże teraz przyszedł na Mabel koniec. Ale nie oglądała się na nikogo. Podążała dalej swoją drogą, sama stanowiąc o własnym losie. Obojętna i cierpliwa, odważnie szła przez życie. Po cóż by się miała zastanawiać? Albo co odpowiadać na pytania? Nadszedł przecież koniec. Nie było wyjścia. Nie będzie już potrzebowała przemykać się główną ulicą miasteczka, unikając ludzkich oczu, ani poniżać się kupowaniem najtańszych produktów. Skończyło się! Nie myślała o nikim,

nawet o sobie, obojętna, nieugięta, pełna jakiejś niezwyklej ekstazy, czując, że to już koniec. Ten koniec uważała za gloryfikację własnej osoby, bo oto miała się niebawem połączyć z matką.

Po południu wyszła z domu z torbą w rękę. Włożyła do niej nożyce, gąbkę i małą szczotkę ryżową. Dzień był szary, zimowy. Nad smutnymi czarnozielonymi polami snuły się dymy z niedalekiej odlewni. Szła przez miasto w stronę cmentarza, nie zważając na nikogo.

Na cmentarzu zawsze czuła się bezpieczna, tak, jakby jej nikt tu nie mógł widzieć, chociaż w rzeczywistości była narażona na obserwację ze strony ludzi, przechodzących koło muru kościelnego. Jednakże cień ogromnego kościoła osłaniał ją przed światem. Czuła się wśród grobów, jakby w innym świecie.

Podstrzygła starannie trawę na mogile i przybrała blaszany krzyż białoróżowymi chryzantemami. Potem wzięła z sąsiedniego grobu pusty dzban, przyniosła wody i umyła starannie gąbką marmurowy nagrobek.

Wszystkie te czynności sprawiały jej głębokie zadowolenie. Czuła bezpośredni kontakt ze światem matki. Pracowała sumiennie. Krzątała się po cmentarzu w nastroju granicznym z absolutnym szczęściem, tak jakby ten serdeczny trud łączył ją w jakiś tajemniczy sposób z matką. Ziemskie bytowanie było dla niej daleko mniej realne niż świat umarłych, z którym tak często obcowała po śmierci matki.

Dom lekarza stał przy kościele. Fergusson pracując jako asystent miał mnóstwo pacjentów. Idąc spieszenie do poradni, zobaczył na cmentarzu dziewczynę, uprzątającą grób. Była tak pochłonięta tym, co robi, taka daleka, iż wydało mu się, że zajrzał w głąb innego świata. W jego duszy drgnęła jakaś struna. Zwolnił kroku. Nie spuszczał z niej oczu, jakby urzeczony.

Poczuła jego wzrok i podniosła głowę. Oczy ich się spotkały. Popatrzyli na siebie i obojgu wydało się, że zostali zdemaskowani. Uniósł kapelusz i poszedł dalej. Nie mógł zapomnieć wyrazu jej twarzy i wpatrzonych w niego ogromnych, przygasłych, złowieszczych oczu. Bo jej twarz była złowieszcza. Miał wrażenie, że go zahipnotyzowała. Oczy jej ośwładnęły całą jego istotą. Była w nich, siła, która podziałała na niego jak potężny narkotyk. Przedtem czuł się słaby i złamany. Teraz wstąpiło w niego życie. Poczłł się wyzwolony ze swej codziennej nerwowości.

Pozalałtował wszystko jak najprędzej w poradni, ponapełniał butelki czekających pacjentów tanimi lekarstwami i nie przestając się śpieszyć, wyruszył w obchód do mieszkających nieco dalej chorych. Chciał wrócić do domu na herbatę. Zawsze wołał, o ile możliwości, chodzić pieszo, zwłaszcza wtedy, kiedy czuł się chory. Wmówił w siebie, że ruch przywraca mu zdrowie.

Zapadał zmierzch, szary, martwy, zimowy. Zimne, przesiąknięte wilgocią powietrze przenikało do szpiku kości, przygnębiało, ogłupiało. Ale nie zwracał na to uwagi. Wszedł pośpieszenie na wzgórze i skręcił na ciemnozielone pola, na czarny tor żużłowy. W oddali, po drugiej stronie płytkiej doliny, widniało miasteczko, podobne do kupy tlejących popiołów – wieża kościoła, wieżyczka gminy i rzędy nędznych, niskich, ciemnych domków. Przed sobą miał leżącą na zboczu Oldmeadow, posiadłość Pervinów. Rozróżniał wyraźnie, jak na dłoni, stajnie i przybudówki. Cóż, skończą się już jego wizyty u nich. Straci towarzystwo, na którym mu zależało w tym niesympatycznym, szpetnym miasteczku. Pozostanie tylko praca, ciężka harówka, pośpieszna bieżanina od domu do domu. Pacjenci rekrutowali się spośród górników i hutników. Męczyło go to, chociaż tego tylko pragnął. Wizyty w ich domach, wglądanie w codzienne życie tych biedaków działały na niego ożywczo, dawały mu zadowolenie, stwarzając poniekąd podniecie. Mógł wnikać w samo sedno życia tych prostych, prymitywnych, głęboko uczuciowych ludzi. Sarkał, skarżył się, że nienawidzi piekielnej dziury, a przecież było mu tu dobrze. Obcowanie z nimi jak gdyby odradzało go moralnie.

Poniżej Oldmeadow, wśród zielonych, nizinnych, rozmiękłych pól, widniał głęboki

prostokątny staw. Rozglądając się wokół bystrymi oczami, doktor dostrzegł jakąś postać w czerni, przechodzącą przez furtkę w ogrodzeniu i podążającą w kierunku wody. Wyteżył wzrok. Mabel Pervin. Zaciekawiony, zaczął ją obserwować.

Po co ona tam idzie? Przystanął na ścieżce, wiodącej zboczem i patrzył... W zmierzchu poruszała się drobna czarna figurka. Było już tak ciemno, że bez mała zlewała się z otoczeniem. Ale przecież, wyteżając wzrok, widział ją całkiem wyraźnie. Czuł, że gdyby odwrócił głowę choć na chwilę, roztopiłaby się w nieprzeniknionym mroku i już by jej nie odszukał.

Śledził uważnie jej ruchy. Sprawiała wrażenie, jakby pchała ją jakaś siła niezależna od niej. Kierowała się przez pole prosto nad staw. Zatrzymała się chwilę na brzegu, po czym, nie podnosząc głowy, weszła wolno w wodę.

Stał i patrzył. Drobna ciemna postać sunęła z premedytacją ku środkowi stawu, zanurzając się wolniuteńko coraz głębiej i głębiej. Nieruchoma woda sięgała jej już do piersi. Nie mógł już jej dostrzec. Rozpłynęła się w ciemnościach gasnącego dnia.

– Masz sobie! – wykrzyknął. – Nie do wiary!

I zaczął zbiegać pośpiesznie po błotnistym zboczu w stronę stawu, od którego dzieliło go mokre pole i przecinające go żywopłoty. Było bardzo zimno i ciemno i przebycie tej przestrzeni zajęło mu kilka minut. Stał nad wodą, dysząc ciężko. Nic nie mógł dostrzec, zdawało mu się, że przenika oczami martwą powierzchnię. Tak, ta ciemna plama pod powierzchnią to pewnie ona.

Wszedł powoli w topiel. Dno było grząskie, gliniaste. Zapadł w nie do połowy łydek. Lodowata woda opłynęła mu nogi. Z dna buchnęła woń zgnilizny. Ciężko mu było oddychać, ale przewyciężając odrzę, parł naprzód. Zimna toń zalała mu uda, biodra, brzuch, miał ją już powyżej pasa. Był zanurzony do połowy ciała we wstrętnym lodowatym żywiole. Dno było tak okropnie grząskie, zdradzieckie, iż bał się, że się przewróci i wpadnie z głową pod wodę. Nie umiał pływać i ogarniał go strach.

Przykucnął i rozpostarłszy ręce pod powierzchnią, zaczął szukać. Czuł na piersiach napór wody. Posunął się o krok głębiej i znów wyciągnął ręce. Tym razem dotknął jej ubrania, które jednak wymknęło mu się z palców. Uczynił rozpaczliwy wysiłek, aby je uchwycić.

O mało co nie stracił równowagi. Wpadł pod wodę i przez kilka chwil rzucał się jak szalony, dławiąc się, łykając cuchnącą ciecz. Nim zdołał stanąć na nogach, upłynęła wieczność. Wydzwignął się na powierzchnię i rozejrzał naokoło. Zaczerpnął tchu. Oprzytomniał. Ledwie dyszał. Spojrzał na wodę. Topielica wynurzyła się obok niego. Chwycił ją za odzież, przyciągnął do siebie i zawrócił do brzegu.

Stąpał wolno i ostrożnie, całkowicie pochłonięty swoją czynnością. Wynurzał się z topieli, zbliżał ku brzegowi. Już tylko nogi miał w wodzie. Doznał głębokiej, radosnej ulgi, że zwyciężył śmiertelny staw. Wziął dziewczynę na ręce i z trudem wyniósł na łąkę. Szara, mokra, grząska otchłań została za nimi.

Złożył Mabel na ziemi. Była zupełnie nieprzytomna i przemoczona. Wypompował jej wodę z ust i jął cucić. Niebawem zorientował się, że zaczyna oddychać normalnie, ale cucił w dalszym ciągu. Czuł pod rękami budzące się życie. Przychodziła do siebie. Otarł jej twarz, owinął w swój płaszcz, rozejrzał się w otaczającym mroku, wziął ją na ręce i ruszył chwiejnie przez pola.

Droga wydała mu się niewypowiedzianie długa, a ciężar tak wielki, iż sądził, że w ogóle nie dojdzie. W końcu znalazł się między stajniami, a potem na podwórzu. Otworzył drzwi i wszedł do domu. W kuchni złożył topielicę na podłodze koło komina i zaczął wołać. Lecz nikt się nie odezwał. Na szczęście paliło się w piecu.

Ukląkł obok dziewczyny. Oddychała normalnie i miała przytomnie otwarte oczy, lecz malowała się w nich pustka. Ocknęła się, lecz nie poznawała otoczenia.

Pobiegł na górę, porwał z łóżka koce i ogrzał je przed ogniem. Następnie rozebrał Mabel z

przemokłej, cuchnącej błotem odzieży, wytarł ręcznikiem do sucha i owinał w koce. Potem poszedł do stołowego pokoju poszukać alkoholu. Znalazł whisky. Łyknął sam i wlał jej trochę do ust.

Skutek był natychmiastowy. Spojrzała mu w twarz takim wzrokiem, jakby go już widziała, ale teraz dopiero uświadomiła sobie jego obecność.

– Doktor Fergusson? – zdziwiła się.

– Co?

Zdejmował marynarkę, zamierzając poszukać sobie na górze jakiegoś suchego ubrania. Nie mógł znieść woni zgniłej gliniastej wody i był w strachu o własne zdrowie.

– Co ja zrobiłam? – zapytała.

– Weszła pani do stawu – wyjaśnił. Wstrząsnęły nim dreszcze, jakby się nagle rozchorował. Z trudem się przy niej krzątał.

Nie spuszczała z niego oczu. Poczuł zamęt w głowie i spojrzał na nią bezradnie. Po chwili dreszcze ustały i zrobiło mu się lepiej.

– Czy ogarnął mnie jakiś obłąd? – pytała, nie odrywając oczu od jego twarzy.

– Może to był chwilowy obłąd – odpowiedział. Był znów spokojny, odzyskał z powrotem siły. Dziwne rozdrażnienie pierzchno bez śladu.

– A czy teraz jestem przytomna?

– Czy pani już jest przytomna? – Zastanowił się chwilę. – Nie – odparł z całą szczerością. – Wydaje mi się, że nie.

Odwrócił twarz. Bał się teraz, bo go zamroczyło. W niejasny sposób zdawał sobie sprawę, że teraz Mabel ma nad nim większą władzę niż on nad nią. Nie odwracała od niego oczu.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie tu jest jakieś suche ubranie? Chciałbym się przebrać.

– Rzucił się pan za mną do stawu? – spytała.

– Nie – odpowiedział. – Wszedłem. Co prawda, wpadłem z głową do wody.

Zapadło milczenie. Wahał się. Bardzo chciał iść na górę, przebrać się w suche ubranie, lecz coś go powstrzymywało. Dziewczyna panowała nad nim, a jego wola jakby zanikła. Był wobec niej bezsilny. Ale czuł, jak ogarnia go jakieś wewnętrzne ciepło i przestał już drzeć, chociaż przemókł do nitki.

– Dlaczego pan mnie ratował?

– Bo nie chciałem pani pozwolić na takie głupstwo – wyjaśnił.

– To nie było głupstwo – odparła, wpatrując się w niego. Leżała na podłodze z poduszką z sofy pod głową. – Miałam rację decydując się i wiedziałam, co robię.

– Pójdę zmienić te mokre szmaty – rzekł, nie ruszając się z miejsca. Nie miał siły odejść od niej, czekał, aż mu to powie. Mogło się zdawać, że ujęła jego życie w swoje ręce i nie puszcza. A może on sam nie chciał się wyrwać.

Nagle usiadła i rozejrzała się dokoła. Spostrzegła, że jest owinięta w koce i rozebrana. Przez chwilę miała taki wyraz twarzy, jakby była bliska obłądu. Rozejrzała się nieprzytomnie. Fergusson zdrętwiał ze strachu. Zobaczyła swoją porozrzucaną odzież.

– Kto mnie rozebrał? – zapytała, przypatrując mu się po swojemu.

– Ja. Ratowałem panią.

Przez chwilę trwała nieruchomo z rozchyłonymi wargami patrząc na niego straszonym wzrokiem.

– Więc pan mnie kocha?

Stał i wpatrywał się w nią jak urzeczony.. Czuł, jak ogarnia go roztkliwienie.

Dziewczyna przybliżyła się do niego na kolanach i objęła go za nogi. Przyciskała się piersioma do jego ud. Przygarniała go do siebie konwulsyjnie, z dziwną pewnością, jakby nie wątpiła, że on już jest jej. Przyciągała go ku sobie, ku swojej twarzy. Ogarniała go pokornymi, rozplómiionymi oczyma pełnymi ekstazy i triumfalnej, zaborczej miłości.

– Kochasz mnie – szeptała w dziwnym uniesieniu, stęskniona i ufna. – Kochasz mnie. Wiem, że mnie kochasz, wiem.

I całowała go namiętnie po kolanach, przez mokre ubranie, całowała na oślep, po nogach, jak nieprzytomna, jak oszalała.

Patrzył na jej mokre splątane włosy i na obnażone ramiona, oszołomiony, przerażony. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że może się w niej zakochać. Kiedy ją ratował i cucił, to traktował ją jako pacjentkę. Ani przez chwilę nie myślał o niej jako o kobiecie. Co więcej, wprowadzenie w to wydarzenie osobistego akcentu odczuł jako wstrętne pogwałcenie swego zawodowego honoru. Całuje go po nogach! Okropne! Wzdrygał się, buntował. A jednak... nie miał siły oderwać się od niej.

Patrzyła znów na niego błagalnie, z bezgraniczną miłością, ponadmysłowym, przerażającym triumfem. Był najzupełniej bezsilny wobec tego ognia, który bił z jej twarzy niczym światło. A jednak nigdy nie zamierzał jej kochać. Nigdy! Ciągłe jeszcze nieustępliwie, uparcie nie dawał za wygraną.

– Kochasz mnie – powtórzyła śpiewnie, z głębokim przekonaniem. – Kochasz mnie.

Ręce jej ciągnęły go w dół, ciągnęły ku sobie. Był przestraszony, a nawet przerażony. Lecz jej ręce przyciągały go. Podniósł szybko rękę, aby odzyskać równowagę, i przytrzymał się jej nagiego delikatnego ramienia. Miał wrażenie, że się sparzył... Cała jego wola buntowała się, naprawdę nic do niej nie czuł. I to było straszne. A jednak cudowne było to dotknięcie i jej piękna promienna twarz. Może dostała pomieszania zmysłów? Z przerażeniem myślał, że ulegnie jej, a jednocześnie tego pragnął.

Patrzył ku drzwiom, nie na nią, ale ręka jego pozostała na jej ramieniu. Nagle dziewczyna ucichła i znieruchomiała. Spojrzył na nią. W jej rozszerzonych źrenicach malował się przestach i zwątpienie. Rozjaśniona twarz zaczęła gasnąć, ponownie zasnuwać się okropnym szarym cieniem.

Nie mógł znieść pragnienia śmierci w jej oczach.

Skapitulował, zrozpaczony. Należał do niej... Na jego twarzy wykwit! nagle łagodny uśmiech, jej oczy zaś, które nie opuszczały jego twarzy, napełniły się łzami. Obserwował wzbierające z wolna łzy, na podobieństwo fontanny. Czuł, że serce w nim topnieje.

Nie miał siły patrzeć na nią dłużej. Osunął się na kolana, objął za głowę i przycisnął jej twarz do swojej szyi. Nie poruszyła się. Serce mu pękało, rozsadzało piersi, jakby miał skonać. Czuł jej gorące łzy, ale nie mógł się ruszyć.

Jej łzy zwilżały mu szyję. Trwał bez ruchu, jakby w wieczności. Dopiero teraz pojął, jak droga stała mu się ta przytulona twarz, nie oddałby jej za nic. Teraz nie pozwoliłby wyrwać jej sobie z ramion. Pragnął tak pozostać na zawsze, z sercem przepełnionym bólem, który przywrócił mu życie. Patrzył bezwiednie na jej mokre, miękkie, kasztanowate włosy.

Wtem zaleciał go wstrętny odór stojącej wody. Jednocześnie ona odsunęła się od niego i zajrzała mu w twarz. Oczy miała żalosne, niezgłębione. Przeraził się ich i, nie wiedząc, co czyni, zaczął je całować. Nie chciał, żeby jej oczy miały ten straszny, niezgłębiony wyraz.

Kiedy znów zwróciła ku niemu twarz, policzki jej płonęły delikatnym rumieńcem, a w źrenicach znów zrodziło się światło szalonej radości, która go przerażała, ale której pragnął, bo jeszcze więcej lękał się rozpaczy.

– Kochasz mnie? – zapytała drżącym głosem.

– Kocham.

Powiedział to z bolesnym wysiłkiem. Nie dlatego, żeby to było nieprawdą, ale dlatego, że to było zbyt świeżą prawdą i wypowiedanie jej rozraniało jego przepełnione rozterką serce. I nawet teraz jeszcze niezupełnie chciał, żeby to była prawda.

Podniosła ku niemu twarz. Schylił się i pocałował ją delikatnie w usta. I całując, poczuł znów w sercu bunt. Nigdy nie pragnął jej kochać. Ale stało się... Przekroczył dzielącą ich przepaść i to wszystko, co zostawił po tamtej stronie, zanikło, zgasło.

Oczy jej zaszyły łzami. Siedziała nieruchomo, odsunięta od niego, z głową przechyloną na bok, z rękami skrzyżowanymi na kolanach. Płakała spokojnie, bezgłośnie. Panowała zupełna cisza. I on również siedział na podłodze, milczący i nieruchomy. Nękała go niesamowita niepewność. Więc on ma ją kochać? Więc to jest miłość? Że też wymuszono na nim to uczucie w podobny sposób! Na nim, lekarzu! Gdyby się ludzie dowiedzieli, dopiero by sobie drwili. Myśl, że mogliby się dowiedzieć, sprawiała mu niewymowne cierpienie.

Tknięty tym, spojrział znów ku dziewczynie. Siedziała zgarbiona, pogrążona w zadumie. Zobaczył spadającą łzę i znów ogarnął go płomień. Dopiero teraz zauważył, że jej ramię jest całkowicie obnażone. Dostrzegł zarys drobnych piersi, niewyraźnie, bo ogień przygasł, i zrobiło się zupełnie ciemno.

– Dlaczego płaczesz? – zapytał nie swoim głosem.

Podniosła na niego zakławione oczy. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że jest nieokryta i spłonęła rumieńcem wstydu.

– Ja przecież nie płaczę – odparła, spoglądając na niego z lekkim przestraczem.

Wyciągnął rękę i zacisnął ją delikatnie na jej nagim ramieniu.

– Kocham cię! Kocham! – powiedział miękkiem, zniżonym głosem.

Wzdrygnęła się i spuściła głowę. Delikatny uchwyt jego ręki zabolął ją. Spojrzała mu w twarz.

– Muszę pójść. Muszę pójść i przynieść ci jakieś suche ubranie.

– Po co? – zaprotestował. – Mnie tak dobrze.

– Ale ja muszę iść. Chcę, żebyś się przebrał.

Puścił jej ramię. Owinęła się w koc, patrząc nań z lekkim przestraczem. Ale nie wstawała.

– Pocałuj mnie – poprosiła żałośnie.

Pocałował ją prędko, na pół gniewnie.

Wstała nerwowo, otulona w koc. Patrzył, jak go poprawia i owija się w taki sposób, aby móc iść. Była zmieszana i zawstydzona. Patrzył nieubłaganie, natarczywie. Odeszła, ciągnąc za sobą koc. Zobaczył stopy i błysk białej łydki i natężył pamięć, chcąc sobie przypomnieć, jak wyglądała, gdy ją zawijał w koc. Jednakże wolał sobie tego nie przypominać, bo wtedy jeszcze była dla niego niczym, wzdrygnął się na myśl, że przypomina sobie jej ciało, kiedy jeszcze nic dla niego nie znaczyła.

Poderwał się, gdy z głębi ciemnego domu doszedł go nagły, stłumiony hałas.

– Proszę, Ubranie – usłyszał jej głos.

Podniósł się, podszedł do schodów i podniósł ubranie, które mu zrzuciła. Powrócił do ognia, zdjął mokre szmaty, wytarł się i przebrał. Chciało mu się śmiać z własnego wyglądu.

Ogień przygaszał, więc dołożył węgla. W domu panowały ciemności, rozświetlane tylko blaskiem latarni ulicznej za drzewami ostrokrzewu. Znalazł na gzymsie zapalniczki i zapalił gaz.

Następnie opróżnił kieszenie swego ubrania i wyrzucił je do komórki. Potem zebrał pieczołowicie jej przemoczoną odzież, wyniósł tam również i złożył na pokrywie miedzianego kotła.

Zegar kuchenny wskazywał szóstą. Jego zegarek stanął. Powinien był iść do poradni, ale czekał. Nie schodziła. Podszedł więc do schodów i zawołał:

– Będę musiał już iść!

Prawie natychmiast usłyszał jej kroki na schodach. Miała na sobie swą najlepszą suknię z czarnego woalu; mokre włosy zwinęła w gładki węzeł. Spojrzała na niego i na ustach jej ukazał się mimowolny uśmiech.

– Nie podobasz mi się w tym ubraniu.

– Wyglądam, jak strach na wróble, co?

Teraz byli wobec siebie onieśmieleni.

– Przygotuję ci herbaty – zaproponowała.

– Nie, muszę już iść.



– Musisz? – I znów spojrzała na niego rozszerzonymi, zatrwożonymi oczyma. A on znów poczuł w piersiach ból, który mu uświadomił, jak ją kocha. Podszedł i pocałował ją w usta delikatnie i namiętnie.

– Moje włosy czuć okropnie – szepnęła z roztargnieniem. – I ja jestem taka okropna, taka okropna. Och, jestem straszna! – I wybuchnęła gorzkim, rozpaczliwym łkaniem. – Nie możesz mnie pragnąć, nie możesz mnie kochać. Jestem okropna!

– Nie bądź dzieckiem, nie bądź dzieckiem – mówił, całując i tuląc w ramionach, by ją uspokoić. – Chcę ciebie, chcę się z tobą ożenić. Pobierzemy się jak najprędzej, choćby jutro, jeżeli to będzie możliwe.

Ale ona tylko łkała rozpaczliwie.

– Czuję, że jestem straszna, czuję, że jestem dla ciebie okropna...

– Nie. Chcę ciebie. Pragnę ciebie – odparł porywczo, a w głosie jego brzmiało tak wielkie uniesienie, że bardziej ją to przeraziło niż okropna możliwość, że mógłby jej nie chcieć.

## FANNY I ANNIE

Jego twarz błysnęła na peronie jak widmowy płomień, w tłumie oświetlonych i ciemnych twarzy. Dostrzegła przelotnie te rysy w blasku pieca hutniczego. Mignęły jej jak podmuch ognisty. Ogarnięta nostalgią, odczuła powrót w rodzinne strony jako wyrok losu. Ach! Ta twarz cała w blasku! Silniejszy wybuch ognia z rysujących się na niebie wielkich pieców oświetlił na chwilę tłum robotników na przystanku, oświetlił i jego, i zgasł.

On naturalnie jej nie dostrzegł. Sam stał w blasku, a jej nie dostrzegł. Zawsze ten sam, w czerwono-czarnym szaliku, okręconym dokoła szyi, w robotniczej czapce, z brwiami, zbiegającymi się w jedną kresę. Nawet nie włożył kołnierzyka na jej przyjazd! Płomienie przygasły i zrobiło się ciemno.

Otworzyła drzwi brudnego wagonu i zaczęła ściągać z półek swoje bagaże. Tragarza, oczywiście, nie było, ale Harry był. Prawie niewidoczny, oczekiwał na skraju grupy pasażerów i naturalnie nie wypatrzył jej.

– Tutaj, Harry! – zawołała, machając parasolką.

Podbiegł pospiesznie.

– No, przyjechałaś! – powitał ją wesoło.

Wysiadła trochę podniecona i pocałowała go, a właściwie dziobnęła.

– Mam walizki – oznajmiła.

Wszedł po bagaże do wagonu, a w niej serce zapłakało. Z wielkiego pieca za przystankiem strzelił w mroczne niebo pióropusz ognia. Poczowała na twarzy czerwony odbłask. Powróciła, powróciła na dobre! Ach, jak jej było okropnie, jak ciężko! Bała się, że tego nie zniesie.

Stała oto na peronie obskurnej stacyjki w blasku pieca, wysoka, dystygowana, w dobrze skrojonym kostiumie, w dużym kapeluszu z popielatego weluru. W rękach obciążonych popielatymi rękawiczkami trzymała parasolkę, paciorkowy łańcuszek z kluczami i mały skórzany neser. A tymczasem Harry przedzierał się z trudem z jej walizkami.

– Jeszcze kufer w wagonie bagażowym! – zawołała z ożywieniem, chociaż w głębi duszy było jej smutno. Dwa bliźniacze czarne stożki odlewni pluły w ciemne niebo wytryskami ognia. Cała ta scena wyglądała upiornie. Pociąg czekał i zapraszał przyjaźnie. Do odejścia było jeszcze dziesięć minut. Wiedziała o tym. Wszystko to było takie znane, powszednie...

Powiedzmy od razu całą prawdę. Młoda dama była pokojówką w bogatym domu, miała trzydzieści lat i przyjechała poślubić swoją pierwszą miłość, robotnika z odlewni, którego trzymała w rezerwie przez dwanaście lat. Dlaczego powróciła? Czy go kochała? Nie. Tego przed sobą nie udawała. Kochała świetnego, ambitnego kuzyna, który ją zbałamucił i umarł. Miała jeszcze inne afery sercowe, które jednak spełzły na niczym. Więc powróciła poślubić swoją pierwszą miłość; a on czekał na nią, czy też po prostu nie żenił się, tyle lat!

– Może lepiej zawołajmy tragarza – zaproponowała. Harry poszedł do wagonu bagażowego.

– Sam dam radę – zapewnił.

Podążyła za nim, niosąc parasolkę, łańcuszek i neser.

Kufer się znalazł.

– Weźmiemy wózek od badylarza Heathera na ten kufer.

– Czy nie ma dorożki? – zapytała melancholijnie Fanny, chociaż wiedziała, że nie md.

– Zostawię go koło automatu. Heather przyjedzie o wpół do dziewiątej, to zabierze.

Chwycił kufer i objając nim sobie nogi, zadźwigał pod czerwony automat ze słodyczami

na drugą stronę torów.

– Czy bezpiecznie tak zostawiać? – zapytała.

– Bezpiecznie jak w domu – odpowiedział i wrócił po walizki. Tak obładowany, z wysiłkiem ruszył pod górę ścieżką obok długiego czarnego budynku odlewni. Szła obok niego. Typowy robociarz – myślała. Gęstniejącą ciemność rozświetlały czerwone błyski. Z odlewni dochodził okropny, powolny, metaliczny szczeł, przerywany chwilami ciszy, co jeszcze gorzej szarpało nerwy niż sam hałas.

Co za porównanie z przyjazdami do Gloucester: powóz po panią, gig po nią i po rzeczy, jazda koło rzeki, piękne drzewa podjazdu, ona obok Artura i wszyscy tacy uprzejmi, tacy grzeczni. Powróciła na dobre! Szła z trudem pod górę obok obładowanego Harry’ego i myślała, że to wstrętne podejście nigdy się nie skończy. Serce ustawało w niej z wysiłku. Co za upadek! Nie potrafiła ze zwykłym sobie humorem pogodzić się z sytuacją. Za dobrze zdawała sobie z niej sprawę. Łatwo jest stawić czoło czemuś niezwykłemu, nowemu, ale trudno o gorszą rzecz niż taka martwota przebrzmiałej, aż zbyt dobrze znanej przeszłości.

Postawił walizki pod latarnią, żeby odsapnąć. Stali koło siebie w kręgu światła.

Przechodnie pozdrawiali Harry’ego, a ją obrzucali ciekawymi spojrzeniami. Nie poznawali jej. Stała się tu obca.

– Za ciężko ci. Daj mi jedną! – zaproponowała.

– Jak się ujdzie miłą, to nabierają, psiakrew, wagi...

– Daj mi tę mniejszą! – nalegała.

– Na troszkę możesz wziąć, jeżeli masz ochotę – zgodził się podając jej walizkę.

Dobrnęli wreszcie do brzydkiego miasteczka na wzgórzu. Szli ulicami, gdzie były sklepy. Jakże się wszyscy na nią gapili, mój ty Boże! Przed kinem stali ludzie w ogonku, ciągnącym się aż do zakrętu. I tam też wszyscy się jej przyglądali.

– Dobry wieczór, Harry! – wołali zaciekawieni kumple.

Dotarli do domu jej stryjenki, która miała w bocznej uliczce sklepik ze słodyczami. Zadzwonili. Stryjenka wybiegła z kuchni.

– Jesteś, dziecko! Pewnie byś nie pogardziła filiżanką herbaty? Jak się masz?

I wycelowowała ją. Fanny tak była przygnębiona, że o mało nie wybuchnęła płaczem. Może jednak chciało jej się herbaty!

– Zziajałeś się jak pies – powiedziała starsza kobieta do Harry’ego.

– Uf! Rad jestem, żeśmy się już przywlekli – wysapał, patrząc na swoją rękę zdrętwiałą od walizy.

Poszedł zamówić wózek u Heathera.

Fanny usiadła do herbaty. Stryjenka, drobna, siwowłosa kobiecina o pogodnej twarzy, spoglądała na nią z zachwytem i zarazem z bólem serca. Bo Fanny była piękna: wysoka, zgrabna, ze śliczną cerą, delikatnym orlim noskiem, bujnymi kasztanowatymi włosami i ogromnymi błyszczącymi szarymi oczami. Wyglądała na kobietę namiętą, z tych co to należałoby się bać. I taka dumna, taka niepohamowana. To było u nich rodzinne.

Tylko kobiety umiałyby jej współczuć. Mężczyźni nie mieli odwagi. Biedna Fanny! Tyle miała w sobie pańskości. Taka uczciwa, taka wspaniała! A jednak los jej nie sprzyjał. Ileż ta piękna dziewczyna, cudownie wrażliwa, nerwowa, przeczulona, zniosła już upokorzeń i zawodów.

– Więc powróciłaś na dobre, dziecko? – spytała stryjenka.

– Na dobre, stryjenko.

– Biedny Harry. Nie jestem pewna, Fanny, czy ty go jednak trochę nie krzywdzisz...

– Och, stryjenko, czekał tak długo. Będzie miał, na co czekał – roześmiała się złowieszczo dziewczyna.

– Tak, dziecko, czekał tak długo, że nie jestem pewna, czy go to nie kosztowało za dużo. Wiesz, że go lubię, Fanny, chociaż uważam, o czym zresztą wiesz, że to nie dla ciebie mąż. I

przypuszczam, że on sam tak myśli, biedaczysko.

– Niech stryjenka nie będzie taka pewna. Harry jest prostym człowiekiem, ale pokory to on nie ma. Gdyby mu się podobała królowa, na pewno by nie uważał, że jest jej niegodny.

– No więc, tym lepiej, że ma o sobie właściwe wyobrażenie.

– Nie wiem, co stryjenka przez to rozumie – rzekła Fanny. – W każdym razie ma on też swoje dobre strony...

– Sympatyczny chłopak i lubię go, bardzo go lubię, tylko że to nie dla ciebie mąż. W tym sęk.

– Zdecydowałam się – powiedziała z emfazą Fanny.

– Tak – westchnęła stryjenka. – Mówią, że ten, kto czeka, doczeka się wszystkiego...

– Więcej nawet, niż się spodziewa, co, stryjenko? – zaśmiała się z goryczą dziewczyna.

Starsza kobieta pokiwała tylko głową. To rozgoryczenie Fanny martwiło ją ogromnie.

Przerwał im dzwonek sklepowy i głos Harry'ego: – Na prawo! – Fanny, widząc, że nie wchodzi, wstała i zajrzała do sklepu. Czuli się poniekąd w obowiązku okazywać mu w tej chwili pewną troskliwość. Zobaczyła, że przed domem stoi wózek, i wyszła na próg.

Nagle, z drugiej strony ulicy, dał się słyszeć w ciemności ordynarny głos kobiety. Posypały się obelżywe wyzwiska.

– To ty, draniu? Dam ja ci żeniączkę, czekaj, cholero, ja ci pokażę!

Fanny przestraszyła się. Wytężywszy wzrok, zobaczyła przechodzącą pod latarnią kobietę w czarnym czepku.

Harry i Bill Heather ściągnęli kufer z wózka i weszli na schodki. Cofnęła się przed nimi w głąb sklepu.

– Gdzie mamy postawić? – zapytał Harry.

– Proszę zanieść na górę – poleciła Fanny.

I poszła przodem zapalić gaz.

Po odejściu Heathera Harry zasiadł do herbaty i pasztetu wieprzowego w cieście.

– Co to za kobieta tak krzyczała? – zagadnęła Fanny.

– Nie mam pojęcia. Pewno tam komuś wymyślała – odparł młody człowiek. Fanny popatrzyła na niego, ale więcej nie pytała.

Harry był trzydziestoletnim blondynem. Mówił gwarą i wyglądał na to, czym był, to jest na robotnika. Ale cieszył się wielkim powodzeniem u kobiet. Było w nim coś z rozpieszzonego jedynaka. Serdeczny, skory do figlów i pełen wrażliwości. Nawet Fanny wydawał się pociągający. Co ją najwięcej do niego zrażało, to to, że nie miał wcale ambicji. Był giserem, ale bynajmniej nie pierwszorzędnym. Do tej pory nie zaoszczędził nawet dwudziestu funtów. Więc utrzymanie domu musiało spaść na nią. Jemu było absolutnie wszystko jedno. Nie przejawiał żadnej inicjatywy. Nie miał również nałogów, przynajmniej takich, co by się rzucały w oczy. Ale nie dbał o nic, wydawał w miarę, jak zarabiał, i żył z dnia na dzień. Jednak nie wyglądał na szczęśliwego. Przypomniła sobie wyraz jego twarzy w blasku ognia na stacji. Wydawał się udręczony i roztargniony.

Przyglądała mu się, jak zajadał pasztet, rozpychając policzki. Więc ten człowiek jest jej sądzony? Coś się w niej buntowało przeciwko takiemu losowi. A przecież młody robotnik nie był ordynarny. Miał obejście prostackie, nawet jakby rozmyślnie prostackie, ale on sam nie należał do prostaków. Nie przywiązywał na przykład wagi do jedzenia, nie był łakomy. Miał także wdzięk, szczególnie w oczach kobiet, którym podobała się jego delikatna cera i jasne włosy, wrażliwość i sposób, w jaki dawał im odczuć, że uważa je za wyższe istoty. Ale Fanny znała go, znała jego szczególny upór i ograniczoność, i to doprowadzało ją do wściekłości.

Zabawił do wpół do dziesiątej. Odprowadziła go do drzwi.

– Kiedy przyjdiesz? – zapytał, pokazując głową jak gdyby w stronę swego domu.

– Jutro po południu – odpowiedziała z ożywieniem. Oczywiście Fanny i jego matka nie udawały, że się kochają.

Pocałowała go niezgrabnie i powiedziała dobranoc.

– Nie dziw się, dziecko, że nie wygląda na szczególnie zakochanego – zauważyła stryjenka. – Samaś temu winna.

– Och, gdyby był zakochany, nie mogłabym z nim wytrzymać. Wolę go takiego, jaki jest.

Rozmawiały długo w noc. Rozumiały się doskonale. Stryjenka wyszła za mąż w takich samych okolicznościach, jak teraz miała wyjść Fanny, za nieodpowiedniego dla niej, gwałtownego człowieka, stryja Fanny. I on już nie żył, i ojciec Fanny nie żył.

Kiedy uroczą bratanicę poszła się położyć, biedna stryjenka Lizzie rzewnie się nad nią spłakała.

Na drugi dzień Fanny złożyła obiecaną wizytę rodzinie narzeczonego. Jego matka była to ogromna, wulgarna i władcza baba, gładko uczesana z przedziałkiem pośrodku głowy. Baba ta rozbałamuciła czterech swoich synów, a z jedynej zamężnej córki zrobiła sekutnicę. Miała żelazną rękę i staroświeckie zapatrywania, nie uznawała ani starań o wygląd zewnętrzny, ani wykształcenia, była kompletnie pozbawiona ambicji. Nie znosiła poprawnej mowy. Przyszłą synową powitała gwarą.

– Nie jeźdem ja taka fajna, jak wyglądam, wisz ty! – powiedziała w trakcie rozmowy.

Fanny nie myślała, żeby przyszła teściowa w ogóle wyglądała fajnie. Uznała więc odpowiedź za zbyt dobrą.

– Samam mu powiedziała – ciągnęła Goodallowa. – Obchodził się tak długo bez żeniaczki, to i tera mógł się obejść. Ale gadaj z głupim. Taki drań matki nie posłucha. Powiadam do niego: – Słyszane to rzeczy, żeby chłop w twoich latach otwierał dziewczę, ledwie zachrobotała do drzwi, jak się tyle naamorowała z innymi! Masz ty rozum? – Ale co jemu po radach matki. Odpisał na twój list i zrobił po głupiemu, tak jak chciał.

Jednakże stara kobieta rada była, że Fanny wróciła do syna. Pochlebiało to jej miłości własnej. Przyszła synowa imponowała jej, była tak samo władcza, jak i ona. A ponadto wszyscy wiedzieli, że ciotka Fanny, Kate, zapisała jej dwieście funtów, a prócz tego dziewczyna miała własne oszczędności.

Więc kiedy Harry powrócił z roboty, czarny jak kominiarz, podano lepszą herbatę. Zapanował nastrój cierpkiej serdeczności. Wpadła ta jędza Jinny i opowiedziała kilka ordynarnych kawałów. Naturalnie mieszkała w sąsiednim domu, ogród jej stykał się z ogrodem rodziców. Rodzina Goodallów trzymała się razem: stanowiła zgodny klan.

Ustalono, że Fanny przyjdzie na podwieczorek w niedzielę i omówiono sprawę ślubu, który miał się odbyć za dwa tygodnie, w kaplicy w Morley. Wioska Morley leżała na skraju rozległych pól i tam, w tej małej kaplicy parafialnej, Fanny i Harry poznali się przed laty.

Jakże ten człowiek trzymał się swoich przyzwyczajęń. W dalszym ciągu był członkiem chóru, chociaż nie uczęszczał już do kaplicy tak regularnie, jak dawniej. Należał, bo miał dobry tenor i lubił śpiewać. Jego solowe występy cieszyły się co prawda tylko lokalną sławą, gdyż nie można mu było darować jego gwary.

Otworzyli się niebiosy, niebiosy...

Obaczyłem białego kunia...

Była to klasyczna, popisowa pieśń Harry'ego. Przykre, ale nie było na to rady. Miał dobry głos i śpiewał z prawdziwym przejęciem, cóż, kiedy ta fatalna gwara psuła cały efekt. I nie było na to rady.

Śpiewał więc tylko na popularnych koncertach i w kapliczkach, ponieważ gdzie indziej go wyśmiewano.

Był właśnie wrzesień i w następną niedzielę wypadał festyn dożynkowy. Harry miał śpiewać solo w kaplicy. Fanny wybierała się na popołudniowe nabożeństwo i potem mieli iść razem na uroczysty podwieczorek do matki. Biedna Fanny! Przypomniła sobie inne takie

niedzielne nabożeństwo dziękczynne po żniwach, cudowne nabożeństwo w tej samej kaplicy. Był na nim jej kuzyn Luther. Dziesięć lat temu. Harry śpiewał solo. Pamiętała jego jasnoniebieski krawat i smukłą sylwetkę na tle zieleni i fioletowych astrów. A u jej boku kuzyn Luther, inteligentny młodzieniec, który przyjechał z Londynu. Dobrze mu się powodziło – studiował łacinę, francuski i niemiecki ze wspaniałymi wynikami.

Dziś tak samo jak przed dziesięciu laty odprawiało się nabożeństwo dziękczynne, tak samo panował nad światem czarowny wrzesień, rozkwiecony różami w ogródkach, purpurowymi georginiami i żółtymi słonecznikami. Stara kapliczka udekorowana była snopami zboża, kolumnami ze słomianej plecionki, wielkimi pękami winogron – zwisającymi z rogów kazalnicy – dyniami, kartoflami, gruszkami, jabłkami, śliwkami, fioletowymi astrami i żółtymi japońskimi słonecznikami; wyglądała jak altana. Tak jak wtedy przed laty czerwone georginie, zduszone wśród snopków owsa, zwieszały smutnie z filarów zwiędłe główki. Kaplica była zatłoczona i panował w niej niemożliwy żar. Półmiski z pomidorami, ustawione na balustradzie galerii, groziły utratą równowagi. Wielebny Enderby, długi, wychudzony, łysy, wydawał się dziwniejszy niż kiedykolwiek.

Pastor Enderby, prawdopodobnie powiadomiony o powrocie pięknej parafianki, podszedł, żeby się z nią przywitać. Mówił północną gwarą, śpiewną, melancholijną. Wstąpił na kazalnicę. Fanny wystrojona, w pięknej szyfonowej sukni i koronkowym kapeluszu, wyglądała uroczo. Spóźniła się trochę i siedziała na krzeselku w bocznej nawie. Harry był na chórze. Ze swego miejsca mogła widzieć tylko jego oczy i czoło. Po raz nie wiadomo który zwróciła uwagę na jego jasne brwi, schodzące się na czole w jedną linię. Trzeba przyznać, że młody człowiek był fizycznie bardzo pociągający. Gdybyż tylko jej duma tak okropnie nie cierpiała. Czowała, że Harry ściąga ją w dół.

Chodźta, chodźta, wdzięczne ludy,  
Podziękujta za te cudy!  
Dał nam Pan Bóg piknę żniwa  
I przez zimę przeżyjewa,..

Nawet ten hymn był fałszywym zgrzytem, gdyż w okresie żniw padały deszcze i połowa zbiorów gniła na polach.

Biedna Fanny! Śpiewała niewiele i wyglądała uroczo. Nad nią na chórze stał Harry, na szczęście w ciemnym garniturze z ciemnym krawatem i śpiewał fałszywe dziękczynienie.

Był w tej chwili niemal piękny. Jego przejmujący, czysty tenor brzmiał dobrze, kiedy poszczególne słowa tonęły w powszechnym zgiełku. Fanny jaśniała urodą. Wiedziała o tym. Ale w sercu jej kipiał gniew, wzbierała głucha rozpacz. Bo młody człowiek posiadał ów urok fizyczny, którego nie cierpiała, a spod którego nie potrafiła się wyzwolić. Harry był pierwszym mężczyzną, który ją pocałował. Pomimo stałego wewnętrznego buntu jego pocałunki żyły w jej pamięci. I te wspomnienia sprawiły, że wróciła tu z powrotem. Rozpaczała w duszy, bo czowała, że fatalna siła ściąga ją w dół, na niziny... Wiedziała, że będzie nieszczęśliwa. Wiedziała, że zdecydowała się na fatalny krok. Ale tak jej było sądzone. Musiała do niego wrócić.

Miał śpiewać tego dnia dwa razy, raz przed a raz po kazaniu... Fanny patrzyła na niego i dziwiła się, że nie czuje się onieśmielony, śpiewając wobec tak liczного zgromadzenia. Ale nie, Harry nie był nieśmiały. Nawet przeciwnie. Z pewną miną spoglądał na narzeczoną z chóru. Na jego twarzy malował się triumf, cichy, głęboki, niezłomny. A ona szalała z wściekłości... Jakże nim gardziła! Ale cóż, stał nad nią na chórze niby oślica Balaama i nie mogła się już wyzwolić od niego. I ten jego wdzięk, urzekający, męski wdzięk!

Śpiewał dziś jak kanarek, z jakimś uniesieniem, aż nabożne audytorium przechodziły ciarki. I Fanny też była pod wrażeniem. Nawet prostackie przekręcanie słów wydało jej się

nie pozbawione wdzięku. Ale było zarazem odpychające, ściągało ją z powrotem na niziny między prostaków! O, nędzny, szary losie!

W drugiej części nabożeństwa, antyfonie, solowe partie śpiewał również Harry. Śpiewał niewyszukanie, ale pięknie:

Ci, które sieją we łzach, bydu zbierać w radości.  
Ten, którego idzie naprzód i płacze, niosąc cenne ziarno,  
Powróci niewątpliwie radosny ze żniwem snopów...

– Powróci niewątpliwie radosny! Powróci niewątpliwie radosny! – intonowały miękko alty.

– Ze żni-i-i-wem snopów! – wybuchały soprany. I znów zaczynało trochę melancholijne solo:

Ci, które sieją we łzach...

Tak. To było naprawdę piękne i wzruszające.

Lecz w chwili, gdy głos Harry'ego rozplątał się i stojący za nim chór otwierał usta, by wybuchnąć końcowym triumfem, z tłumu wzniósł się przeraźliwy wrzask. Organy urwały w połowie tonu. Chór zmartwiał.

– Akurat tobie śpiewać w świątyni pańskiej! – zabrzmiał donośny, gniewny wrzask kobiety. Wszyscy odwrócili się zelektryzowani. Na środku kaplicy stała czerwona, zażywna kobieta w czarnym czepku i wymyślała soliście. Przez tłum przeszedł dreszcz zgorszenia. – Tobie śpiewać w świątyni pańskiej! Tobie, rozpustniku! A powiedziałam, że zawstydzę cię przy ludziach. Może masz prawo sprowadzać tu swoją damę, co? Już ja jej powiem, coś ty za jeden, łajdaku! Broić to potrafisz, ale jak przyjdzie co do czego, to go nie ma, nygusa!

Rozwścieczona kobieta zwróciła się w stronę Fanny:

– Masz swojego Goodalla. Masz swojego gagatka!

I usiadła z powrotem na ławce. Fanny, wstrząśnięta tak jak wszyscy, początkowo zbladła, a potem spłonęła krwistym rumieńcem. Znała ją! Była to Nixonowa, diablica, która biła swojego drugiego męża Boba, nieboraka, pijacznę z czerwonym nosem, i dwie mizerne córki, już dorosłe. Wiedziała o tym cała okolica. Fanny odwróciła głowę i skamieniała na swym krzeselku.

Nastąpiła minuta napiętej ciszy. Wszyscy stali oniemiałymi z otwartymi ustami, chór podzielił chwilowo los żony Lota; Harry z nutami w rękach patrzył na Nixonową niby obojętnie, z wyrazem naiwnego szyderstwa. Awanturnicza baba siedziała na ławce wyzywająca, pewna siebie.

A potem zaszumiało, jak w lesie, gdy zerwie się nagle wiatr. Dziwaczny wysoki pastor wstał i pięknym, silnym i donośnym jak dzwon głosem – ten głos to była jedyna jego ozdoba – powiedział z bezdennie żalonym patosem:

– Zaśpiewajmy wszyscy ostatni hymn. Hymn numer jedenaście.

Szumiały złote niwy  
W krainie Kanaanu...

Organy podjęły nutę. Zaczęto zbierać na tacę. Po skończeniu hymnu odmówiono modlitwę.

Wielebny Enderby pochodził z Northumberland. Mówił gwarą i tak jak Harry, nie mógł

się nauczyć mówić poprawnie. Był prostoduszny, może niezbyt mądry, uczuciowy. A przy tym dziwaczny stary kawaler.

– A jeśli, o, nasz najdroższy Panie, ukochany Jezu, padnie cień grzechu na nasze żniwo, Tobie pozostawiamy sąd, bo Tyś jest sędzią. Podnosimy do Ciebie, o, Jezu, nasze stroskane serca, a usta nasze milczą. Panie, obroń nas przed przekorną mową, odganiaj od nas nierozważne słowa i myśli, błagamy Cię, Panie Jezu, który wiesz wszystko i masz nad nami sąd.

Pastor mówił smutnym, dźwięcznym głosem. Fanny siedziała pochylona do przodu, zapatrzona, zasłuchana. Widziała głowę narzeczonego, także pochyloną. Twarz miał nieodgadnioną, bez wyrazu. Przykre zajście podziało na nią oszałamiająco. Nie wiedziała, co myśleć, ale gniew górował w niej nad innymi uczuciami.

W kaplicy podniósł się lekki szum i ludzie zaczęli wychodzić powoli, lustrując ciekawie i natrętnie Fanny, Nixonową i Harry'ego. Awanturnicza baba stała w ławce z wyzywającą miną, twarzą zwrócona do nawy, jakby dając do zrozumienia, że jest gotowa załatwić się z każdym bez zawijania rękawów. Fanny siedziała cicho, bez ruchu. Na szczęście krzeselko jej stało w bocznej nawie, z dala od wychodzących. Harry, z uszami czerwonymi jak maki, schodził bojaźliwie z chóru. Dźwięki organów tłumyły zgiełk, jaki zwykle panuje przy wyjściu.

Pastor siedział za pulpitem, milczący i niezbadany, podczas gdy kongregacja opuszczała kaplicę.

Kiedy ostatni maruderzy wynieśli się z ociąganiem, oglądając się na nieruchomą Fanny, wstał, podszedł wielkimi krokami do drzwi i zamknął je na zasuwę. Powrócił do milczącej Fanny i usiadł przy niej.

– Bardzo przykre zajście, bardzo, bardzo przykre! – powiedział jękliwie. – Bardzo mi przykro, ogromnie mi przykro, ach, doprawdy! – westchnął na zakończenie.

– A przede wszystkim zaskakujące – zauważyła swobodnie Fanny.

– Tak, tak, właśnie. Zaskakujące. Nie znam tej kobiety. Nie znam.

– Ja ją znam – odpowiedziała Fanny. – To zła kobieta.

– Hm, hm! – mruknął pastor. – Ja jej nie znam. Nie rozumiem. Nic a nic nie rozumiem.

Ale źle się stało, źle się stało. Ogromnie mi przykro. Ogromnie.

Fanny patrzyła w drzwi zakrystii. Bowiem chór łączył się nie z właściwą kaplicą, lecz z zakrystią. Wiedziała, że członkowie chóru, zaciekawieni wydarzeniem, nie śpieszyli się z wyjściem.

W końcu zjawił się Harry, trochę skonsternowany, z kapeluszem w rękę.

– No! – odezwała się Fanny, wstając.

– Mieliśmy ekstranumer – odpowiedział.

– I to bardzo.

– Przykra historia, ogromnie przykra historia. Czy ty wiesz, o co jej poszło, Harry? Bó ja nic nie rozumiem – rzekł pastor.

– A ja rozumiem. Jej córka będzie miała niedługo dziecko i baba myśli, że to moja sprawka.

– A czy ma powody, żeby tak przypuszczać? – zapytała mentorskim tonem Fanny.

– Taki ja winien, jak i kto inny – odparł odwracając głowę.

Nastąpiła pauza.

– Która to córka? – spytała znów Fanny.

– Annie, młodsza.

Znów umilkli.

– Ja chyba nie znam tej rodziny? – rzucił pytająco pastor.

– Chyba nie. Nazywają się Nixonowie. Stary Bob ożenił się z wdową. Okropna baba. Pchnęła córkę na złą drogę. Mieszkają na Manners Road.



– Czemu ta dziewczyna tak się wykoleiła? – zapytała ostro Fanny. – Gdy ją znałam, dobrze się prowadziła.

– Ano, nic jej tam nie można przyganić. Tyle tylko, że wiecznie w knajpach z chłopami... tego... – objaśnił Harry.

– Dobry numer – zaopiniowała Fanny.

Harry spojrział ku drzwiom. Chciał odejść.

– Bardzo przykra sprawa! – zauważył pastor potrząsając głową.

– A jak będzie wieczorem, proszę księdza? – zapytał trochę niepewnie Harry. – Czy mogę przyjść?

Pastor skrzywił się boleśnie i podniósł rękę do czoła. Przez chwilę przyglądał się młodemu człowiekowi nieprzytomnym wzrokiem. Między tymi dwoma ludźmi był jakiś cień podobieństwa.

– Owszem. – odparł. – Tak. Uważam, że nie powinniśmy przejmować się opinią publiczną.

Po chwili wahania Fanny zwróciła się do narzeczonego:

– Ale czy przyjdiesz?

Popatrzył na nią.

– Przyjdę – obiecał.

I do pastora:

– Do widzenia.

– Do widzenia, Harry, do widzenia – odpowiedział melancholijnie duchowny.

Fanny wysunęła się za narzeczoną. Przez chwilę szli w milczeniu.

– Więc takie twoje, jak czyjeś? – spytała.

– Tak.

Resztę drogi do rogu ulicy, na której mieszkał Harry, to jest przeszło milę, szli w zupełnym milczeniu. Fanny biła się z myślami. Czy powinna iść do stryjenki? Czy powinna? Oznaczałoby to położenie ostatecznego krzyżyka na całej sprawie.

Harry stał i czekał.

Jakiś nakaz wewnętrzny sprawił, że skręciła z nim do jego domu. Zastali całą rodzinę, matkę, ojca, Jinny, jej męża i dzieci oraz dwóch braci Harry'ego.

– Powiedzieli mi, że ta baba natarła ci uszu – zaczęła kwaśno Goodallowa.

– Kto matce powiedział? – zdziwił się Harry.

– Maggie i Luke, byli tu oboje – wtrąciła Jinny.

Harry zdjął bez słowa kapelusz i powiesił na wieszaku.

– Chodź na górę. Zdejmiesz kapelusz, Fanny? – zaproponowała prawie uprzejmie Goodallowa. Złękła się, że dziewczyna nie zechce jej syna.

– Co ona powiedziała? – zapytał szeptem ojciec, wskazując głową w stronę schodów, gdzie zniknęła młoda kobieta.

– Jeszcze nic – odpowiedział Harry.

– Jeżeli cię teraz porzuci, będziesz miał za swoje – wtrąciła znów Jinny. – Jestem pewna, że to wszystko prawda, co mówią o tobie i Annie. Założyłabym się.

– Za dużo się zakładasz – zganił ją brat.

– Chyba nie zaprzeczysz – nalegała.

– Zaprzeczę, jeżeli mi przyjdzie ochota.

Ojciec spojrział na niego badawczo.

– Tyle samo jestem winien, jak Bill Bower, Fed Slaney i sześciu czy siedmiu innych – wyjaśnił ojcu Harry.

Stary skinął w milczeniu.

– To cię w sądzie nie usprawiedliwi – zauważyła Jinny.

Tymczasem na górze Fanny uchylała się od nagabywań matki. Poprawiła włosy, umyła ręce i upudrowała się lekko na oczach oburzonej Goodallowej. Wyglądało to jak wyzwanie. Ale stara kobieta trzymała język za zębami.

Zeszły na dół i towarzystwo zasiadło do niedzielnego podwieczorku. Były sardynki, łośoś w marynacie, kompot z brzoskwiń, paszteciki i ciastka. Wszyscy paplali. Obgadywano rodzinę Nixonów, omawiano skandal w kaplicy.

– To podła baba – zaopiniowała Jinny. – I komu to pyskować w świątyni pańskiej? Pierwszy raz przyszła do kaplicy, odkąd stała się niewierząca. Istna diablica, zresztą zawsze taka była. Pamięta matka, jak ona się obchodziła z dziećmi Boba, kiedyśmy mieszkali na tamtym mieszkaniu? Mała jeszcze byłam, a doskonale pamiętam, jak je kąpała na podwórku, na zimnie, żeby nie zachłapać kuchni. Niech które zamoczyło podłogę, biła bez litości. A klęła, niech ręka boska broni! A w jedną sobotę Garry, córka Boba, uciekła macosze przed kąpielą bez koszuli, pamięta matka? Schowała się w sianie u Smedleya, akurat kosili łąkę, i nie można jej było znaleźć. A co to było gadania! Znaleźli ją w niedzielę rano...

– Fred Coutts zagroził babie, że połamie jej gnaty, jeżeli jeszcze dotknie dzieci – wtrącił ojciec.

– Nastraszył ją jednak – ciągnęła Jinny. – Ale i dla dwojga swoich dzieci nie była o wiele lepsza. I każdy wie, że to przez nią Bob znikował.

– A jakże! Całkiem zgłupiał – potwierdził Jack Goodall. – Wszystkie zarobki jej oddaje i gdyby się kamraci czasem nie zlitowali, nigdy by nie powąchał kieliszka.

– Niechby tak spróbował nie oddać jej tygodniowej wypłaty, łeb by mu ukręciła – dorzuciła Jinny.

– Ale czysta kobieta i honorowa, tylko pysk ma nie wyparzony – zauważyła Goodallowa. – I trzyma się z daleka, jak ten buldog. Nie dopuści nikogo blisko domu i z nikim się nie kuma.

– Takiej przydałyby się kije – zaopiniował stary Goodall, człowiek małomówny, zamknięty w sobie.

– Skąd ten Bob bierze pieniądze na wódkę, to zagadka – zastanawiała się Jinny.

– Kumple mu fundują – wyjaśnił Harry.

– A ślepiec ma okropne. Jak wściekły królik – wtrąciła Jinny.

– I po pijanemu patrzy, jakby chciał zamordować – dodała matka.

Tak gawędzili po herbacie, aż trzeba było znów iść do kaplicy.

– Musisz się przyszykować, Fanny – rzekła Goodallowa.

– Dziś do stryjenki nie pójdę – odpowiedziała nagle Fanny. – Dziś u was zanocuję, matko!

Pod wrażeniem tych słów familia umilkła. – Zanocuję u was, matko – powtórzyła Fanny.

– To ci się chwali, moje dziecko – odparła Goodallowa. Pochlebilo jej to. Przestała się niepokoić.

## POSŁOWIE

Nie miał łatwego „wejścia” do literatury i nie zdołał za swego życia zdobyć w niej pozycji, która by odpowiadała rzeczywistym wartościom jego dzieła ani też jego intencjom i ambicjom pisarskim. Co więcej, przez wiele lat po przedwczesnej śmierci pisarza jego dzieło było dla wielu raczej sensacją czy też wręcz skandalem obyczajowym niż zjawiskiem artystycznym. Właściwie dopiero w ostatnich latach zaczyna ono być traktowane w sposób, na jaki zasługuje.

\* \* \*

D. H. (David Herbert) Lawrence urodził się 11 września 1885 roku w Eastwood, małym miasteczku górniczym w przemysłowym okręgu Nottingham w Anglii. Ojciec pisarza, John Arthur Lawrence, był górnikiem, na poły analfabetą, ale człowiekiem o niepospolitym uroku i swadzie; tymi właśnie cechami pozyskał, na dziesięć lat przed przyjściem na świat Dawida Herberta, uczucie panny Lydii Beardsall, nauczycielki o żywych ambicjach intelektualnych, natury uduchowionej i poetycznej. Mimo zespalających tę parę więzów uczuciowych, małżeństwo to nie było szczęśliwe – pogłębiająca się rozpiętość ambicji i zainteresowań między ojcem i matką ciążyła nad atmosferą, w której wychowywał się Dawid i czworo rodzeństwa.

Matce właśnie zawdzięczał Dawid – najdelikatniejszy i najwrażliwszy spośród dzieci państwa Lawrence – pierwsze impulsy kierujące jego zainteresowania ku sztuce i literaturze, a przede wszystkim możliwość zdobycia wykształcenia; w trzynastym roku życia Dawid Herbert wyprawiony został do Nottingham High School, gdzie uzyskał stypendium umożliwiające mu ukończenie tej szkoły, będącej odpowiednikiem naszej szkoły średniej. Objął następnie pracę urzędniczą w wytwórni sprzętu chirurgicznego w tym mieście, ale musiał ją przerwać, zapadłszy na ostre zapalenie płuc. Rekonwalescencja trwała długo – i stała się właściwie zaczątkiem chronicznych dolegliwości płucnych, które z czasem przekształciły się w nieuleczalną w owym czasie gruźlicę.

Postanowił wówczas zdobyć kwalifikacje nauczycielskie. Odbywwszy dwuletnie studium w Nottingham University College, w 1908 roku uzyskał prawo nauczania i objął pierwszą pracę w Davidson Road School w Croydon, na przedmieściu Londynu. Na skutek ponownego zapalenia płuc w roku 1911, zmuszony był przerwać pracę pedagogiczną.

Wtedy właśnie zdecydował się Lawrence na krok, który zaważył na całym jego życiu. W kwietniu 1912 roku poznał Friedę von Richthoffen Weekley, żonę profesora filologii romańskiej uniwersytetu w Nottingham, matkę trojga małych dzieci. Uczucie, jakie się między nimi zrodziło, wybuchło nagle i obaliło skrupuły (Weekley był jednym z najzyczliwiej usposobionych do młodego pisarza ludzi w środowisku uniwersyteckim). W miesiąc później Lawrence i Frieda von Richthoffen wyjechali razem do Niemiec. I odtąd Lawrence poświęcił się zawodowej pracy literackiej.

Miał już za sobą okres terminowania, w którym wiele pomocy okazała mu Jessie Chambers – młoda, inteligentna i wrażliwa panienka, u której rodziców mieszkał Lawrence przez dłuższy czas w okresie rekonwalescencji po pierwszym zapaleniu płuc. To właśnie Jessie Chambers zachęciła Lawrence’a do opublikowania pierwszej powieści, „The White Peacock” (1911), wprowadzającej w pierwiastkowej formie jeden z głównych problemów pisarstwa autora „Synów i kochanków”: konflikt między prostactwem a uwzniośleniem,

między żywiołową zmysłowością a ucywilizowaną powściągliwością uczuciową.

Ale pełnym głosem przemówił Lawrence jako pisarz dopiero po całkowitym oddaniu się literaturze. W roku 1912 ukazała się powieść „The Trespasser”, a w roku 1913 pierwszy zbiór jego wierszy „Love Poems and Others”, ale przede wszystkim „Synowie i kochankowie” („Sons and Lovers”) – pierwsza powieść tego pisarza, która była zjawiskiem artystycznym nieprzeciętnej skali i być może najświetniejszą jego książką. Osnuta na motywach autobiograficznych, portretująca, o po trosze parafrazująca postać matki pisarza (która zmarła w roku 1911) i własną jego sylwetkę psychologiczną (w postaci Morela), wyraziła zasadniczą problematykę całej jego późniejszej twórczości: antagonizm między ciałem i duchem, pracą i kulturą, namiętnością i religią, tak jak widział ten antagonizm człowiek wyrosły w tradycji purytańskiej i w specyficznej atmosferze rodziny, rozdartej wewnętrznym konfliktem między wartościami kultury i uduchowienia kulturowanymi przez matkę a żywiołową zmysłowością i witalizmem ojca. W liście do Edwarda Garnetta, swego wydawcy, Lawrence pisał o swoim rozumieniu tej powieści:

„Kobieta o uformowanym charakterze i życiu wewnętrznym schodzi do niższej klasy i nie znajduje satysfakcji we własnym życiu. Żywiła ona namiętność do męża, a więc dzieci zrodzone są z namiętności i mają w sobie ładunek witalności. Ale w miarę, jak dorastają jej synowie, wybiera ich ona sobie na kochanków – najpierw najstarszego, potem młodszego. Synowie ci są ponaglani w rozwoju życiowym przez uczucie matki, które odwzajemniają, ponaglani ciągle. Lecz kiedy dochodzą do męskości, nie mogą kochać, ponieważ ich matka jest najsilniejszą potęgą w ich życiu i zatrzymuje ich przy sobie... William zmysłami angażuje się w bałamuctwa, ale matka zatrzymuje jego duszę. Lecz to rozdarcie zabija go, ponieważ nie wie, gdzie jest jego miejsce. Młodszy syn znajduje kobietę, która walczy o jego duszę – walczy o nią z jego matką. Syn ten kocha matkę – wszyscy synowie nienawidzili ojca i byli o niego zazdrośni. Walka toczy się między matką a dziewczyną, a jej stawką jest syn. Matka okazuje się silniejsza ze względu na więzy krwi. Syn decyduje się złożyć swą duszę w ręce matki i, podobnie jak jego starszy brat, popożłogować swym namiętnościami. Folguje im. I wtedy rozdarcie pojawia się znowu. Ale, nie całkiem świadomie, matka pojmuje teraz, w czym rzecz... Porzuciwszy kochankę, syn asystuje przy konaniu matki. Pozostaje w zakończeniu ogołocony ze wszystkiego, spychany ku śmierci”.

Powieść ta, o głębokim napięciu konfliktów moralnych i psychologicznych, wyprowadzonych z konsekwentnie odmalowanego tła społeczno-obyczajowego, spotkała się z żywym przyjęciem opinii literackiej.

Powróciwszy do Anglii w roku 1914, wydał Lawrence zbiór „The Prussian Officer and Other Stories”, napisany w okresie pobytu na kontynencie. Zawarł też w tym roku związek małżeński z Friedą von Richthoffen. Życie ich nie układało się jednak łatwo: Lawrence, z uwagi na swój pobyt w Niemczech i małżeństwo z Niemką, oskarżony został o sympatie proniemieckie i poddany różnorodnym represjom. W istocie, wojnę uważał za zło i potępiał ją zasadniczo, nie opowiadając się po żadnej ze stron walczących, stan zdrowia zresztą uniemożliwiał mu zaciągnięcie się do wojska. Cierpiący na gruźlicę pisarz przemieszkował w latach wojny w wynajętych pokojach w Londynie i Berkshire; w roku 1915 podjął wprawdzie – wraz z gronem przyjaciół, w którego skład wchodził m.in. Bertrand Russell i Aldous Huxley – próbę założenia na Florydzie utopijnej wspólnoty intelektualistów – Rananim, mającej za symbol feniksa, ale próba ta nie powiodła się wskutek opozycji Russella wobec mesjanistycznej pozy przyjętej przez Lawrence’a. Przygłębiło to pisarza jeszcze bardziej; w latach wojny opublikował powieść: „The Rainbow” (1915), trzy zbiory wierszy – „Amores” (1916), „Look! We Have Come Through” (1917) i „New Poems” (1918) oraz osnutą na wspomnieniach z podróży do Włoch książkę „Twilight in Italy” (1916). Wyruszył zresztą do Włoch natychmiast niemal po zakończeniu wojny, w roku 1919, i pozostał tam przez trzy lata.

W tym właśnie czasie ukazała się – druga spośród najsłynniejszych powieści Lawrence’a

– „Woman in Love” (1920); znaleźć na jej kartach można portrety literackie Russella, Katherine Mansfield oraz Friedy von Richthoffen i autoportret autora. Powieść w niewątpliwy sposób nawiązywała do rozprzestrzeniających się w tym czasie idei freudowskich, choć sam Lawrence (w wydanym w tym samym czasie, w roku 1921, eseju „Psychoanalysis of the Unconscious”) polemizował z teoriami wiedeńskiego psychologa; w programowy tym razem sposób bronił Lawrence w powieści erotycznych kontaktów między ludźmi jako w pełni autentycznych, zespalaających prawdziwe społeczeństwo, a nie jego substraty ani też zinstytucjonalizowane formy zewnętrzne, które ograniczają szczerłość i spontaniczność przeżyć. *Porte-parole* autora w powieści, Birkin, powiada w pewnym momencie:

„Jest inna droga życiowa, droga wolności. Jest rajskie wejście w czyste, proste jestestwo, w indywidualną duszę obejmującą prymat nad miłością i pożądaniem dla stworzenia jedności, silniejszej niż wszelkie porywy uczuć, jedności ukochanego stanu wolnej i dumnej jednostki, która akceptuje zobowiązanie do stałego utrzymywania związków z innymi, i z inną jednostką, przyjmuje jarzmo i smycz miłości, ale nigdy nie traci swej dumnej indywidualności, nawet gdy kocha i oddaje się”.

Po kilkuletnim pobycie we Włoszech, Lawrence wraz z Friedą zaproszeni zostali do kolonii artystów w Taos, w stanie Nowy Meksyk na południu USA, którą założyła Mabel Dodge Luhan. Zanim tam dotarli, odwiedzili szereg krajów – Niemcy, Ceylon, Nową Zelandię i Australię, gdzie Lawrence zebrał materiał do dwóch powieści. Jedna z nich, zatytułowana „Kangaroo” (1923), była próbą sportretowania postaci przywódcy górników australijskich; druga – „The Boy in the Bush” (1924) – należała do gatunku powieści przygodowych. Lawrence opublikował w tym okresie także dwie inne powieści – „The Lost Girl” (1920) i „Aaron’s Rod” (1922), dwa zbiory nowel – „England, My England” (1922) i „The Ladybird” (1923), trzy zbiory wierszy – „Bay” (1919), „Tortoises” (1921) i „Birds, Beasts and Flowers” (1923), dwie książki eseistyczne – „Fantasia of the Unconscious” (1922) i „Studies in Classic American Literature” (1923) oraz szkice podróżnicze z Włoch „Sea and Sardinia” (1921).

Przybywszy we wrześniu roku 1922 do Taos, Lawrence znalazł w kolonii artystów atmosferę, o jakiej marzył, a w bezpośrednim sąsiedztwie, wśród plemion indiańskich zamieszkujących góry Nowego Meksyku, te złoza naturalnej spontaniczności odczuć i przeżyć, które uważał za najwyższą miarę człowieczeństwa. Niestety, nasilanie się gruźlicy, połączone z malarią, uniemożliwiło mu ustabilizowanie się w Taos; w roku 1923 Lawrence powrócił do Anglii, ciągle jeszcze przejęty ideą wskrzeszenia utopijnej wspólnoty, którą założył kiedyś na Florydzie. Były to już jednak mrzonki. Ostatnie lata życia spędził pisarz na intensywnych podróżach i zarazem wyczerpanej pracy: pojechał znów do Nowego Meksyku, potem do Meksyku i ponownie do Anglii, skąd udał się do Włoch, na Capri i do Florencji. Stamtąd wyjechał do Badén w Niemczech, poprzez Londyn powrócił do Włoch; z Włoch wyruszył dalej do Austrii, Szwajcarii i Francji, po raz ostatni pojechał do Londynu, a potem do Bawarii, ojczyzny swej żony, która towarzyszyła mu w tych podróżach wiernie, a na koniec zawiozła go do sanatorium, a potem do willi w Vence, nieopodal Cannes, gdzie 2 marca 1930 roku Dawid Herbert Lawrence zmarł na gruźlicę. W tych nieustannych podróżach, męczących przecież i kłopotliwych, nie sposób nie dostrzec rozpaczliwej próby wymknięcia się bezwzględnemu wyrokowi śmierci.

Plon twórczy tych ostatnich lat życia Lawrence’a był stosunkowo obfity, co było również wynikiem intensywnych zmagania z chorobą i słabością. Składają się nań: pięć powieści – „The Boy in the Bush”, adaptacja powieści M. Skinnersa, „The Plumed Serpent” (1926), „Lady Chatterley’s Lover” (1928), „The Escaped Cock” (1929), której późniejszy tytuł brzmiał: „The Man Who Died”, „The Virgin and the Gipsy” (1930) i cztery tomy wierszy (z których dwa wydano pośmiertnie) – „Pansies” (1929), „Nettles” (1930), „Last Poems” (1933) i „Fire and Others Poems” (1940), pięć zbiorów nowel (również częściowo wydobytych z

pośmiertnej teki autora) – „St. Mawr. The Princess” (1925), „The Woman Who Rode Away” (1928), „Love Among the Haystacks and Other Stories” (1933), „The Lovely Lady and Other Stories” (1933) i „A Modern Lover” (1934), dwie książki eseistyczne – „Reflections on the Death of a Porcupine” (1925) i „Phoenix” (1936) oraz szkice podróżnicze – „Mornings in Mexico” (1927) i „Etruscan Places” (1932). Dodać do tego trzeba, iż Lawrence był także autorem kilku sztuk teatralnych – „The Widowing of Mrs Holroyd” (1914), „Touch and Go” (1920), „David” (1926) i „A Collier’s Friday Night” (1934): zbiór jego listów ukazał się w roku 1932 w opracowanym przez Aldousa Huxleya tomie „Letters of D. H. Lawrence”.

Największy rozgłos spośród tych ostatnich utworów pisarza, a także z całej jego twórczości, zyskała z pewnością powieść „Kochanek Lady Chatterley”, ukazująca ów szczególny, intensywny związek nieusatysfakcjonowanej małżeńskim życiem kobiety z wyższych sfer angielskich ze zdeklasowanym byłym oficerem, ucieleśniającym wszystkie cechy witalnych bohaterów lawrence’owskich. Związek taki określił Lawrence mianem „małżeństwa fallicznego”, uwypuklając ogrom czułości i serdeczności panującej między kochankami zgranymi w pełni pod względem fizycznym. Wydana prywatnie w Anglii, powieść ta została uznana za utwór pornograficzny i do ostatnich lat rozpowszechnianie jej na obszarze Zjednoczonego Królestwa było karane sądownie. Wielu wybitnych intelektualistów i pisarzy broniło powieści Lawrence’a przed tym oskarżeniem, podkreślając jej niepospolite walory literackie, barwność języka i obrazowania, a także ścisłe podporządkowanie wszelkich epizodów erotycznych integralnej koncepcji artystycznej i wizji człowieka wyznawanej przez pisarza, jednakże głosy te nie były w stanie przekonać ani oskarżycieli Lawrence’a, ani też tych, którzy z opromienionej aurą skandalu obyczajowego powieści uczynili przedmiot rynkowych spekulacji.

\* \* \*

Ten splot nieporozumień uwikłał dzieło Lawrence’a na długie lata w sytuację poniekąd absurdalną. Żarliwy moralista, przejęty misją głoszenia światu „dobrej nowiny” o uczuciach wolnych od zakłamania, obwołany został demoralizatorem – i co więcej, wyzyskany został cynicznie przez tych, dla których zysk ze sprzedaży (potajemnej lub półoficjalnej) jego książek ważniejszy był od ich treści i sensu. Tak, Lawrence był moralistą; odwaga, z jaką atakował obłudną moralność seksualną, pozostawioną w spadku przez epokę wiktoriańską, znajdowała oparcie w głębokim przekonaniu o możliwości uratowania i odbudowy człowieczeństwa poprzez rewaloryzację namiętności i porywów płciowych. „Tym, czego nie lubię – pisał Lawrence – jest seks tani i przypadkowy. Tym, co uważam za najistotniejsze, jest seks delikatny, wrażliwy, żywy, któremu nie wolno uchybić. Tym, nad czym ubolewam, jest seks bezuczuciowy. Seks musi być rzeczywistym uniesieniem, rzeczywistym przyplływem sympatii, szczodrym i ciepłym, a nie upustem chwilowego podniecenia, ani tym mniej aktem walki”.

Oczywiście, naiwne i śmieszne z perspektywy czasu były próby przeciwstawienia ponurej eskalacji konfliktów ekonomicznych, klasowych i politycznych, które ujawniła w dramatycznym spiętrzeniu już pierwsza wojna światowa, owej utopii wyzwolonych uczuć, „braterstwa krwi” przelanej na jakiejś szczególnego typu arenie, gdzie odbywać się mają współzawodnictwa gladiatorów (te właśnie pomysły z „braterstwem krwi” zraziły Russella do Lawrence’a – i wzruszająco żałosna w gruncie rzeczy jest próba ich obrony podjęta w powieści „Women in Love”). Ale niewątpliwie szczerze brzmiały i zachowały po dzień dzisiejszy krytyczny walor intencje Lawrence’a wyrażone przy jakiejś okazji z dobitną otwartością: „Pragniemy zniszczyć nasze fałszywe, nienaturalne związki międzyludzkie, przede wszystkim te, które mają za podstawę pieniądze, pragniemy odbudować żywe i naturalne związki człowieka z kosmosem, ze słońcem i ziemią, z człowieczeństwem i narodem, i rodziną”.

Na pewno ten kierunek poszukiwań i manifestacji artystycznych rozminął się z tymi nurtami literatury dwudziestowiecznej, w których przywykliśmy upatrywać inkarnację artystyczną idei postępu i poszerzania się możliwości człowieka; jeszcze częściej zaś intuicje i rojenia lawrence'owskie były przeciwstawiane prozie typu H. G. Wellsa i wszelkiemu w ogóle „scjentyzmowi”. Nie bez pewnych podstaw Lawrence nie dowierzał postępowi, rozwojowi cywilizacji. Tyle, że było to niedowierzenie, zwrócone przeciw bardzo konkretnym, uzbrojonym w mechanizm represyjny (którego działań zaznał na sobie samym) formom realizacji historycznej idei postępu i rozwoju cywilizacji, w których stopień uczestnictwa człowieka zależał od jego klasowej i kastowej pozycji; syn górnika z okolic Nottingham wiedział sporo o tych ustopniowaniach w podziale dobrodziejstw wypracowanych wspólnym wysiłkiem ludzkości. Sprzeciwiał się temu, jak umiał, jak czuł, przeszedłszy skomplikowaną i dramatyczną drogę życiową; przeciwstawiał temu systemowi zakłamania to, co znalazł we własnych doświadczeniach najcenniejszego: spontaniczną szczerłość i odwagę uczuć. Jeśli nie mogła to być broń skuteczna przeciw złu otaczającemu pisarza i zatruwającemu atmosferę współżycia między ludźmi – krzywdą dlań niewymierną było uczynienie z niej tylko obyczajowego skandalu.

Właściwie dopiero dziś, po kilku dziesiątkach lat, twórczość Lawrence'a odnosi zwycięstwo – za grobem pisarza. Moralistyczne intencje i implikacje jego twórczości zostały odczytane i ujawnione; literatura posunęła się (w dużej mierze dzięki Lawrence'owi, a przede wszystkim Jamesowi Joyce'owi) dalej w eksplorowaniu seksualnych doznań i przeżyć człowieka i pojawiła się seria książek, która zdjęła z „Kochanka Lady Chatterley” odium skandalu. Nauczono się też chyba odróżniać utwory, które traktują erotykę jako klucz do ludzkiego serca, od książek, które traktują ją jako najskuteczniejszy sposób wdzierania się do ludzkich portfeli. Lawrence zaczyna być tym, kim był naprawdę w rozwoju współczesnej literatury: utalentowanym, szczerym i odważnym poszukiwaczem prawdy o człowieku, jego uczuciach i doświadczeniach, a także rzecznikiem jego praw do szczerości i zarazem godności uczuć, choćby te prawa miały oznaczać destrukcję reguł i prawideł życia, w którym ów człowiek tkwi.

Czytelnik polski ma lepsze niż czytelnicy z innych krajów szanse i możliwości zapoznania się z Lawrence'em uwolnionym już od aury skandalu – afera „Kochanka Lady Chatterley” (którego skrócona wersja ukazała się w okresie międzywojennym w tłumaczeniu M. Tarnowskiego) należy już do przeszłości. Dostępna jest w polskim przekładzie pierwsza z serii najciekawszych powieści tego pisarza: „Synowie i kochankowie”. Obecnie trafiają do rąk czytelnika opowiadania ze zbioru „England, My England”; jest to wznowienie przedwojennego przekładu. Nie zalicza się tych nowel do najcelniejszych kart puścizny pisarskiej Lawrence'a, ale mają pewien walor nieoceniony: napisane w okresie dramatycznych przeżyć pisarza, w okresie burzliwego fermentowania w nim idei artystycznych, które miały wypełnić późniejszą jego twórczość (po zamknięciu doświadczeń młodości w „Synach i kochankach” uznanych przez wielu krytyków za szczególną odmianę „Bildungsroman”, powieści o formowaniu się dojrzałej osobowości), są niezmiernie charakterystyczne dla poszukiwań twórczych pisarza, dla problematyki i klimatu artystycznego jego prozy.

Pasje i namiętności miłosne są dla większości bohaterów tych nowel czymś niepojętym – i czymś przyjmowanym niechętnie (najdobitniej wyraziło się to w poincie noweli „Córka handlarza koni”, gdzie lekarz stwierdza budzenie się w nim uczucia do dziewczyny, którą uratował od śmierci, z grozą i niechęcią, jakby stwierdzał objawy zakażenia), czymś, co zagraża ustabilizowanemu w taki lub inny sposób życiu. Niekiedy zresztą – jak w opowiadaniach „Samson i Dalila” czy zwłaszcza „Szlakiem pierwiosnków” – uczucie miłosne jest walką, walką brutalną, walką na śmierć i życie. Ale walką nieuniknioną – niepodobna uchylić się spod władzy namiętności, nie można ich nie przeżywać, skoro na człowieka

spadną.

Ale w jednym z tych opowiadań – tytułowym w angielskim oryginale opowiadaniu zbioru – w atmosferze tych napięć, konfliktów, obwinień i dyskredytacji, jakim poddany jest każdy niemal związek międzyludzki w konkretnym układzie społeczno-obyczajowym, otóż w tym wszystkim i na przekór temu wszystkiemu tli się pomiędzy Egbertem i Winifred ów nikły, przygłuszony nieraz, ale na powrót się odradzający (potem dopiero zagasły w kobiecie poddanej szczególnej presji obyczajowej) płomyk uczucia, płomyk owej miłosnej tkliwości.

Jeśli się doda, że jest to właściwie jedyna wartość i jedyny sens życia Egberta (i utrata tego sensu czyni go dobrowolną właściwie ofiarą wojny) – uznać wypadnie, że ta nowela wprowadza nas w sedno najistotniejszej dla Lawrence’a sprawy, jaka istnieje między ludźmi, sprawy, której odkryciu i określeniu poświęcił całą swą twórczość.

*Wacław Sadkowski*